

Zablokowane  
(do oswobodzenia)

Teresa

Urodziłam się 23 maja 1922 roku w Lidzie. Będę używała swego pseudonimu. Nazywam się Teresa. Taki sobie pseudonim wybrałam, ponieważ to było moje imię bierzmowania. Bardzo często młodzież mnie się pyta, dlaczego myśmy byli tak bardzo zrywni, dlaczego interesowały nas wszystkie sprawy, dotyczące kraju, państwa i wszystkiego co się dzieje?

Z początku dziwiły mnie te pytania, dlatego że nie rozumiałam, jak można żyć tylko dla siebie nie myśląc o tym, co się dzieje w Kraju, bo nas wychowano w ogromnym patriotyzmie.

Miałam szczęście uczyć się we wspaniałej szkole. Skończyłam Szkołę Podstawową i jak się to mówi nie chodziłam do szkoły, bo miałam bardzo blisko i zawsze zazdrościłam wszystkim, kto chodził dalej, a ja miałam vis a vis, to żadna przyjemność. Po podstawówce, brakowało mi roku, byłam młodsza jak poszłam do szkoły podstawowej, wtedy powszechnej to się nazywało, nie prchcieli mnie przyjąć do egzaminu do Gimnazjum. Na 500 miejsc ubiegających się do Państwowego Gimnazjum było tylko 82 miejsca i ponieważ ja o rok byłam młodsza, od razu, automatycznie odrzucono moje podanie. Okazało się, że byłam bardzo dobrą uczennicą, o czym nigdy nie wiedziałam, na prośbę Dyrektora włączono mnie do egzaminujących się, zdałam egzamin byłam przyjęta i trafiłam do cudownej szkoły. Tym naszym pedagogom, którzy byli nauczycielami nie z zawodu, a chyba z posłannictwa, zawdzięczam prawie wszystko. Uczyli nas życia, uczyli nas prawdy, uczyli nas, w jaki sposób powinniśmy patrzeć na świat, na wszystko co nas otacza, jak powinien wyglądać człowiek uczciwy, żyjący dla innych, szanujący cudzą pracę.

Przyszwał rok 1939. Wtedy to był rok szkolny 1939/40, mój ostatni rok nauki w szkole średniej. Już skończyłam

pierwszą licealną humanistyczną, a uczyłam się w Gimnazjum i Liceum im. hetmana Chodkiewicza Karola w Lidzie, a szkoła miała numer 918. Wszyscy chodziliśmy w mundurkach od święta, do szkoły mieliśmy fartuszki z tarczą na rękę obowiązkowo. Nam się to bardzo podobało, nam nie przeszkadzało, wszyscy byliśmy jednakowi, nie było widać ni biedniejszych ni bogatszych. Właśnie dzięki naszym nauczycielom, byliśmy tacy jacy byliśmy. Chyba tacy bardzo źli nie.

Kochałam ogromnie profesora Majewskiego, polonistę, którego nie można było minąć obojętnie. Ci, którzy mieli wybitnie matematyczne skłonności, kochali jego również i lekcje języka polskiego wyglądały precudnie, przeciekawie i ogromnie patriotycznie.

W 1939 roku zaczęła się wojna, nie poszliśmy do szkoły, 17 września weszły wojska radzieckie, wszystko się wogóle pokiełbasiło i na początku października, goniec zawiadamiał nas, że możemy iść do szkoły. Przyszliśmy do Gimnazjum, nie bardzo wiedzieliśmy co i jak, szukaliśmy swoich profesorów, wszyscy byli na miejscach i zaczęliśmy naukę. Normalnie w języku polskim, tak jak było. Rano zawsze na pierwszej lekcji odmawialiśmy modlitwę, po zakończeniu odmawialiśmy modlitwę, wszystko było tak, jak dawniej, wisiało godło, krzyż, wisiał portret Prezydenta Mościckiego i Marszałka Rydza-Śmigłego. Oprócz tego w klasie mieliśmy rysunki Stryjeńskiej: lato, jesień, wiosna, zima, a oprócz tego było jeszcze takie hasło, słowa Dziadka Piłsudskiego, które brzmiało: Idą czasy, których znamięm będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi. Tak to było w tej naszej szkole, chyba dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach przyszedł do nas wojskowy i zaczęło się od tego, że przyszliśmy do szkoły i nie



znaleźliśmy portretów, nie było krzyża, nie było orła. Były takie jaśniejsze plamy na ścianie, więc krzyż narysowaliśmy sobie grubo atramentem na ścianie, normalnie wstaliśmy, odmówiliśmy modlitwę. W klasie naszej było dużo narodowości, ale nigdy na to nie zwracaliśmy uwagi, nie było u nas podziałów narodowościowych żadnych, i religijnych też nie. Było w klasie Żydów kilkunastu, byli Rosjanie tzn. prawosławni i Polacy katolicy, ale myśmy się tak wtedy nie dzielili wogóle. Odmówiliśmy modlitwę wszyscy, nawet Żydzi, i tak się zaczęło. Ktoś "skombinował" orła, potem zawieszono nam portrety Stalina i Lenina. Portrety zostały zdjęte natychmiast, i - nie wiem dlaczego - portrety te zawsze były ustawiane w ubikacji. I znowu się zaczęły takie "polki" - to nam wieszano, to myśmy zdejmowali. I pewnego dnia powieśliśmy orła, którego codziennie trzeba było zdejmować, ktoś tam zdejmował, myśmy wieszali. Pewnego dnia przyszedł do nas znowu wojskowy, zdenerwował się, postawił stołek na krzesło naszego profesora, zdjął orła i powiedział, że "ta kuryca" więcej tu wisieć nie będzie. Kuryca to podobne do kury - rosyjskiego nie znaliśmy - byliśmy oburzeni. Pomyśleliśmy sobie, że dopóki my tu będziemy, to będzie. I zaczęła się znowu taka gierka. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że swoim zachowaniem narażaliśmy ogromnie swoich profesorów i dyrektora, ale nie tylko.

Na lekcji polskiego, o dziwo, wróciliśmy do "Konrada Wallenroda". Pamiętam, jakie to robiło na nas wrażenie. Profesor nam go czytał - wogóle on nam tak czytał wiersze, że nie ma dzisiaj żadnego aktora - słuchałam przecież płyt z nagraniem "Pana Tadeusza", wszyscy nasi najlepsi aktorzy deklamuja - nie pasuje mi zupełnie. Koncert Jankiela słyszę w wykonaniu naszego profesora - to co on nam czytał, Wallenroda,

to było coś tak silnego, ja pamiętam, że zacisnęłam pięści, potem nie mogłam odgiąć palców, bo mi zdrętwiały. Ale tam nie była tylko groza treści, ale i piękno wiersza, wszystko było w tym, w tym była jakaś symbolika, jakaś sugestia - tak myśmy to pojmowali.

Po paru dniach mój wychowawca, profesor Sadewicz, łacinnista, zawołał mnie i Gienkę Wróblewską, moją koleżankę i kazał nam iść do izby nauczyciela. Weszliśmy tam i okazuje się, że mamy robić maturę, a jest jeszcze cały rok do tego, a oni już nam sugerują maturę, normalnie pisaliśmy maturę z języka polskiego tamże i nauczyciele - wiem, że jeszcze kilka osób w taki sposób zdawało maturę, ale nie wszyscy. Ta moja matura zginęła, dostałam oryginał z orłem w prześwicie tego papieru, tak jak i reszta rzeczy zginęła w czasach wojennych, tak i tej matury nie mam. A szkoda. W taki sposób dotrwaliśmy do 7 listopada. Święto rewolucji Październikowej. Kazano zorganizować w naszej szkole koncert. Pamiętam, że mieszkała u nas taka młodziutka dziewczynka, która wtedy była w pierwszej klasie, rano przyszywała kołnierzyk do fartucha, a na drugi dzień odpruwała ten kołnierzyk, nic do siebie nie mówiłyśmy i szłyśmy na koncert w roboczych fartuchach, nie w mundurkach. Na tarcze miałyśmy naszytą żałobę, każda miała przypięty swój krzyż harcerski, ten kto należał, też z opaską żałobną. Przyszliśmy na ten koncert. Jakoś tak od razu ci ruscy zorganizowali opiekę nad naszą szkołą, powiedzieli, że Pułk Lotniczy będzie się opiekował naszą szkołą. Przyszło tam paru żołnierzy z głosem i jakimiś tam tańcami - dzisiaj ja na to patrzę zupełnie inaczej, ale wtedy, naprawdę sympatycznie śpiewali, jeden grał na harmonii, drugi śpiewał "tuczy nad gorodom stali", nie rozumieliśmy słów, kazali



mu śpiewać, więc śpiewał. Ale chyba był bardzo biedny, bo było takie milczenie - nikt, nic, ani jednego oklasku, była cisza. Po tych wszystkich wystąpieniach Rosjan, wystąpił nasz Jurek Cybulski - niestety nie żyje, zabili go nasi po wojnie - i deklamował jakiś urywek z "Pana Tadeusza", bardzo możliwe, że koncert Jankiela, chyba tak, i były potem niestające brawa. Dobrze to zapamiętałam, bo z taką Krysią Andruszką, dziewczyną z młodszej klasy, mającą piękny alt, śpiewaliśmy duet, takiego walca z taką koloraturą troszkę i były brawa niemilkące. Koncert nasz był przygotowany kiedyś, powtarzaliśmy go i były ciągle brawa i brawa. Jak ktoś z tamtych - milczenie. Mam nadzieję, że zrozumieli, ale wyobrażam sobie jak było tym wykonawcom strasznie głupio. Na drugi dzień była defilada. Wszystkie szkoły, koło nas były szkoły powszechne, wszystkim dzieciakom dali na patyku czyjś portret, nam również, każdy z nas miał jakieś transparenty. Pamiętam trybunę, która na nas zrobiła ogromne wrażenie, bo jedno oko miało chyba trzy metry, portrety były olbrzymie, wogóle coś takiego brzydkiego ogromnie i pod tymi portretami była olbrzymia trybuna i orkiestra naszych kolejarzy w polskich mundurach, jeszcze z tymi guzikami z orłami. Maszerowaliśmy. Najpierw szły dzieci ze szkoły podstawowej i te dzieci przed zakrętem wszystkie te patyki z portretami ułożyły na kupkę. Jak myśmy tam podchodzili, my również. Ręce do kieszeni powkładaliśmy, kołnierze do góry postawiliśmy i szliśmy tak, jak za trumną. A zaraz za trybuną wszystko się prostowało, kołnierze odkładało, szło się jeszcze z 30 metrów do orkiestry i przed orkiestrą była prawdziwa defilada. Defilowaliśmy na baczność przed orkiestrą. Na prawo patrz, wszystko było tak, ponieważ było PW, POW chyba się to tak m-

zywako, harcerze, wszyscy umieli chodzić ładnie, nikt nikomu nic nie mówił, nie bardzo dzisiaj wiem, jak się to stało, ktoś pierwszy zaczął, wszyscy to podtrzymali i tak to było.

Mój ojciec widział to wszystko i powiedział, jak wróciliśmy do domu, że dzieci zrobiliście ogromną biedę swoim wychowawcom. Myślałem, że cały ten wasz pochód pójdzie szybko na Syrokomlę. Syrokomla to więzienie. Tak też się i stało. Nasi profesorowie ubywali. Pamiętam, że nasz wychowawca zapytał się, czy może mam jakiś plecak dodatkowy, czy niepotrzebną walizkę. Naturalnie przynieśliśmy jemu. Oni po prostu wyjeżdżali, ale dokąd, nie wiemy, a profesorkę Mostowiczówną, tego pisarza Dołęgi-Mostowicza siostrę, która po wojnie wyszła za mąż za Andrija Sławyszkadkowskiego, ona była naszą wychowawczynią dziewcząt, zresztą była ogromie wymagająca, tam kolor pończochy nie mógł być inny, jak tylko brązowy, bo inaczej marsz do domu, nie było do pomyślenia robienia sobie jakiś loczków, wymalowanie brwi lub rzęs, a paznokcie tak jak dzisiaj chodzą dziewczyny, wogóle było nie do pomyślenia, zresztą, to nam nie było w głowie. Mostowiczówną aresztowano. Ona była ponadto opiekunką drużyny harcerskiej. Gienka Wróblewska, ta moja koleżanka, z którą siedziałam przez wiele lat razem, obok, bo myśmy nie siedzieli w ławkach, tylko każdy miał swój stolik, wogóle było przepiękne Gimnazjum, super nowoczesne. Teraz budują te szkoły tysiąclecia, nigdzie nie widziałam tak pięknej szkoły, w jakiej ja się uczyłam - piękne przestronne sale, pełne kwiecia, a podłogi były złociste parkiety, jak lustro, a było tylko dwoje ludzi do tego, dwóch woźnych, małżeństwo, starszy pan i starsza pani. Ten pan nazywał się Władysław, wąsaty, to był ukochany przez nas wszystkich, on trzymał za nas figi



na klasówkach, był naszym takim doradcą.

Zaraz po aresztowaniu profesorki, przyszli do nas do klasy i zaczęły się takie dziwne historyjki. Wchodził woźny do klasy i wyzywał kogoś po nazwisku. Pytał się profesora, czy jest i pierwszy raz pan profesor powiedział, że jest uczeń. Potem okazało się, że na korytarzu czekali już na niego żołnierze, wyprowadzali, wsadzali do czarnego samochodu bez okien, i ginął i nikt nie mógł, ani rodzice, ani nikt z nas nie wiedzieli, gdzie on jest. Dopiero po miesiącu, po dwóch miesiącach można było się dowiedzieć, że siedzi, albo wywieźli, albo siedzi tu albo gdzieś indziej do więzienia wywieziny był.

Tak właśnie przyszli po Gienkę. Już potem nie pozwalaliśmy profesorom mówić, bo oni się czuli fatalnie, tak jakby oni byli winni czy współwinni temu, więc każdy zrywał się sam. Pamiętam, że Mietek Szepczunowski, pomyłono się, w naszej klasie była jego siostra Halina, a on w młodszej klasie, przyszli po Mietka, ale się pomylili i myśmy natychmiast powiadomili sznurem do dołu, on wyleciał do podwórka i nie złapali go. Ale w taki sposób aresztowano u nas mnóstwo ludzi. I chyba za dwa dni przychodzi woźny i wywołuje mnie, i mówi, że naprawdę dyrektor mnie prosi, bo zawsze mówili, że dyrektor. Więc wchodzę do dyrektora, siedzi Krysia Andruszko, moja koleżanka od duetu, siedzi jakiś trzech potężnych ruskich wojskowych, na randze się nie znałam, obwieszonych tymi medalami prawie do pasa, siedzi dyrektor i mówi siadaj tu i tłumaczy mi, że ci panowie byli na koncercie i słyszeli nas duet i proponują mnie i Klusi wyjazd do Moskwy, do Konserwatorium na naukę śpiewu. I ja się od razu zjeżyłam, miałam taką gębę prawdopodobnie nieprzyzwoitą, zapomniałam się, że to jest dyrektor, którego żeśmy się trochę bali, a dyrektor do mnie od razu, żeby bez

min i nie gadać dużo. Więc ja zorientowałam się od razu i powiedziałam, że panie dyrektorze ja bardzo dziękuję, ja nie mogę wyjechać, ponieważ moja mama jest chora, mam młodszego brata, którym się opiekuję i to jest niemożliwe. Dyrektor powiedział, no to dobrze - moja mama była młoda i bardzo zdrowa, mój brat też żadnej opieki nie potrzebował. Tak się wykręciła również Klusia i w ten sposób uratowałyśmy się od tego Konserwatorium. Tłumaczono nam, że po skończeniu wrócimy do kraju i będziemy tutaj piewicami, nie bardzo wiedziałam i bardzo śmieszyło mnie to słowo. I w taki sposób uratowałam się od Konserwatorium, od Moskwy. Ale zaraz potem znowu były aresztowania i moi rodzice wywieźli mnie do Bachtun, do swoich przyjaciół.

W tym czasie szukano Jurka Sawickiego - również nie żyje, Jurka Cybulskiego, Romka Nowickiego, ciągle przychodzili, a ich nie było. Ja jestem w tych Bachtunach, mieszkam przy samym dworcu tuż przy peronie, nie wolno mi wychodzić, ale ogromnie się nudzę, mam takie olbrzymie krzaki bzu, zobaczyłam, że jedzie pociąg do Lidy, a już zrobiono granicę, ale tą granicę ciągle przesuwano między Lidą, tzn. między Białorusią a Litwą, i ja patrzę w ostatnim wagonie jedzie Jurek, patrzy na mnie, w moją stronę, więc zrobiłam mu takie znaki palcami - u nas taki znak, palec duży przykrywało się czterema palcami i jak szedł profesor a ktoś miał ściągę, to był taki znak "uwaga", niebezpieczeństwo. Więc on jeszcze tak wskazał na siebie, czy jego to dotyczy, ja pokazałam, że jego trzymaj się, a ja milcz, pokazałam palec na ustach położyłam. On zrozumiał, przyjechał na stację, wysiadł naturalnie inaczej, poszedł do kolegi, powiadomili jego mamę cichcem inaczej, dostał jakieś tam pieniądze i przekroczył



granicę Sowiecko-Niemiecką, wszedł do Generalnej Guberni.

A potem, jak Niemcy ruszyli w 1941 roku, wrócił z powrotem. Pracował jako tłumacz w Gerajcugu z ramienia AK i wtedy, gdy bardzo mu groziło niebezpieczeństwo, musiał iść do oddziału i był w tej akcji pod Szczuczynem i tam prawdopodobnie zginął, bo nigdzie nie można było go znaleźć. Nie ma Jurka.

A ja posiedziałam tam trochę i trzeba było wrócić.

I tak wyglądała moja matura. Od pewnego czasu zrobiono nam szkołę rosyjską, ale nie było wykładowców. I wtedy władze białoruskie, bo już przysłali swoich najróżniejszych urzędników, funkcjonariuszy, przyjechali najpierw sami, potem z rodzinami, dzieci trzeba było uczyć dalej, więc zrobili szkołę rosyjską. Nie było wykładowcy, nasza pani Włoczewska uczyła nas Asbuki, chyba na tym się zakończyło - ale wtedy się zakotłowało, bo władze białoruskie powiedziały, że tyle lat czekały na Białoruś, a tu jest rosyjska szkoła, więc trzeba ją przemianować na białoruską - u nas nauka była żadna. Przemianowano szkołę i nazywała się Pierwszaja Białoruskaja Siaredniaja Szkoła. Musiałam tą Siaredniają skończyć. Była matura - nie bardzo oni wiedzieli, co z nami zrobić, bo ani rosyjskiego nie umieliśmy, ani białoruskiego, kończymy niby, kończymy, bo nie zaczynaliśmy - brakło środka - ale trzeba nas wyrzucić z tej szkoły, bo już rok następny będzie umiał choć trochę tego języka, a my nic. Dla mnie żadnym przeżyciem była matura. Pamiętam, koleżanki siedziały, a ja ciągle czekałam, że pójdę na Syrokomlę. Matematykę to mi zrobił kolega, bo ja nie miałam zielonego pojęcia, ja byłam w humanistycznym liceum, a tam się zdawało i z algebry i z arytmetyki. Moja profesorka moje te zaniósła. Pamiętam, że z białoruskiego miałam temat: Janka Kupała piawiec białoruskowo naroda.

Profesorka mi podpowiedziała, żebym mówiła o Mickiewiczu.

- To samo, co mniej więcej o Mickiewiczu, to o tym Kupale. Zdałam maturę, otrzymałam taki blankiet na jednej stronie Siaredniaja Pierwszaja i herb - kula ziemską z tymi wszystkimi historiami i tych stopni kupa, kupa, podpisane no i dobrze. Ale np. źle to było drenna - a myśmy nie wiedzieli, co to - a wierni drenna, to bardzo źle, niedostatecznie. Ja mam w pamięci taki język prosty, jak mówiło się na wsi, ale on nie był podobny do tego literackiego języka białoruskiego. Tak się skończyła moja edukacja. Pojechałam na wieś i tata miał ojcowiznę po dziadku we wsi Dąbrowica gmina Wsielud powiat Nowogródek, 12 kilometrów od Nowogródka. Wymarzył sobie, że idąc na emeryturę, będzie sobie mieszkał w domku, posadził piękny sad, wybudował dom drewniany, w którym nigdy nie mieszkaliśmy, no ale w czasie wojny on się bardzo przydał. Pojechalismy tam. I już pod koniec pobytu konspiracja była, była jeszcze za czasów bolszewickich. Były szept, ja wszędzie podkładałam ucho, ale ode mnie, trochę jak od natręta odganiano, ciche rozmowy wśród starszych - takie to były historie w 1941 roku. W 1941 roku ja wróciłam z powrotem, bo ojca mojego nie puszczono z pracy, pracował w ambulatorium kolejowym.

Zaczęła się wojna niemiecko-sowiecka 22 czerwca 1941 roku, pamiętam, że to była niedziela, a myśmy jeszcze cały piątek latali nosząc wodę i jakieś wiadomości do tych ludzi, których wywożono, bo wywozili bez przerwy do Rosji i to był olbrzymi etap, 200 wagonów było w Lidzie. Kolejarze zawsze dawali znać i te wagony zawsze stały gdzieś na takim "zadupiu dolnym", ale zawsze to można było znaleźć, bo Lida była dużym węzłem kolejowym - i tam myśmy nosili tą wodę i jedzenie.



To co można było do jedzenia, nie za wiele, bo tego jedzenia nie było, bo to były bardzo trudne czasy. Lida była zbombardowana, spalona, nie było piekarni, nie było nic. Chłopi darli za jajko - chcieli sukienkę, bluzkę itd.

Etap wyruszył w piątek, a bombardowania zaczęły się w niedzielę. Cieszyliśmy się. Pamiętam taką komiczną historię - mieszkaliśmy w domu ciotki, tam ona miała dwa domki ustawione pod kątem, piękny ogródek - i jak o 3 rano zaczęło się bombardowanie, ojciec wybiegł w bieliźnie, ja również, sąsiedzi również i ciotka również i nikt nie widział siebie. Mieliśmy głowy zadarte do góry, patrzyliśmy na te samoloty - jedni mówili, że to próby, inni, że bombardowanie, że to Niemcy - ja miałam sokole oko i powiedziałam, że to Hahenkrojcy czyli Niemcy i wtedy pani Cybulska powiedziała: módlmy się! Poklękaliśmy wszyscy i <sup>mnie</sup> ja jak zwykle, w nieodpowiednim czasie, ogarnął śmiech, bo zobaczyłam jak my jesteśmy ubrani. Pan Cybulski był w takich krótkich kaletkach, okropnie śmiesznych, mój ojciec w jakiś slipach, też śmiesznie wyglądał, pani Cybulska miała nakręcone papiloty, bo to była niedziela i taką śmieszna koszulę z koroneczkami przeświecającą - no i mnie już nie do modlitwy. Modliłam się modliłam, tak już nie bardzo.

Zaraz przypominała mi się taka historia, jak zaczęło się bombardowanie w 1939 roku, to była taka ochrona, nazywała się LOK chyba, byli tacy panowie z opaskami, którzy zaganiali nas wszystkich do piwnic i różnych takich miejsc w czasie bombardowania. I mnie również na siłę zagnano, bo ja bardzo bałam się tych piwnic - uważałam, że właściwie powinnam patrzeć, co się dzieje na niebie, a nie siedzieć w dole, ale był energiczny pan, chwycił mnie za warkocze i kazał mi tam wlecieć i wlażłam do takiej piwnicy, ziemlanki. Siedziałam tam i babcia ja-

kaś koło mnie siedziała i modliła się ciągle: święty Antoni Padarewski, ale nie dalej, tylko święty Antoni Paderewski. Lpóki nie wsłuchałam się, co ona mówi, to nie, ale jak posłuchałam to mówię: babciu, Paderewski nie jest święty i on nie Antoni, tylko Ignacy! A ta babcia do mnie: Ludzie, wypędźmy ją, bo bomba wpadnie, Pan Bóg pokarze! Jakżeż można, Antoni Paderewski nie święty! Ja mówię, nie święty Paderewski, nie babciu, nie święty - Antoni Padewski, a Ignacy Padarewski, muzyk! Ach Boże, a to nie wszystko jedno? No i tak mi wtedy ten Paderewski do głowy przyszedł i te kalesony widziałam. W każdym razie skończyło się - idziemy do kościoła, wszyscy walimy. Ludzie mówią, Boże, niech to będzie diabeł, niech będzie ktokolwiek, byle pognał tych, co nam tyle biedy zrobili. A ruscy bardzo dużo nam zrobili biedy - aresztowań było mnóstwo, wszystko nam pozabierali, nawet podkłady kolejowe - przecież Lida miała fabryczki najróżniejsze - to było takie małe miasteczko, ale dużo było wojska - tam był 77 pułk piechoty, 19 Pal, 5 pułk lotniczy - okradli nasze miasto, zniszczyli całkowicie. A poza tym strasznie dużo ludzi aresztowano i wywieziono. Cieszyli się, jak zobaczyli te Hakenkrojt. Poszliśmy do Kościoła na Sobótkę, śpiewaliśmy wtedy piękne pieśni i przyszli jacyś ludzie i mówili, że Niemców nigdzie nie widać. I rzeczywiście, Niemcy przyszli do nas chyba w piątek. Z tego co wiem z historii, to Niemcy byli już w Mińsku, a jeszcze nie byli u nas. Dopiero w piątek pierwsze oddziały niemieckie wjechały do miasta i zatrzymały się. Pamiętam, jak żeśmy się przyglądali, jak oni się golili, każdy miał lusterko, kremy, nie mieściło nam się w głowie, co to za wojsko, takie eleganckie. Nastawialiśmy się do nich kątem, zupełnie, ale przyglądać się można było.



Wypędzono tych kolejarzy, którzy jeszcze byli, bo nas wypędzili z domu ruscy, zajęli na jakieś biura nasze mieszkanie, myśmy przenieśli się wtedy do ciotki, a potem tamtych wypędzili Niemcy i właściwie to się nic jeszcze nie działo.

Ja wyszłam do miasta, miasto było spalone, szłam ulicą 3 Maja i spotkałam swoją koleżankę Żydówkę. Ogromnie ucieszyłam się, że ją widzę, ona również i biegłyśmy sobie, objęłyśmy się i stoimy a ona zaczyna płakać strasznie. Mówię, czego płaczesz Beke? Ona mówi: Boże, wszystko będzie źle teraz, wszystko będzie źle. Ja ją tam trochę uspokajałam i szedł Niemiec i kazał jej zejść z chodnika. Wtedy i ja zeszłam. I on stanął, za rękaw mnie chwycił, szarpnął i wciągnął mnie na chodnik. Beke nie ruszyła się - stała na ulicy. Jak on mnie puścił, ja z powrotem zeszłam na ulicę. On wyciągnął pistolet, potem go schował i powiedział na mnie, że jestem głupia. To już rozumiałam po niemiecku, że jestem dum i że nie mam po kolei w głowie - pokazał palcem na czoło, i że mam pamiętać, że z Żydówką nie wolno mi się ani witać, ani stać i jej miejsce jest tu a moje tu. Takie się zaczęły historie. Mój tatuś zostawił mnie tutaj i poszedł do Dąbrowicy do mamy. Trafił na piękne podróże, dlatego że przechodził krąg. Nowogródek jeszcze był ruski, jeszcze Niemcy tam nie dotarli i dopiero w następnym tygodniu w niedzielę będąc w kościele ksiądz nam zwrócił uwagę, że Niemcy mnóstwo ludzi zatrzymali i trzymają ich w obrębie zamku /ludzi bez dokumentów/. W Lidzie był taki piękny zamek Gedymina, miał wysokie mury, zachowane - w środku mieliśmy zawsze piękną ślizgawkę - wpuszczają tam kobiety i że można zanieść wodę i jedzenie. Ja z koleżanką swoją, w tej chwili już nieżyjącą, Lolą Migdziej, wybrałyśmy się, a właściwie tam ześmy się spotkały.

Powiedziała, że trzeba brać wiadro, bo tam jest pompa pod zamkiem. Z tym wiadrem i z sucharami, które miałyśmy przygotowane na wywóz, bo myśmy też byli zakwalifikowani na wywóz na Syberię, poleciałam tam. Tam wpuszczano kobiety, weszłam tam się działy straszne rzeczy, przede wszystkim tam było bardzo dużo Rosjan-nieRosjan, Turkmenów, w szlafrokach, już mobilizowanych, ale jeszcze nie ubranych. Byli w pasiastych szlafrokach i takich kibikiejkach wyszywanych na głowie, nie mówiący po rosyjsku, ani żadnego innego języka nie znali. I właściwie to byli bardzo nieszczęśliwi ludzie, bo nie mogli się porozumieć. Strasznie tam pachniało moczem, to wszystko, co się tam działo, to na miejscu, było strasznie duszno, gorąco, wszyscy bardzo chcieli pić. I myśmy to picie i te suchary dawali, ja ciągle latałam po wodę, sucharów naturalnie za mało było. Nas tam było osób z trzydzieści kręcących się i zauważyliśmy na południowej ścianie, odgrodzeni sznurkiem siedziało trzech lotników rosyjskich. W pełnym umundurowaniu, z odznaczeniami, w czapkach, czyli oni nic nie zdarli z siebie. I można było wszystkim dać pić, wszystkim dać jeść oprócz tych trzech. Alona miała litr mleka, a nas pilnował taki gruby Niemiec przy wejściu z nahajką. Stał, ale nikogo nie uderzył jeszcze. Ja mówię - ty zagaduj jego, a ona, że się nie uczyła niemieckiego, ja mówię - to parлуй tam co możesz, a ja chcę to mleko tym odważnym podać. I ja to zrobiłam. Po prostu, tam się posunęłam, posunęłam, raz dwa, raz dwa i za plecy litr wstawiłam i z powrotem - wszystko dobrze. Jakie są dziwne zbiegi okoliczności i jaki świat jest mały? Jest rok 1941, jesień, już są Niemcy, jestem we wsi Dąbrowica, jest Wilniewicz Kazik, pseudonim Szymon, on był chyba osobistą ochroną Kotwicza, nie żyje, którego szukano



Ruscy chcieli go aresztować, szukano go i nie znaleziono, bo on się chował przez ten cały okres, ale wywieziono jego żonę i dwoje małych dzieci do Rosji. Jak Niemcy przyszli, on wrócił z tej swojej tułaczki i idąc do wsi Lubia - tam jest piękna droga, 6 km piękny las, który wycięli Ruscy - wyszło na drogę dziewięciu żołnierzy Ruskich, tak wyniszczonych, tak słabych, tak wogóle niepodobnych do ludzi i powiedzieli, że niech ich zaprowadzą, gdzie on chce, że oni się tyle czasu tułali, że niemają już siły, gdzieś się tam poodnajdywali i tą grupką szli. Kazik ich zostawił w lesie, sam doszedł do gminy - wtedy jeszcze gmina na początku polska policja była i ta gmina. Słuchaj - on mówi - jeśli ty ich tu przyprowadzisz, to ja ich będę musiał odesłać do Nowogródka do obozu. Kazio powiedział, że tego nie robi, przyprowadził ich do wsi. Gospodarze jakoś tam każdy sobie przytulił ich po jednym. Minał znowu jakiś kawał czasu, już było zimno, już była zima, ktoś do nas idzie, w granatowym ubraniu idzie jakiś młody człowiek. Wszedł, powiedział: zdrowstwujić, ja powiedziałam dzień dobry i pyta się czy on może porozmawiać z mamą. Ja mówię proszę bardzo - przecież mama ma w tej chwili 87 lat i była już w czasie zaborów, znała język rosyjski pierwszorzędnie. I on mówi, że jest tutaj niedaleko, dowiedział się, że my tu jesteśmy, że może mama ma jakąś książkę rosyjską. Mamam mówi, że nie ma książek rosyjskich, owszem część książek udało się nam wywieźć, dom nasz jest zniszczony, spalony, ale w języku rosyjskim nie mamy. Ale on z mamą rozmawia a cały czas patrzy na mnie, ogromnie uważnie, myślę, czego on ode mnie chce. A on mówi - proszę się zapytać, czy ona była w Lidzie w zamku. I mama się mnie o to pyta, mówię, że byłam, a on mówi, to ja wiem, kto pani jest. Pani nam postawiła litr

mleka za plecy. Ja jestem jednym z nich. Jak pan się uratował? A on mówi, że wywieźli ich do koszar, zagnali ich do zbierania wczesnej kapusty. Zagnano takich miejscowych ludzi i oni mieli ciągnąć te wózki, ludzie go wsadzili do wózka z kapustą i wywieźli. Przez jakiś czas był w czyimś domu, a potem musiał wywędrować, żeby tamtych ludzi nie narażać, no i jak szedł, szedł tymi lasami, to trafił, Kazik ich uratował i teraz jest u dwojga starszych ludzi.

W październiku 1941 roku - miałam przyjaciół w Nowogródku, oni widocznie przyglądali się mnie, leczyłam zęby, no i wzięto mnie do roboty. Wiedziałam, że w Dąbrowicy istnieje konspiracja, ale jakoś dziwnie mnie oni omijali i byłam tam u tych państwa, patrząc jest Kazik Winierczyk, właśnie ten, który przyprowadził tych Ruskich i my oboje składaliśmy przysięgę konspiracyjną, w Nowogródku. I ja właściwie miałam łączność w Dąbrowicy tylko z Kazikiem. Mój ojciec też należał do konspiracji i mój brat, ale każdy miał inne zadania, inne kontakty i nigdy na ten temat w domu nie rozmawialiśmy. Moja mama też była świetnym konspiratorem. Już potem, jak trzeba było, jak Jurand i Miedzianka przyszli do Nowogródka i tam była łapanka, to ja ich prowadziłam 12 kilometrów do Dąbrowicy do nas, wchodząc do naszego mieszkania, gdzie było pełno ludzi <sup>ze wsi</sup> - bo taki był zwyczaj, że to, co ja przywiozłam, te książki, to czytałam głośno, tak przeczytałam Krzyżaków, Trylogię, starzy i młodzi przychodzili i słuchali, było u nas dużo ludzi, jak zawsze, po różne rady, porady, po prostu posiedzieć - wtedy również cała kuchnia była, chyba 7 osób. Otworzyłam drzwi, mama pierwszy raz tych ludzi widziała, podniosła się i mówi: Och Boże, jak się cieszę, kochani, nareszcie nas znaleźliście - tak witała, jak swoich najbliższych.



Tak, że moja mama była świetnym konspiratorem, chociaż nigdy nie miała pretensji o to, żeby się o coś starać dzisiaj, udokumentowywać swoją przynależność.

Moja praca konspiracyjna polegała na - załatwialiśmy bardzo wiele spraw - zajmowaliśmy się wytyczaniem miejsc na składowanie lekarstw, na ewentualnie jakieś miejsca umieszczania chorych, zbieraliśmy również żywność - to już była sprawa konspiracyjna dotycząca działalności dla ludności. Potem zaczęła się normalna praca konspiracyjna, tzn. byłam łącznikiem, robiłam wszystko to, co mi kazano, więc trzeba było gdzieś coś odnieść na hasło gdzieś pójść, kogoś coś uprzedzić, komuś coś powiedzieć. Bardzo często, najczęściej nie wiedziałam, co niosę i co znaczą takie słowa, które ja musiałam przekazać. Potem się zaczęły w Nowogródku historie, ponieważ konspiracja nowogródzka była prawdziwą konspiracją. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że w 1943 roku już będąc w Lidzie konspiracja była tajemnicą publiczną, natomiast w Nowogródku była prawdziwa konspiracja, gdzie myśmy nie znali swoich nazwisk, mnie było po prostu łatwiej, nie chcieliśmy znać nazwisk, dlatego, że ja nie pochodziłam z tego środowiska nowogródzkiego. Ja tych wszystkich chłopaków, te dziewczyny poznawałam tam, już jako dziewczyny z pseudonimami i chłopaków z pseudonimami, nie znając ich nazwiska, nie znając miejsca zamieszkania, bo po prostu ja z nimi nie byłam, nie uczyłam się. Natomiast, gdybym była w Lidzie to bym wiedziała, że mój kolega nazywa się Mewa, czy jakiś inny Wilk. Były różne sprawy, trzeba było np. kogoś przechowywać. W czasie łapanek, w moim domu, tzn. domu moich rodziców przechowywało się wielu oficerów. naszych. I ja już nie mogłam, ponieważ wywożono do Niemiec i tak się działo, że to nasze gospodarstwo, według Niemców, potrzebowa-

ło ręk do pracy na troje ludzi, a nas było czworo, więc uważa-  
no, że ja jestem tą osobą zbędną i mnie kilkakrotnie starano  
się wywieźć do Niemiec. Za każdym razem jakoś się od tego wy-  
wijałam, najpierw to mnie mama jakoś wykupowała, a potem już  
wreszcie trafiłam na wywóz do tego obozu i uratował mnie taki  
pan, który był rządcą w majątku we wsi Lubił, majątku hrabie-  
go Rurga i powiedział Niemcom, że jeśli mnie zabiorą, to on  
nie odpowiada za plantację tytoniu, ponieważ jestem specja-  
listą od tych rzeczy i on od tej chwili nie bierze na siebie  
odpowiedzialności. Ja naturalnie nie miałam pojęcia o tytoniu  
i nie wiedziałam, że on tak mnie ratuje. Jedna jedyna wyszłam  
z tego etapu i rzeczywiście musiałam troszkę pomieszkać we wsi  
Lubił i zajmować się tytoniem - on mi pokazał, jak to robić,  
wiem, że kilkakrotnie Niemcy kontrolowali, bo wychodząc z te-  
go szpaleru lepkiego tytoniu widziałam, jak Niemcy stale obser-  
wowali, a ja chodziłam między tymi rzędami, obcinałam te ga-  
łązki kwitnące - już wiedziałam, co mam robić - ten pan nazywał  
się Jarc i dzięki temu panu uratowano mnie od wyjazdu. Ale Niem-  
cy stali zawsze we wsi Lubił i nigdy nie było wiadomo, o czym  
myślą - w każdym razie konspiracja żądała od nas dokładnych  
wiadomości o ruchach Niemców we wszystkich naszych okolicach.  
Trzeba było mieć łączników. Ja sama np. zaprzysięgałam syna  
tego Janca i on do mnie przyjeżdżał - to był młody człowiek,  
stąd powstawały takie domniemania, że to jest mój wielbiciel,  
co nie było prawdą, ale bardzo na rękę było - niech tak sobie  
wszyscy myślą. Potem mnie wzięto jako szyfrantkę, dano mi  
klucz do szyfrów. Siedziałam w domu pana Bujwida, wtedy już  
u nas rozpoczęła się partyzantka sowiecka, już była, i to nie  
taka partyzantka, ale takie grupy, a w niektórych miejscach  
bandy. Ci nasi sowieci, których uratował Kazik - przyszedł



rozkaz, że oni wszyscy mają się zgłosić do Nowogródka i oni pojechali. Wtedy Kazik zorientował się, że ich zabiorą do obozu i wieś podpisała taką listę, petycję do Niemców, żeby nam tych ludzi zwrócili z powrotem, że nie ma mężczyzn do pracy i przez to nie będą mogli mieć dostaw dla Niemców. I ci wrócili do nas. Byli wogóle zdumieni, że obcy naród, obcy ludzie ma taki życzliwy stosunek do nich. Gdy byli znowu wzywani drugi raz, to nasi powiedzieli, że teraz to na pewno nie będą mogli ich uratować i oni poszli do lasu. A ponieważ działo się tam bardzo różnie, bo broni było wszędzie dużo, więc tacy wieśniacy z tych wsi pobliskich w dzień orali, a w nocy brali broń i po prostu grabili. Szczególnie grabili Polaków. A tam, gdzie ja mieszkałam w Dąbrowicy, w okolicy Dąbrowicy, która była szlachecka wieś, taka szlachta zagrodowa z ogromnymi tradycjami szlacheckimi, tam każdy był głównie Kolasiński, wszystko to trzymało fason i uważało, że reszta, to jest nic, a oni są ważni, no ale na tych ważnych przyszedł kres i ci białorusini ze wsi nalatywali w nocy, grabili, przylatywali do nas z bronią, kazali nam się kłaść na podłogę, a sami zabierali szklanki, łyżki, miski, firanki. Partyzantom to nie było potrzebne - to byli normalni bandyci. I okazało się, że ci nasi leśni ruscy niedaleko krążyli i było kilkakrotnie tak, że nas ograbiono i za chwileczkę przynoszono to nam z powrotem. Było tak parę razy, że do naszego domu stukają znowu, mama mówi, już byliście, byliście - tymczasem patrzymy a to Szurit, ten właśnie z tym mlekiem, on był dowódcą tej grupy chodzącej po lesie, i mówi: mama proszę puścić i przynosi wszystko - ja patrzę pani Ani, takiej sąsiadki naszej zegarek, inne rzeczy - mówi, nie mamy czasu, proszę to oddać wszystkim tym, których ograbiono, tamtych złodziei - dawali im po kilkanaście wycieruchów, ale

oni to nazywali szompoł, to były takie żelazne pręty i tymi prętami dawali dobrze w kość, inaczej mówiąc, chcieli chronić ludność naszej wsi przed napadami zwykłych bandytów. Potem już w 1943 roku chyba byli taką regularną grupą większą, od czasu do czasu przychodzili, przychodzili do nas również, nigdy o nic nie prosili, mama zawsze coś im szykowała do jedzenia. Między nimi był taki bardzo ciekawy chłopak z Odessy, bardzo przystojny, pamiętam miał kilka muszek na twarzy, bardzo mi go żal, bo zginął, - ślicznie śpiewał i zawsze był taki smutny, to był inteligentny chłopak. Taka była partyzantka ruska. Kiedyś oni przyszli do mnie i powiedzieli, że mam się ubrać i mam z nimi jechać. Powiedziałam, dokąd mam jechać? Nie bój się, ale musisz. Co będzie, jak nie pojedę? To weźmiemy cię siłą. Ubrałam się i pojechałam, nawet nie wiem gdzie, nie bardzo się orientowałam, bo to była noc, był ranny żołnierz radziecki, tzn. jeden z nich, miał od granatu poszarpane ręce - trzeba mu było zrobić domięśniowo przeciwtężcowy zastrzyk. Dlaczego to mi utkwiło w pamięci? Raz, że to był taki wypad, ale najgorsze było to, że to było w takiej opuszczonej chacie i zamiast światła palili łuczywo i ten chłop, który był ranny w ręce, ogromne chłopisko i bał się zastrzyku. Trzeba go było przewrócić na tym wozie, on powiedział, że wstanie, wstał, trzymał się wozu, ale jak wbiłam mu igłę, to rąbnął na ziemię jak długi i igła została w pupie a strzykawka w ręku. Pamiętam, że nie pozwoliłam mu się ruszyć i szukałam po omacku z tym łuczywem, bo to przecież były ciemności, rozciągnęłam mięśnie i zębami mu tą igłę z pupy wyciągnęłam. Takie wydarzenie zapamiętałam. Odwieźli mnie do domu, to był jeden jedyny raz, więcej nikt mnie nie potrzebował z tych ruskich i ja już potem musiałam wywędro-



wać, ponieważ skończyłam już swoją pracę przy tytoniu, a Niemcy ciągle mieli na mnie oko, więc wyjechałam do Nowogródka. Tak byłam zakonspirowana, że mieszkałam bardzo blisko Niemców. Z tamtych czasów pamiętam takie trochę śmieszne historie. Mam tu kolegę, z którym jestem mocno związana z czasów okupacji, Bogdanki, konspiracji, potem jak już byłam w oddziale ostatnio. On miał brata, nazywał się Edek, byłam zakochana w tym Edku. Taka była moja sympatia. No i kiedyś jeden z naszych chłopaków wpadł do mieszkania i mówi do mnie, Teresa, masz tu pistolet i musisz przenieść go - to przez całe miasto trzeba było iść, przez rynek - ten Nowogródek to nie było duże miasto, ale trzeba było przejść. Pytam się, dlaczego ja, mówi, że dlatego, że rewidują mężczyzn. To była zima, wsadziłam ten pistolet do mufki, ta lufa była jakaś długa, a moja mufka na szczęście była dość duża, tam, gdzie trzymałam ręce tam to żelastwo wsadziłam - wogóle nie mam pojęcia o broni - i idę. Idę tak pod górkę i idzie Dziuniek, ta moja sympatia. Cześć, cześć, dokąd idziesz? Mam sprawę - to ja z tobą - nie nie pójdziesz - mam ważną sprawę i że tak powiem indywidualną i bez ciebie - a to na pewno ciebie opuszczę. Ja nie. Dziuniek to Dziuniek, ale ja z nim na tematy konspiracyjne nie rozmawiam, bo rzeczywiście taka tam była konspiracja, że z bratem nie rozmawiałam. Proszę, żeby nie szedł ze mną, a on się uparł jak sto osłów. Co mam zrobić, idziemy! Tylko na tą górkę weszliśmy, Halt! Stoi dwóch, jeden mały, drugi wielki, znani byli ci dwaj żandarmii, Niemcy i hendehof! Więc ja te łapy do góry z torebką podnoszę, jego obmacują po kieszeniach, spodnie itd., mnie, miałam takie lipne kieszenie, takie patki przy palcie, więc macnęli że nie mam a ja już w tym czasie otwieram tą swoją mufkę, bo tu

jest taka kieszonka, otworzyłam i wyściagam samą podszwawkę tej kieszonki, że tam nic nie ma, bo zazwyczaj nosiły tam dziewczyny chusteczki, puderniczki, ja się nie malowałam, byłam tak daleko, jak stąd do księżycyca od tych spraw, i zasunęłam i oni puścili nas. Przeszłam ja przez ten cały plac, doszłam prawie tam, gdzie trzeba i mówię, teraz na mnie poczekaj i teraz to już możesz na mnie czekać, ale odeszłam kawałek i wróciłam się, myślę sobie, nie daruję! Podeszłam do niego i wysunęłam lufę tak przez tą mufkę do niego. Oooo! Tak się patrzy, ale ja już nie miałam czasu oglądać, przeżyj sobie sam, wyszłam, poszłam, oddałam, wracam, mówię, no i co? Jak ty uważasz, macnęli by mnie w środku i co by było? Przecież wiedzieliby, że nie mój, tylko twój. Podejrzewaliby, wzięliby nas oboje, byłoby ci lżej? Jak ci mówię, nie idź ze mną tzn. nie idź i dlatego proszę, zawsze mnie słuchaj. Taka była jedna historia. Potem była jeszcze jedna.

Kiedyś przygotowywaliśmy koloryty tzn. były takie szyfry na tasiemkach, na takiej bibułce, zwijało się ją w rolkę, wazutkie chyba na centymetr i wkładało się do proszków do farbowania. W czasie wojny nie było materiałów i ludzie sobie przerabiali bez końca swoje stare rzeczy i przefarbowywali. I te torebki z farbą nazywały się koloryty. Do tych kolorytów wkładało się bieliznę i z tym się jechało. Przyjeżdżał taki chłopak 16-letni na rowerze i to jechało do Lidy. Czekaliśmy na tego gońca, robiliśmy te koloryty i raptem stuk do mieszkania. Do werandy! A weranda była oszklona, ja byłam tylko z tą panią, ona miała u siebie trzy dziewczyny białoruskie, które chodziły do szkoły białoruskiej, trzy uczennice w oddzielnym pokoiku, co zresztą było bardzo dobrze, i ja patrzę widać czapkę Niemca. A weranda miała zasłonki-zazdroski, nie fira-



neczki, tylko takie do pół. I ta czapka widoczna, ja mówię: Niusia, trzeba natychmiast otwierać, a Niusia miała córkę, dziecko miało lat 5. I ja te koloryty zapakowane już położyłam na wierzchu, na takim kredensie, a te jeszcze nie zrobione leżały na wierzchu i to dziecko sobie podeszło i wsadziło sobie do majtek, po prostu podniosła spódnicę i włożyła sobie do majtek, ona miała takie ciepłe getry na drutach zrobione i dalej bawiła się lalką. I to wszystko trwało sekundy. Otworzyła ona drzwi, wszedł Niemiec z tłumaczem, ja sobie przeszłam do pokoju dziewczyn, wzięłam jedną z ich książeczek, najspokojniej w świecie siadłam. Nikogo nie było, nie zwrócił na nic uwagi, chodził, otworzył szafę, przeszedł do tego pokoju dziewcząt, ona wyjaśniła, że są to uczennice, które się uczą w białoruskiej szkole i Niemcy wyszli i nic się nie stało. Oni byli cwani, ale czasami Pan Bóg w głowie pomiesza. Ta ulica, gdzie myśmy mieszkali - ta poprzeczna szła górką - a do nas trzeba było z górki. I oni się zatrzymali samochodem na górze na vis a vis tej ulicy. Chłopak, który jechał po te rzeczy nasze, po te koloryty jechał pod górkę, zauważył samochód niemiecki, nie wszedł do nas tylko jeszcze poszedł ścieżynką na górę bliżej, tam też była zakonspirowana taka młoda Janeczka, we dwoje patrzyli stamtąd, zauważyli tego Niemca tutaj, uważali, że my jesteśmy spaleni. Ale przeczekali cierpliwie i okazało się, że wszystko w porządku. Oni wyszli, pojechali. Przyszła ta pani, sąsiadka po sól, okazało się, że wszystko było szczęśliwie, zapakowaliśmy mu te koloryty, pojechał. Potem były aresztowania Polaków, aresztowali 500 Polaków, m.in. aresztowali moją sympatię, jego brata aresztowanoby na pewno, ale on w tym czasie był u swojej dziewczyny, ponieważ był szwercajt, rodzice jej nie

pozwolili jemu wyjść i szczęśliwie uniknął tego aresztowania. To jest Waldemar z oddziału Bogdanka jego pseudonim. Ojciec Dziunia przyszedł do nas, powiedział, że Dziuniek jest aresztowany, myśmy zresztą wiedzieli, co się dzieje, więc cała ludność polska Nowogródka stanęła pod więzieniem, a matka Dziunia okropnie rozpaczała, że on założył buty niewygodne, że jeśli go będą wywozić, to będzie straszna sprawa, że jemu trzeba podać takie buty wojskowe, saperki, że konieczne trzeba podać, ale jak? Ja pod więzieniem spotkałam taką panią Basię, którą spotkałam, jak parę lat temu byłam w Nowogródku, ta Basia miała swoją sympatię Władka też w więzieniu, myśmy się tam rwały- byłyśmy pierwsze. Wzięłam te buty i myślałam, że coś muszę zrobić. W więzieniu nie trzymali w celach tylko wszyscy siedzieli, więc myśmy się przez okna tam darły, ale tyle było ludzi po tej stronie i tyle głów po tamtej, więc trudno było coś usłyszeć, ja Gienkowi zdążyłam pokazać, że mam dla niego buty, ale dalej co? A Niemców stało dwóch, takich starych dziadków, którzy odpychali nas wszystkich od tej bramy. Ja do tego Niemca mówię, że to jest moja miłość, że jego wywiozą, że go więcej nie zobaczę, że on mnie rozumie, że nie może tego nie rozumieć, że ja mu przyniosę słoniny i jajek, tylko niech on mi pozwoli podać te buty. On niby nie słuchał, a słuchał - ja nie mam słoniny ani jajek. Basia ciągle mi podpowiada, obiecaj, ja to wszystko mam, ja naprawdę przyniosę, ja muszę Władowi jeszcze coś dać - i on w pewnej chwili mówi tak, przez ramię: wy pchajcie się na mnie, ja będę się szamotał, ja was wsadzę do tego więzienia i zaraz potem was wypuszczę. Macie 20 minut czasu. Dlaczego myśmy uwierzyli, to ja do dziś nie rozumiem - to była głupota 19-to, 20-toletnich dziewczyn, ja jemu naprawdę



uwierzyłam, mnie zresztą nie zależało, ja musiałam oddać te buty. I tu się zaczęła szarpanina, on chwycił ją i mnie za kark, prowadzi nas do więzienia, cała ludność ruszyła w obronę naszej. Wrzask się podniósł niesamowity. Tamci widzą, że nas prowadzą, już Władek i Dziuniek są pierwsi, o Boże, co się stało! Co to będzie, co to będzie, ja mówię cicho siedź, masz tu buty, mama jest w porządku - bo jego mama była bardzo ciężko chora - trzymaj się i to i tanto, pogadaliśmy trochę, tu nas wszyscy obstąpili, co słyszeć, co mówią, co z nami będzie? Ja mówię, że mówią, że was wywiozą do Niemiec. Wcale to nie była prawda. Mówili, że ich wszystkich wywiozą na rozstrzał. Przecież wtedy rozstrzelano tych 11 sióstr, które zginęły za tych 500 Polaków. No i raptem krzyk, znowu otwierają się drzwi, on mówi - wylatujcie i wypuścił, bo niby ludzie interweniowali, więc on machnął ręką i nas zabrał, z tego więzienia. Takie były głupoty młodości, bo przecież on mógł nas wpakować i wcalena nas nie odebrać. Ale ta Basia spełniła to jego żądanie, przyniosła i słoniny i jajek. Także on nas nie oszukał i myśmy jego nie oszukali. No stary dziadek z Wermachtu, nie wszyscy Niemcy byli już tacy podli. To była jedna historia. Potem wypuszczono ich na godzinę, czy dwie po słowie honoru do domu, tzn. takie jeszcze było okrojone słowo honoru, że jeśli jeden nie wróci, to wszyscy giną. I wywieziono ich do Niemiec, na roboty. A tego mojego Waldka narzeczoną posadzili. Waldek musiał się chować. Chował się u profesora Bołtucia, chyba tak się nazywał. Profesor nie chciał nikogo dopuszczać. Zenek był na dole w piwnicy, Waldek był na górze, na strychu. I ponieważ ja wyglądałam zupełnie niekonspiracyjnie, bo byłam taka zielona i z warkoczami, więc ja byłam łącznikiem między domem, organiza-

cją i nimi. Trzeba było wyrobić im dokumenty, to nie ja już robiłam, ja tylko donosiłam i chłopcy poszli do lasu. I Wiwa i Zenek byli w Bogdance. Ja miałam przydział wojskowy do Bogdanki, ale wtedy, kiedy będę miała taki rozkaz. Ale miałam rozkaz dostania się do Lidy. Ja już byłam bardzo zmęczona, ja miałam w nogach tyle kilometrów, oni wiedzieli, że jestem bardzo zmęczona, ale trzeba mi było stąd nawiewać, a nie można się było w żaden sposób dostać do Nowojerli, bo szły niemieckie Gielajcugi i Niemcy łapali, bo jechali wszyscy ci, co handlowali koniną, rąbanką itd., oni to wszystko zabierali, wyjeżdżali gdzieś tam poza miasto, wszystkich wyrzucali. Te Gielajcugi wyglądały w taki sposób, że najpierw szedł taki wóz pancerny, bo szosy były ciągle podminowane, przez naszych partyzantów - kolejka, która była Nowogródek - Nowojelne, pomimo, że Nowogródek był kiedyś województwem, ale trzeba było jechać taką ciuchcią, cudowną zresztą ciuchcią i Niemcy ciągle tą kolejkę naprawiali a partyzanci ciągle ją rozbięrali, jeszcze sadzili drzewka na śmiech, potem Niemcy znowu zgarniali ludność, układali tory, znowu partyzanci przez noc rozłożyli i drzewka posadzili. To była taka zabawa, utrudniali bardzo Niemcom, więc musieli jechać tym Gielajcugiem, musieli wszystko dowozić samochodami i nikogo nie można było wziąć. Mobilizowali naszych kierowców Polaków do prowadzenia samochodów no i ludzi wypędzali, czasami aresztowali, a wogóle to tłukli. Ja musiałam się dostać do Lidy i nie było żadnych możliwości, to było 60 kilometrów, mama mi powiedziała, że musisz dać słowo, że nie pójdziesz pieszo - zresztą bardzo niebezpieczna była taka droga, bo wszędzie band mnóstwo i dla dziewczyny to było bardzo niebezpieczne, więc ja jej obiecałam, że nie, nasi konspiratorzy chcieli mnie przemycić Gie-



lajcugiem, ale nie z tego nie wychodziło, mam takiego kuzyna, który był w czarnej policji z ramienia AK, który się zobowiązał jakoś pomóc, ale nie da rady - powiedział. I ja pewnego razu idąc ze swoimi chłopakami - Gestapo było w takim murywanym domu, a po tej stronie był taki niby ogród - powiedziałam do nich, poczekajcie zaraz wrócę, nie wiem, co mi strzeliło do głowy..Przeszłam przez ulicę weszłam, tak jakbym sto razy dziennie wchodziła do Gestapo, stał żołnierz na dole, nie zatrzymał mnie, jak weszłam do przedsionka patrząc schody na górę, weszłam na górę, na lewo były drzwi. Pamiętam jak dziś, jeszcze nie myślę, coś mi strzeliło do głowy, nie do mnie nie dociera takiego, co powinno mnie przyhamować, stukam do drzwi, ktoś mi mówi raus - to tak jakby wlaź, po niemiecku, wchodzę i stoi w czarnym mundurze gestapowiec młody, Pamiętam ten moment bardzo dokładnie, co było z tyłu nie wiem, ale co było przede mną. Na ścianie była mapa nowogrodzyczyny, ale jaka mapa! Tam było wszystko! Np. trafiłam na /wzrokiem/ Rycennę, na Breciankę i były drogi, gdzie nawet były kapliczki, krzyże zaznaczone, taka mapa drobny mak naszej okolicy. Niemiec stał za biurkiem i miał twarz taką, zupełnie dezorientowaną, nie widać było strach, ale zupełna dezorientacja. Patrzy na mnie, ja pytam, czy mogę, a on mówi proszę, ale tak z zahamowaniem. I mówi neim bite plac, usiadłam, a on mnie mówi, przepraszam, czy na dole stoi żołnierz? Ja mówię stoi, oj dostanie! Teraz dopiero zaczęło do mnie docierać, Boże, co ja zrobiłam! Na, ale już jestem, u mnie tak jest, że wszystkie reakcje są po, w czasie to ja jestem przytomna, a później to ja klapie zupełnie. Ja dopiero po powrocie z obozu czytając lekturę to dotarło do mnie, że przecież mnie mogli moi, swoi mogli mi nie uwierzyć - wtedy o tym nie myślałam zupeł-

nie. I mówię do tego Niemca, że przyszedłam do niego z wielką prośbą, pytam się czy mnie rozumie, mówi, że tak, ale czy może chce tłumacza, ja mówię że nie./myślę sobie może jakiś Białorusin, a może mnie zna, a może mnie gdzieś widział/.  
Więc mówię, proszę pana ja mieszkam w Lidzie. W czasie bombardowania, w czasie ucieczki, miasto nasze zostało zniszczone, w każdym razie on mnie rozumie. Ja mu mówię, że idzie zima ja nie mam się w co ubrać, ja mam tam całe ubranie i nie wiem, jak mam trafić do miasta, do Lidy - nie ma pociągów, jest tylko Gelajcug, bez przepustki nie wolno mi jechać, lasem nie pójdę, bo się boję bandytów i co ja mam zrobić, ja nigdzie nic nie kupię - oni wiedzą, że się nic nie kupi, jak nie ma się butów, to nie ma się butów. Przyszedłam do nich z prośbą, żeby mnie dali przepustkę na Gelajcug. I on się głośno roześmiał. I jakoś tam zadzwonił, przyszedł jego kolega, mówili takim twardym hofdojcze, za szybko, żebym mogła zrozumieć, patrzyli na mnie, prawdopodobnie, jak na wariata, jak na dziwolonga, który dobrowolnie przyszedł do Gestapo, nie rozumiałam tego, co oni mówili. On mówi, że dobrze i czy ja mam jakiś dokument, ja mówię, że żadnego dokumentu nie mam, ale on nie potrzebuje, nie potrzebuje nawet mojego nazwiska. Daje mi przepustkę na wszystkie środki lokomocji, żebym mogła dojechać na 10 dni, na Gelajcug też? Też. I ja z tą przepustką wychodzę i dochodząc do drzwi myślę, ja przecież stąd nie wyjdę, dopiero! Ale wychodzę, dochodzę do schodów, ten żołnierz stoi, przechodzę przez ulicę, moi chłopcy stali onie mieni, poszłam i mówię, a teraz patrzcie, co ja mam! Oni mówią, słuchaj Krystyna, to jest wariactwo, Ja mówię, cicho, teraz już nic nie mówcie, teraz dopiero łapię powietrze. Ale mam! Przyszedłam do tego swojego kuzyna, łączność była z tym



milicjantem, mówię, słuchaj, zobacz, co ja mam. On mówi, skąd to masz? świetnie podrobione, ja mówię guzik podrobione, to jest autentyczne. Ja mówię, autentyczne byłam w Gestapo, już teraz nic nie mówcie, bo się zaczę bać okropnie. Na drugi dzień, on mi powiedział, kiedy ma być Gielajcug, bo to nie zawsze, chyba w trzy dni później, wzięłam taką burkę ojcowską, kiedy jeździł do chorych to miał taką sukienną pelerynę z kieszeniami, przyszłam o 6 rano, szarzało. Kierowca mówi, proszę pani, bardzo niebezpieczna sprawa, to nic - mówię ja włazę na górę. To nie moja rzecz, ale jak dostanie pani, to się nie pozbiera, tu chłopcy jak dostają, to nie mogą iść. Ja mówię trudno, wsiadłam na górę i siedzę. Powłaziło ludzi na różne samochody, ruszyliśmy. Ujechaliśmy chyba dwa kilometry poza miasto, stoją blacharze /żandarmeria na motocyklach/, halt, no i wszystkich, ach Boże, raus i raus i zabierali to, co mieli ludzie, dobrze, że nie strzelali, tłukli, kto zdążył, jak dobarli do niego, to dostał. Podchodzą do mnie i raus, ale jak! A ja jemu przepusteczkę. On tą przepustkę dziesięć razy kręcił na jedną i na drugą stronę. I potem elegancko mi zasalutował, powiedział przepraszam, zastukał do okienka do kierowcy i powiedział, że ja usiądę tam, koło niego. Jak ja usiadłam koło niego, to ten kierowca patrzył na mnie nie jednym a dziesięcioma wilkami. Jechał i patrzył przed siebie, a cóż spojrzał na mnie to krzywo, ja myślę, nie tylko myśli, że ja jestem lewizna niemiecka, tem parszywiec, ale myślę sobie trudno, co myśli to myśli. Przyjechaliśmy do Nowojerli, szczęśliwie szosa nie była zaminowana, wysiadłam i idę na stację, spory kawałek i słyszę tylko, panielko, pani, hej, hola! Oglądam się, dziadek jakiś, macha, żeby stała i pyta bezosobowo, dokąd to się idzie? Mówię, że

na stację. Głupia ty czy co, ile ty masz lat? Tam starym nie darowują, a ty prosto w paszczę lwa! Wracaj się, no wracam się. Ale ja muszę dostać się do Lidy, proszę pana, ja muszę! Trzeba było tak mówić, tak chodź! Ja wszystko mam, mnie nie wyrzucą. Sprowadza mnie gdzieś na taką bocznice, stoi towarowy pociąg prawie pusty, on sobie szedł, szedł, znalazł jakiś wagon, postukał, odsunęli, dwóch kolejarzy siedzi, piecyk pali się żelazny. Mówi, pasażera macie, popatrzyli na mnie - niebezpieczna sprawa, wyrzucą cię - ja mówię, nie wyrzucą, no tak i dobrze, włącz. Wlazłam. Gadu, gadu, siedzimy, a oni mówią, nie wiemy, kiedy pojedziemy, nie wiemy, czy most stoi na Niemnie, tj. od Nowojerli około 40 kilometrów, możemy jechać i 20 godzin. Ja mówię, że mi teraz wszystko jedno. Już siedzę, ale już będę jechać. Pomału, pomału, skąd jadą, mojego ojca znają, no więc jak ja jestem córka, tak mnie zaraz wyjęli kawałek słoniny, na patyk do piecyka, podgrzali, chleba kawałek dali..Już ja niegłodna i ze swoimi ludźmi. Jechaliśmy 6 czy 7 godzin, prawie cały dzień, przyjechaliśmy do Lidy już po godzinie policyjnej. Nie wolno mi się ruszyć z dworca. Wsiadłam, ci kolejarze mówią, teraz już nie wiemy, jak i co, przenocujemy, bo też nie mamy przepustki a mnie trzeba przejść przez całe tory, żeby trafić do ciotki. Patrzę Romek, mój kolega szkolny kolejarzem się zrobił. Ucieszył się ogromnie, bo mnie tu dawno nie było, a my z jednej klasy i z jednej parafii./mieszkaliśmy w domach blisko siebie/ i przyjaźniliśmy się. On mówi, ja kończę trasę za 20 minut, ja mam przepustkę i nie idź nigdzie, bo cię zastrzelą. Ze mną pójdziesz, ja cię przeprowadzę. No i tak się stało. Przyprawdzili mnie wieczorem do ciotki, ciotka się straszliwie przestraszyła.Przez przypadek usłyszałam, jak



na drugi dzień wyszłam sobie do ogródka, a ciotka mówi do swojego syna, Czeska, Boże ja tak się boję, ja nie wiem co wy robicie, jak ona tu uciekła to znaczy, że ją gonią itd. Czesiek powiedział, mamó, nie masz prawa jej tego powiedzieć, wszyscy się dzisiaj boją i przyjmuje się ludzi obcych dzisiaj, a ona jest masza, ona jest rodzina. Nie wolno jej tego tobie powiedzieć. Ale ja wiem, ja to słyszałam. Myślę sobie, to nie wyjdę sobie do miasta. Wyszłam do miasta, spotkałam swoich kumpli, no i dowiaduję się, że tam to jest konspiracja a tutaj to jest tajemnica publiczna, bo się wszyscy znają. Zaraz zaprowadzili mnie do biura, tam na Falkowskiego było parę tych biur, tylko parę tych domów niespalonych, tam moje koleżanki dały mi od razu lewiznę tzn. dały mi kartki na marmoladę, na chleb, chociaż ja nie byłam nigdzie meldowana, potem taki Władek, dużo mu zawdzięczam, nie żyje, Władek mnie urządził jako biurokraft dostałam taki lewy dokument jako biurokraft wt takiej byłej szkole rzemieślniczej, były takie warsztaty mechaniczny, szewski, krawiecki, zegarmistrzowski. Tam nikogo nie wpuszczano bez przepustki, ani Niemiec, ani żaden z nas nie mógł wejść. I np. wszystkich naszych szewców zmobilizowano i oni naprawiali niemieckie buty. W lecie naprawiali zimowe a Niemiec to jest taki francik-elegancik, że jak mu się ucho przy cholewce oderwało się, to też oddawał do naprawy, głupi, bo nasi chłopcy naprawiali, potem przywozili naszą lewiznę leśną, takie buty zniszczone, że daj Boże, nasi szewcy naprawiali elegancko te buty zniszczone partyzanckie i odkładali dalej do magazynu, co będzie nie martwili się. Ja byłam ten biurokraft, ja miałam zapisywać, kto z szewców się spóźnił, czego nigdy nie robiłam, zawsze kto się spóźnił, zdejmowałam te tabliczki, a zresztą Niemcy nie bar-

dzo pilnowali, tam było dwóch Niemców Herraheri i Herrode. Her Rode to były takie dwie beczki od piwa ogromne, gruby, okazał się bardzo porządnym człowiekiem. Pracuję tam, przeżyłam tam napad - likwidację jednego z folksdoiczków pracujących dla Niemców. Tego Ripera spotkałam, jeszcze nie wiedziałam, kto to jest, powiedziałam, patrzcie gówniarz mi się nie kłania, Jezus Maria przeżegnaj się, że cię nie poznał! A to był Ryfer taki zdrajca, wsadził naszych chłopaków i miał szczęście, tyle razy były na niego zamachy i tyle razy on umykał. Ciągłe mu się udawało. A ciągle pamiętam jego ojca modlącego się w kościele i jego takiego z rączkami złożonymi. Coś okropnego, co to byli za ludzie. Zamach na niego był nieskuteczny, wcale go nie zabili, przestrelili mu szczękę podobno, są ślady takie, że on żyje i jedni mówili, że jest w Niemczech a inni że jest w Polsce, bo on przez jakiś czas był w policji naszej po wojnie w Olsztynie i jeśli trafiał się ktokolwiek z Lidy, natychmiast likwidował. On bardzo się bał, żeby nie był poznany. To był przecież pierwszy handziór straszliwy. Kiedyś nawet wystąpił jeden z naszych kolegów, Szczerbaty wystąpił w telewizji, opowiadał o tym napadzie ostatnim na niego i jego już zapisano w kraju jako osobę do ścigania. Jestem w Lidzie. Tu mnie nigdzie nie włączają, do żadnej działalności. Spotykam koleżankę, która teraz mieszka w Gdańsku, Zosię swoją kochaną, ta co napisała ten wiersz, spotykam, ona pada mi w objęcia, patrzę, że ona jest w ciąży, wogóle widzę, że Zośka chyba wyszła za mąż, okazuje się, że Zbyszek się chowa, Niemcy go szukają, ona jest sama, ciotkę jej aresztowano, ona jest sama i błaga mnie, żebym się do niej przeniosła. Ja jestem szczęśliwa słysząc tą rozmowę ciotki, myślę sobie, Zośka, napatoczyłaś mi się w sam



cudowny czas. Przenoszę się do Zośki, ciotka sprawdza, gdzie ja jestem i jesteśmy z Zośką bez środków do życia. Ja dostaję 500 marek, a 500 marek kosztuje np. obiad jeden w knajpie, czyli nie zarabiam nic. Zośka pracując przedtem w jakimś tam sklepie miała pończochy, więc sprzedawałyśmy te pończochy, potem moja mama znalazła do mnie dojście w taki sposób, że karmiła te dwie dziewczyny białorusinki, które u tej pani Niny były, a ten ich ojciec był w Lidzie. On mnie przywoził, pamiętam, jak kiedyś przywiózł osiembochenków chleba bez soli, mama im dawała szynki, a on nam przywoził takie historie, kiedyś miałam miód od niego. Zośka dziś mi wspomina, że kiedyś byłyśmy cały tydzień na rzodkiewkach tylko, ale ja tego nie pamiętam. Potem był prawdziwy głód, tak że zatarły mi się w pamięci. Zosia przy mnie urodziła syna, dostawałam cudem jakieś tam wanienki, potem zachorowała i pewnego dnia przyjechało Gestapo nowogródzkie do Lidy i ja jestem siódma na liście. Powiadają mi natychmiast, żebym zwijała manele i wyjeżdżała. Muszę jechać. Dwie godziny po moim wyjściu od Zośki było Gestapo, ale mną już konspiracja się zajęła, już ja sama nie działałam. Zabrano mnie na melinę, rano przyjechał wódz po mnie i jakaś pani której do dziś nie znam, prawdopodobnie to była Magda, dała mi chustę, sama też była w chustce, okryła mnie tą chustą, pojechaliśmy, przywieźli mnie do Jelni. Jelnia była parę kilometrów od Bielicy, w Bielicy stał Ragner. W Jelni dali mnie do gospodarza - u tego gospodarza jest ta pani z Nowogródka, u której ja byłam, u Miśka jest, więc ucieszyliśmy się ogromnie - wędruję ja do Bielicy, aresztowuje mnie Hugo, wtedy nie wiedziała, kto to jest, z UBK - aresztowuje mnie i prowadzi do sztabu. Pamiętam takie śmieszne historie. Musiałam sobie odskoczyć na le-

wo, bardzo potrzebowałam, a on nic, tylko mnie trzymał. Ja mówię, że wyjdź ze mną razem, sławojka jest tuż, stań i przypilnuj, nie i koniec, dopóki oficer dyżurny nie przyjdzie, nowy nie ma, nie ruszysz się. I siedzi taka bryła, bo to potężne chłopisko, paskudne, ja go nie lubiłam, potem miałam z nim kłopoty po przejściu z Puszczy Rybnickiej. Dwie godziny tak cierpiałam okropnie, otwierają się drzwi, wchodzi Pietka pijanica, tak myśmy go przezywali, jeden z oficerów od Ragnera, mówi, Boże, a co ty tu robisz? Ja mówię, przede wszystkim puść mnie! Jak już załatwiłam sprawy na piątkę, wróciłam do sztabu, powiedziałam, co ja tu robię, dlaczego tu jestem, zostałam zaproszona na obiad i w czasie obiadu wchodzi Niemiec. Patrzę - Niemiec z Nowogródka, oficer, pytam się, co on tu robi? On mówi, że zatrzymali cały łązik, łązik zabrali, żołnierzy rozebrali, w kalesonach kazali im się uszeregować i puścili do miasta z powrotem, oficera zatrzymali, wymieniali jego na broń. Nie moja sprawa. Wróciłam z powrotem do Jelni i zaraz za dwa dni, a może troszkę później otrzymuję list od Waldemara, że ruszają w drogę, żebym czekała na kogoś, kto mnie zabierze, gdzie, dokąd, nic mi nie wyjaśnia. I tak, jak w piosence, stuk, stuk panienczko, tak było i ze mną. Raniutko o świcie zastukał do mnie do okienka w Jelni oficer - to był porucznik Blondyn - ja ciągle się o niego pytam i do tej pory nie znalazłam jego śladu, wiem, że to był porucznik Blondyn, saper - na koniu białym, powiedział, Teresa, już jedziemy i ja wyszłam, posadzili mnie na wóz, jechały wozy z łodziami, to już było przygotowane do akcji Burza - zadaniem Bogdanki było zabezpieczyć tyły, mieliśmy zrobić zwodzony most na Niemnie, w razie, jak się będą nasi cofać spod Wilna, żeby tu było wszystko gotowe.



Bez żadnych perypetii i bez obstrzałów do wsi Doktowo dojechaliśmy. To była wieś wybitnie komunistyczna, bardzo długi, po obu stronach drogi były domy i tam spotkałam swoją Bogdankę i już teraz zostałam dołączona do oddziału. Tak się stało, że w Dokudowie były różne formacje i był pluton porucznika Żala, pluton minerów i w tym plutonie był chory chłopak i porucznik Żal pożyczył mnie sobie, żebym opiekowała się tym chłopcem. Pamiętam, że porucznikowi Żalowi wiele zawdzięczam, to był cichociemny, ja nie wiedziałam o tym, zrutek z Anglii, ale on był tak, jak porucznik Jarosz, dowódca Bogdanki, porucznik Żal - opiekowali się wszystkimi kobietami, które wędrowały razem z oddziałem pod Wilno. Ale najpierw było Dokudowo. Dostałam z Szarótką lokum, poprzywozili ze szpitala w Bielicy chorych, jest chłopak, pseudonim Wołodajowski, 16-17 lat, miał obie nogi w gipsie. Cały czas jestem w ruchu, niektórzy chłopcy mają poodparzane nogi, ale to była pestka w porównaniu z tym, co się potem działo - nigdy przedtem i nigdy potem tego nie widziałam - mieli odparzoną skórę, nogi białe i pomarszczona skóra, tak, jakby nie szli w butach, a trzymali nogi przez cały czas w gorącej wodzie. Jest z nami w Dokudowie lekarz Kocur, jemu podlegam. Chory porucznika Żala szyje mi mundur i przyjmuje ode mnie jeszcze raz przysięgę wojskową przed całym plutonem. Ja już w mundurze, mówię do porucznika Żala, że przecież nie będę dwa razy, on mówi, że teraz jesteś w wojsku i mowy nie ma. Składałam przysięgę jeszcze raz, mój chory leży w izbie wiejskiej, jak tam weszłam, to nie widziałam nic, tylko same muchy na twarzy jego. Chłopak ma ponad czterdzieści stopni i jest chory na anginę, zajrzałam mu do gardła - straszna sprawa, zmusiłam go chociaż do tego żeby płukał, nie było czym, więc robiłam mu

roztwór z solą, zmuszałam go, aby co pół godziny płukał. Najpierw musiałam go sama przenieść do stodoły, w stodole było chłodniej; leżał na sianie, na dole, ale przynajmniej muchy go nie obsiadły. Po pięciu dniach chłopak ten stanął na nogi. W tym czasie też zauważyłam, że jest zdobywczy niemiecki wóz sanitarny - było w nim różnych lekarstw dużo, ale bardzo dużo było witaminy C, myśmy nie widzieli witaminy C w tabletkach - lekarz powiedział, że można to chorym dawać.

Jesteśmy w Dokudowie, czekamy na konny niemiecki zwiad tzw. ROA, który ma przyprowadzić Mucha. Jest cała historia. Jest przeprawa przez Niemen, Niemcy idą w ślad - 2dwadzieścia parę koni, Mucha płynie wpław, ach co to była za kobieta? Ona była łącznik zwiadowca Bogdanki. Żyje we Wrocławiu, skromna kobieta, a tak była dzielna, że pomnik za życia można by jej postawić. Wspaniała koleżanka, wspaniały człowiek do dziś, pedagog, z wykształcenia. Mucha przeprowadza tych wszystkich, Niemcy okrażają Dokudowa, jest okropna strzelanina. A w Dokudowie stoją zaprzężone do wymarszu gotowe konie wiejskie. Wszyscy stoją przy ulicy, są karmione, pojone przez gospodarzy - gospodarze nienawidzą polskiej partyzantki, oni byli bardzo związani z ruską partyzantką - to jest wieś białoruska, Dokudowo było znane w tamtych stronach - Teraz Niemcy okrażają, jest bunkier po jednej stronie wsi, od strony bunkra nacierają Niemcy, jest strzelanina, krzyczy ktoś, że bunkier ranny, ja lecę w tamtą stronę, a tymczasem dzieje się tutaj koszmar. Konie zostawione same sobie, uciekają - te konie lecące przez środek drogi zaczepiają kołem o koło, jest straszliwy huk, łamią się koła - a konie rwą i to jest z pięćdziesiąt tych koni. Ja leciałam w stronę bunkra, zatrzymał mnie syhirak, bardzo nieparlamentarnie ze mną postąpił, złapał



mnie, zawrócił mnie na siłę, mówię, że bunkier jest ranny, mam takie hasło, on mówi - ty gówniaro, gdzie lecisz, na wprost przed siebie na koniec wsi, zrozumiano! I jeszcze mnie popchnął - to jest rozkaz - ja wracam z powrotem, strzelanina jest okrutna, wtedy pierwszy raz z bliska słyszałam, jak szczekają granatniki - lecę tam, mijam chatę i słyszę: siostró, siostró ktoś krzyczy. Wracam, patrzę, stoi ten Wołodyjowski na nogach jak na szczudłach, bo on jest w gipsie i mówi, siostró, nie zostawiaj mnie! Ja wzięłam go za pas, przerzuciłam sobie na plecy - widocznie w nerwach wszystko człowiek może - nie wiem jak, ale musiałam go jakoś trzymać i szłam z nim. Podjechała wietka, podobno szłam z nim kilometr, wsadził go na wietkę ten kierowca. Doszliśmy już do tego miejsca, już ciemniało - okazuje się, że jest ciężko ranny Jarosz, mamy siedmiu rannych i jednego zabitego /pochowali/. Dowództwo obejmuje Turkus, jest na koniu i pamiętam jego przemówienie do nas bardzo rzeczowe, bardzo ładne. Ciągłe idziemy na Wilno, a Niemcy nas tropią, nawet z czołgami. Pamiętam momenty, kiedy siedzieliśmy w życie, najważniejsze to były konie, konie były mądre, kiedy chłopcy mówili, żeby leżały, to leżały. Kiedyś było tak, że musieliśmy wejść na bagna, bo nie było innego wyjścia. Do dziś nie znoszę tego kwiatu bagiennego, który jest przeciwko molom. Prowadzili na te bagna wozy z rannymi, wszyscy kochaliśmy i kochamy Jarosza, bo to jest wyjątkowy człowiek, był doskonałym dowódcą i wspaniałym człowiekiem - on żyje, jest, znaleźliśmy go nie tak dawno. Wtedy był ciężko ranny, dostał chyba całą serię z empi w obie ręce, więc miał połamane kości i oprócz tego miał rany wlotowe i wylotowe, nie można było mu rękę usztywnić - a to było gorąco - lipiec. Był ranny mój kolega Alek, chyba pseudonim Inżynier, był ranny w gło-

wę w tym bunkrze go ranili, jego też wiezli, to był niegłupi chłopak, wiedział, że jest ranny w głowę i ciągle narzekał, że mu niedobrze, a ja na niego z pyskiem, chociaż wiedziałam, że on miał wycięty trójkąt kości i błona mózgowa była na wierzchu - nałożyłam mu sterylny opatrunek, na głowę nałożyłam czapkę z bandażu i nie pozwalałam mu się nad sobą uważać. Grażyna, prawdziwe imię Zosia, też się nim zajmowała, bo trzeba było go ciągle podnosić. Przychodzi kiedyś do mnie żołnierz, i mówi, że on na pomarańczowo siusia, a ja mu przecież ciągle dawałam witaminę C, mówię mu, że dobrze, bo on dostaje takie żółte tabletki. Ciągle mówiłam, że nic nie będzie, ale to nie może tak być, żeby nic nie było. Z nami szedł Marchewka, najmłodszy żołnierz Bogdanki, trzynastoletni chłopak. Dlaczego Marchewka - był rudy, to było dziecko, które mieszkało w Lidzie i które przecudownie kradło broń Niemcom z samochodów. A ponieważ miał rudą głowę, Niemcy jego zauważyli i było polowanie na Marchewkę. Kiedyś zgłosił się do oddziału, a dowódca jego powiedział, co to za żołnierz bez karabinu - to on poszedł zdobyć sobie karabin i przyszedł z karabinem. Szedł z nami m. Wilno, a ponieważ ten karabin był większy od niego, to mu kiedyś zaproponowałam, żeby usiadł na wozie - to obrugał mnie za to, że ja taka ważna, że nie jestem przecież dowódcą. Do Wilna na akcję wileńską nie dotarliśmy. Przyszliśmy już po. Dochodząc do tych wsi, ja umierałam ze strachu, bo mój brat, który był ranny w nogę poszedł wcześniej z Zychem. To już było po bitwie. Byłam taka do niczego, bałam się, siadłam sobie na wóz - nigdy nie siadałam - jechałam, patrz Olek - ten, któremu broń przenosiłam, leci do mnie, cześć Treska, gdzieś tu jest Tadek. Od razu byłam zdowa i żywa. Oni byli w innej wsi, a nas tutaj zakwaterowano. Tadek do mnie przyszedł, ale nie bardzo



można było pogadać, trzeba było karmić, byłam cholernie zmęczona - przede wszystkim te nogi, bo przecież na postoju wszyscy do nas przychodzili, nasi dowódcy na postoju zawsze gdzieś mieszkanie nam znaleźli i unnaś zaczynała się praca. Mielismy jakieś maszi niemieckie, ci biedni chłopcy, nie wiem jak oni szli. A potem, seamy odpoczywali. Pamiętam wtedy, też odpoczywałam, usiadłam na wozie, na sianie, z tyłu za moimi plecami konie chrupały siano i chłopcy z konnego zwiadu śpiewali. I pamiętam co, Księżyc skrył się za chmury i zapada już noc, o Tobie marzę, maleńka, dla ciebie śpiewam tę piosenkę. Księżyc świecił, było cicho, było bardzo przyjemnie. Tak człowiek odpoczywał, jakby wojny nie było. A jeszcze jak siedzieliśmy w błocie, tam byliśmy dwa dni, usiąść nie można było, bo od razu pupa była mokra, ja zatrulałam się tym zapachem, poszłam do Turkucia i powiedziałam, że ja tu nie wytrzymam. A jeszcze były opatrunki, chłopcy nie wytrzymywali, bo przy opatrunku trzeba było trzymać rękę tak, żeby nie drżała. Kocur robił opatrunek i moja praca polegała na tym, że ja trzymałam. Jedliśmy wodę z mąką rozbertaną - że myśmy nie chorowali, to nie wiem. Postanowili zabić konia. Kon był wylosowany i ten chłopak płakał, pamiętam, że całował go w mordę, myśmy powiedzieli, że nie będziemy jeść, nie zabijać konia. Wracając do tego, to siedzę sobie na wozie i odpoczywam. Raptem patrzę coś się dzieje - podchodzi do nas, mówi, cichutko zbierajmy się, zdłajajmy nanele, nie wiem o co chodzi, a jeszcze przedtem nasz porucznik Żal, mój dowódca plutonu minerów, jedzie konno /miał urządzenia okropne na pośladkach i na nogach - lekarz kazał jemu zrobić zastrzyk z mleka, wywołuje gorączkę i oczyszczają się wrzody, bo nie było żadnych leków/, zostawiliśmy jego na melinie i on został. Okazuje się, że on

wyżył, gdzieś w Lublinie gospodarzył, podobno nie żyje. On był żonaty z łączniczką, nazywała się Rozpacz, a on Żal. Kazali nam szybko, szybko, pozbierali i idziemy. Maszerujemy całą noc lasem, każą nam cicho. Przyszliśmy do Puszczy Rudnickiej. Zatrzymaliśmy się na polanie. Rano, chyba była ósma, wyszedł oficer i powiedział, jestem kapitan Kartacz, wywiedzieliśmy dlatego, że był taki rozkaz, przy spotkaniu z oddziałami Związku Radzieckiego nie wolno nam strzelać, co będzie dalej, niewiem, nasz rozkaz brzmiał: Mamy się wszyscy zebrać pod jeziorem Kiernowo, powiedział nam kierunki, powiedział, że nie mamy nic do jedzenia i jeśli ktoś ma, to niech się dzieli. Idziemy, za nami jedzie konny zwiad. Po drodze zabieramy siostrę Mariannę, siostrę chirurgiczną, która w szpitaliku opiekowała się rannymi i miała łączność z Bogdanką, która żyje. /miała ścięte ścięgno Achillesa, jej to zaszli, zagipsowali i zostawili po drodze na melinie/. Powiedziała, że uarze, jeżeli my jej nie zabierzemy. Chłopcy dali jej konia i jechała z nami. Ja jestem z tyłu, na przedzie raptem patrzę konny zwiad ruski z popesami zasłi nam drogę, zrobiło się cicho. Taka jest rozmowa, że nasza wojna już się skończyła, żebyśmy składali broń. Kapitan Kartacz powiedział, nie wyście ją nam dali i nie wam my ją oddamy. I jest tam jakaś rozmowa i nagle jest z tyłu komenda Marianny "Naprzód chłopaki"! I chłopaki w galop. Zaczęła się strzelanina. Ruscy otworzyli ogień i ryśmy się rozlecieli na boki do lasu /Chlebowski napisał to bardzo prawidłowo, gdy las był domem/. Dla mnie domem i prawdziwym schronieniem to był świerk - ja leciałam, zobaczyłam taki świerk i pod ten świerk. I leżę, strzelanie słyszeć i nie słyszeć - jest jeszcze dzień. Ile przeleżałam, nie wiem. Raptem słyszę: Jest tu ktoś? No więc śdzyłam się. W ten sposób



zebrało się dziewięciu chłopaków i ja dziesiąta. Kto z nami był? Dys i Bys z Bogdanki, dwaj szesnastoletni bliźniacy, którzy byli chorzy na kurzą ślepotę z racji braku witaminy C szarała a oni nie nie widzieli; był podchorąży Norski z UBKa, podchorąży sierżant Wilk; był Waldemar, brat tej mojej sympatii był - wiem, że on pochodził z Kutry, a nazwisko jego Szal, ale nie jestem pewna, nie pamiętam reszty i między innymi ja. Zaczęła się nasza wędrówka, jesteśmy zupełnie sami i chcemy wyjść z lasu. Nocą trafiliśmy na spaloną puszcę - to też trzeba mieć szczęście! I prawdopodobnie było to tak, że myśmy krążyli w kółko, dziś Dys i Bys są wojskowymi w randze wysokiej, w dzień siedzieliśmy w krzakach, bo ruskie patrole latały, krążyliśmy blisko postrunku. Zaczęły się kłopoty - nie było co pić i jeść. Pamiętam, że podchorąży Wilk, na imię miał Heniek, cierpiał, bo go bolał ząb - dopiero, jak spuchł, ból przeszedł. Dysia i Bysia wiązaliśmy brudnymi chustkami, bo leżeli na sosnę, a ponieważ chodziliśmy nocą, trzeba było ich prowadzić. Oni tego nie pamiętają. Pamiętają, że bardzo im się chciało pić. Kiedyś weszliśmy na jakieś błoto i taką rdzawą wodę, bagno przez kossulę Norskiego złożoną ileś tam razy, cedzili to bagno i pili. I któregoś dnia ja mówię, że my stąd nie wyjdziemy. I ja stąd wyjdę, ja pójdę sama - ale nie, bo nogą mi krzywdę zrobić, a miałam wojskowe buty z cholewanii. Ale mówię, że to trzeba wyjść i wyjść w dzień. Ja mam buty wojskowe i spódnice, ale bluzkę mam prywatną /oni byli w mundurach/. Jest jeszcze z nami Hugo. Dałam im słowo honoru, że na pewno po nich wrócę i idę. Szłam tak tropieniem harcerskim. Na razie szłam lasem, potem wyszłam na jakąś ścieżkę, która doprowadziła mnie do większej, takiej przesieki i tą przesieką wyszłam już na drogę. Bardzo krótko szłam koleinami i wysz-

łam na szeroką drogę, gdzie już widać było gasienicę, gdzie jeździły czołgi. Skrzyłam w lewo, doszłam do poprzecznej drogi, ale przez tą drogę była łąka i zobaczyłam wodę i biegłam przez tą łąkę, położyłam się na brzuchu i piłam i piłam i ktoś mnie za majtki łapie, mówi, dziecko co ty robisz - ja już się napiłam - ktoś to pije, tu tyle trupów! Okazuje się, że to jest kosiarz, który kosi łąkę, pyta się stamtąd pokazując na las, mówię, że tak. Zaraz przyszła jego żona, przyniosła bliny, pajdę chleba przez cały bochen i biały serwanich i mleko. Patrzy na mnie, a ja mówię, że na tym nie koniec, ja muszę wrócić. Na to ona, że nie pójdziesz sama, ale zdejm buty, bo przez te buty będą nas zaczepiać, będą chcieli je tobie zdjąć. I tu się zaczęła cała moja bieda, ja nie umiałam chodzić boso. Zdjęłam buty, zostawiłam je na łące i razem z nią poszłam tymi samymi drogami. To wcale nie było daleko i trafiłam bezbłędnie. Wzięłam im cały chleb z białym serem i wodę. Jak mnie zobaczyli, to o Boże, teraz mówię po malutku, wolno jeść i dobrze przeżuwać, popijać wodą. Teraz ja obejmuję komendę, bo ja was wyprowadzam i nie bójcie się, jakoś to będzie. I poszliśmy. Oni lasem, ja drogą z tą panią. Już mamy przechodzić na tą otwartą łąkę i jadą czołgi ruskie. Ja poszłam z tą panią, oni przeczekali, pokazali kiedy, przeskoczyli przez drogę poszli do wsi z tą panią. Ona mówi, ja wam nagotuję, ja mówię, że sześć dni nic nie jedli chłopcy. Ugotowała im zacierki na wodzie. Prosiłam, żeby nic innego nie jedli. Ale Hugo poszedł do innego domu, tam mu na słoninie nasmażyli jajecznicę, jeszcze smietaną podleli i umierał chłopak. Mówię, że moja droga już się skończyła, żegnaj się tutaj z wami. Oni postanowili brnąć gdzieś za-



chowac - widzę, jak dziś, jak korski całował ten swój Suomi, automatyczny fiński pistolet, mówiąc, że jest mu droższy niż dziewczyna - przemawiał do niego.

Ja się z nimi legnam, mówiąc, że będą teraz sobie dawać radę sami i poszlana. Niedaleko odeszłam, trafiłam do wsi, nie wiem jaką to wieś, gdzie w stodole pełno naszych chłopaków. I to moich kolegów z budy. Dali mi kubek mleka i dobrą pigułkę chleba. Tymczasem przychodzi ktoś do mnie i mówi, że jestem wołana do sztabu. Do jakiego sztabu? - Do sztabu. Kto tam jest? - Ragnar. /znaję go jako technika/. Czego on ode mnie chce? - Nie wiem. Masz się zgłosić. Idę. Ragnar mówi: jak twoje psuśko? - Kreska. No to Teresa, masz zadanie. Musisz jechać po broń, nie wolno ci jej przewozić w sianie, nie wolno w zbożu, 90% pewności że wpadniesz, ale te 10% i nasz obowiązek spełnić. Ja mówię, że wcale ja nie podlegam i głazego mną rządzą. On mówi, że jest rozkaz, że znów idziemy do konspiracji i ponieważ tu jesteś to to zrobisz. Chciałam się zastanowić, ale on powiedział, że obowiązuje sąd wojenny. Mówię: nie strasz mnie kochany wodzu, bo nawet nie wiesz, czy jestem zaprzysiężona. On na to: ja wszystko wiem i proszę ze mną tak nie rozmawiać. Szczerze! Daję ci godzinę czasu do odpoczynku, proszę się do mnie za godzinę zgłosić. Rozmowa krótka. Przyszedłam do stodoły i szlag mnie trafił! Myślę sobie, nie nie pójdę! Po jaką broń ja mam jechać, ja ledwie zapię, wylazłam z tej puszczy, ledwie nogami powłóczę, a on mnie po broń nie pytając się, czy ja jestem w stanie, czy nie. Podjeżdżają jeszcze dwie furmanki, widzę wszystkie z mojej parafii. Mówię do jednego z nich, Władka, żeby poszedł ze mną na chwilę i siadam z nim i mówię, że Ragnar mnie wysyła, a on mówi: Kryśka, to jest wpadka od

cholery. Broń Boże, siadać z nami, bo my jedziemy dalej do Bystroniaka do Puszczy Naskiej - ja się nie zastanawiam ani sekundy, wsiadam na wóz i jedziemy. Po godzinie nie zgłosiłam się do pana Ragnera. Przyjechalismy do Poddubicz, wioska taka, ale gdzie jest, do dzisiaj niewiem. Jest z nami Gienia Myszkówna, moja koleżanka i swoi chłopcy. Jak poszłam z nią do stodoły spać, to spałam osiemnastie godzin. Wstałam rano, zjadłam dobre śniadanie, sera z chlebem i mlekiem i znowu mnie do sztabu. Przychodzi. Jest kapitan Bustroniak, rotmistrz Ostroga, porucznik Jary, jakiś sierżant był no i mówią, że ja mam jechać po broń. Piętnaście kilometrów stąd, mówią mi hasło, opiekę dają mi Zyga, mój kolega, ale nazwiska nie pamiętam, drobny, szczupły chłopak ze śmieszny duży jabłkiem Adama na cienkiej szyi. On jest moją osłoną. Mamy iść pieszo. On mnie prowadzi, bo nie, gdzie to jest. Przyjechalismy na miejsce, tam jest Barthajt dworek, hasło dobrze, oni mówią, że to wszystko przyszykują dopiero nazajutrz rano. Pamiętam takie wydarzenie, bo potem mi się nigdy nie przytrafiło, weszłam do sadu, usiadłam i usnęłam pod drzewem w sadzie. Oni mnie wzięli na koc, przynieśli do domu, ułożyli na łóżku i ja się nie obudziłam. Tam spałam osiemnastie godzin i tu takie długie spanie. Nigdy w życiu nigdy się to mi nie trafiło. Pamiętam takie drobną sprawę - jadłam miód, przysłała nazajutrz rano furmanka, powiedzieli, że nie będzie woźnicy, że mamy sami jechać, a konia mamy zostawić w Poddubiczy. Jak ta broń jest złożona? Na dnie tylko trzonkę przysypana sianem, jest w siedzeniu, siedzenie jest przykryte dzieruszką, dają mi drugą dzieruszkę na wypadek, żeby nią przykryć. Wszystko jest prawie na wierzchu. Jedziemy. Po przekroczeniu szosy przy dębach mają nas zatrzymać i powie-



dieć, czy mamy jechać na Naczy czy do Poddubie, bo są ciężkie ruchy wojska. Wyjeżdżamy na górkę i stoi cały szereg samochodów ruskich. Mamy przejechać na wprost, a na lewo od tego krzyżaka, 50 m, stoi cały sznur, ze 30 bud i nie widać żadnego żołnierza. Zyga mówi, wracamy, a ja mówię, że nas już widać - jesteśmy na wierzchu. Ty złaż, a ja będę jechać sama a jak mnie zatrzymają wal granatem. Ty Zyga jesteś moją osłoną i masz to zrobić, bo ja nie chcę dostać się w ich ręce. On poszedł na prawo a ja jadę, wjeżdżam na szosę, a ci żołnierze, co tam byli, byli zmęczeni, położyli się w rowie na odkosie. Dzierutkę miałam na sobie, nie widzieli mnie dobrze, wołali: ciotka, ciotka! Ja sobie wytarłam nos nieparlamentarnie, oni zaczęli się śmiać. Przejechałam szosę i słyszę: ciotka, podwieszisz? - pyta się Zyga. Pokazałam na tył, żeby siadł i jedziemy. Jesteśmy koło dębów, pytam się, czy to te, ale nikogo nie ma przy dębach i dojeżdżamy do takiej drogi, gdzie trzeba skręcić na prawo, na lewo nie ma nic, bo lasy i nie wiemy, nie ma tego, kto miał nas zatrzymać. Stoi. Ale co będziemy stać, ruszamy pomalutku - goni nas chłopak młody na oklep, na koniu dogonił i powiedział, że do Naczy nie wolno, jedźcie do Poddubicz. Jak? Nie chce z nami jechać, mówi, że troszeczkę teraz w lewo, dojedźcie do przecznicy i będzie dukt brzozy i tym duktem dojedźcie do samych Poddubicz. Dojeżdżamy, a ta wieś w dole i teraz zaczyna się ta komedia. Słońce zachodzi, my nie wiemy, czy ktoś z naszych jest we wsi, czy nie. Ja mówię, że przecież mamy lornetkę. Wyciągam taką dużą lornetkę, nastawiam, ale nie wiem z której strony patrzeć i tak i tak nic nie widzę, mówię: Zyga, jesteś żołnierz, nastaw tą lornetkę tak, żebyśmy coś widzieli! On mówi, że nie jest sztabowiec, a żołnierz

nie na lornetki i czego się jego czepiam! On wziął lornetkę nie nastawił, wreszcie ja wziąłem ją i patrzę w las i widzę, że coś tam się rusza, jak krokodylowa skóra. Lornetka była wspaniała, pewnie nastawiłem ją na żuka w lesie i nic nie ruszając zaczęłam obserwować wieś i trafiła mi się nieegolona broda Horskiego. Więc wjechaliśmy do wsi, przywiozłam i oddałam tą broń i poszłam spać. Widocznie byłam bardzo słaba - w stodole byłamy same z cieniem, ona bardzo opiekuńcza była, wysoka, mocna dziewczyna. Nie wiem, ile dni tam byłam, znówu mnie wożą do sztabu. Przychodzę, jest ksiądz i kustrońiak mówi, słuchaj Tereniu, teraz będziesz musiała iść do Dubicz na plebanie i tam będziesz tak długo, aż otrzymasz inny rozkaz, a co będziesz robić, to dowiesz się na miejscu. Dzisiaj po południu masz iść. Ksiądz mi daje chustę w kratę i mówi, że będę miała ciężką drogę, bo muszę przejść przez całą wieś, a wieś jest litewska. Zarzuć na siebie chustę /ona zmylała wiek/, weź kij, to będziesz się odpędzać od psów. Idę na plebanie, jest tam siostra księdza z siostrzenicą. Moim obowiązkiem jest słuchanie radia i zapisywanie wszystkiego, co mówią. Oni mówili różnymi cyferkami, powtarzali to tylko dwa razy lub raz. Radio było w piwnicy, ja to wszystko zapisywałam i oddawałam księdzu. Nie wiem jak długo tam byłam, może tydzień może więcej, w razie czego nie żałuję mówić, że jestem jego siostrzenicą, córką tej pani, która tam jest. W tym czasie nigdzie nie wychodziłam. Pamiętam, że w niedzielę ta młoda dziewczyna zaproponowała, że wyjdziemy na dzwonnice /licha ta dzwonnica - schodki na górę, rusztowanie, dzwon na gorze/. Ona mówiła, że tam wchodziła i widziała ruskich żołnierzy, którzy się dziwnie zachowują. Wstaje na górę po drabinie i



widzę, że żołnierze ruscy w tej rzece pełzną zamiast wstać i pójść, żeby wziąć tej wody. Ksiądz każe mi zanieść to, a dojść mam do pół wsi, będzie droga, pójdę tą drogą na lewo, powiedział, że nie ma rozwidlenia, będę szła aż trafię na jezioro, więc miałam zejść z drogi i iść brzegiem jeziora 50-100 m. i tam mnie zatrzymają. Wychodzę i się okazuje, że zaraz tam, gdzie skręcałam są dwie drogi - miało nie być, ale są - skręcałam w lewo i wyszłam na las, myślę, że to nie tu, cofnęłam się z powrotem, wyszłam na tą pierwszą, idę jest jezioro wcale nie blisko, dobrych parę kilometrów, wchodzę do jeziora, już jest zmierzch, chodzę z brzegu, jestem cała napięta i czekam na te "stój", muszę podać hasło, ale nikt mi nie mówi "stój" i mnie się wydaje, że już przeszłam 200 m i nikt mnie nie zatrzymuje. I tu się przyznaję, pierwszy raz w życiu bałam się, bardzo się bałam - taki puchacz w lesie w nocy dla samotnej dziewczyny to coś strasznego - ja nawet nie wiedziała co to jest - od krzyku tego ptaka włosy mi się jeżyły, przecież tam i Niemcy się wóczyli i czort wie, co się działo wtedy. Zrobiło się ciemno, stały tam świerki i na rozum powinnam wleźć pod nie i poczekać do rana, ale strach tak mnie gonił, że nie mogłam zostać w lesie. Postanowiłam odwrócić się do czubów drzew i iść, bo było tak ciemno, bez księżyca i bez gwiazd. Modliłam się "Pod Twoją obronę..." i szłam przed siebie. Bałam się, że wejdę do wody, ale wcale nie wlażłam, wyszłam na szosę i wcale nie w tym miejscu, gdzie weszłam, ale dobre 400 m od tego miejsca i teraz nie wiem, czy w prawo, czy w lewo a jestem na drodze i chwilę się zastanowiłam, poszłam w lewo, przeszłam 400-500 m i jest jezioro po lewej stronie, czyli idę dobrze. Przyszedłam do domu o godzinie

dwunastej, w każdym razie tylko furtką ruszyłam, już ksiądz był na schodkach. Pamiątam, że leciał do mnie, tak mnie mocno przytulił i mówił, dziecko, jak ja się za ciebie modliłem, 20 min. po twoim wyjściu dowiedziałam się, że tam już nie ma nikogo, że niepotrzebnie poszłam. Przypomniałam sobie, że są dwie drogi, nie wiedziałam jak i gdzie mam cię szukać. Właśnie po tym moim wyjściu władze ruskich i ja postanowiliśmy iść do Podubicz. Nikogo po drodze nie spotykałam, nikt mnie nie zatrzymywał, przyszedłam, jest wartownik, warta trzech żołnierzy i ja mówię, że się muszę zobaczyć z kapitanem Bustroniakiem - nie znam żadnego hasła - a oni mnie potraktowali per nega, udają wariatów i proszą, żebym im powiedziała, co mam do powiedzenia. Powiedziałam, że tylko mogę powiedzieć kapitanowi. I on mnie z karabinem odpędza i mówi, że takiego łazika jak ja ma prawo zabić. Aż wreszcie złość mnie wzięła i powiedziałam, że jeśli się to każe nieprawdą, to może mnie zabić. Wartownik powiedział, że dopiero co kapitan się położył - a więc jest. Przyprowadził mnie do stodoły do kapitała i mówię: Panie kapitanie, we wsi Dubicze dzieje się coś niebywałego, dla mnie to jest podejrzana sprawa, Dubicze są okrążone przez wojska ruskie, nie wiem, czy okrążone, ale w tym miejscu - i mówię gdzie - i dlatego tu przyszedłam. On mi podziękował, zaraz zrobił się ruch, a ja od tej pani do zielonej spódnicy, którą ciągle miałam dostawać zakieciak zielono-brzozy, którego jej nie zwróciłam, bo w więzieniu w nim byłam, ciągle to miałam na sumieniu. Teraz niedawno spotkałam tę siostrzenicę, już starszą panią i mówię, że się martwiły, ale nigdy nie pomyślały o zakieciaku. Wyszliśmy z Podubicz, o świtanu przyszliśmy na jakąś wyspę wśród lagien - tam była baza,



tam znalazłam Kostka, przy mnie otwierali tą ziemię, tam były też jakieś zasłony, wybierali piękne wędliny, skarpetki. My z Gienią Myszkówną dostaliśmy namiot, bo tam było wilgotno, zimno, ja pamiętam, że dostałam 7 par skarpet. jakieś dwa koce. Myśmy tam nocowali ale nie spałyśmy z Gienką. W Poddubiczach został Bustroniak, Ostroga a część z nas wyszła, Gienka też. I raptem o świcie zaczęła się strzelanina. Słyszeliśmy te strzały całusienki czas. O godzinie 10-tej na naszą wyspę - czujki były rozstawione i podobno było tylko jedno wejście - przyszedł rotnistrz Ostroga, kapitan Bustroniak, ranny Sławek - żyje, więc nie powiem nazwiska - który dostał w plecy /miał wlot małego, a wylot to była przez obie łopaty przedarta rana, bardzo trudno było, bo trzeba było mieć na to klanerki, a ich nie było/, mały Sowa z przestrzelonym palcem /zginął pod Soką-tami/, okazuje się, że zginęło 5 czy siedmiu chłopaków, w tym Minus Włodek, przyjaciel Kostka /Kostka leżał cały dzień twarzą do mehu i płakał, chciałam coś mu powiedzieć, ale co można mówić w takich wypadkach/. Okazuje się, że była bitwa pod Poddubiczami, oni się już stamtąd wycofywali, w każdym razie był ranny kolega Włodka, Włodek mógł wyjść z tego cało, ale po niego wrócił. Wieczorem jest odprawa i Bustroniak mówi, że jeśli ktoś chce z nim pójść na ochotnika zobaczyć co jest z tymi ciałami, co jest z tymi chłopakami. Naturalnie Kostek pierwszy. Czekaliśmy na nich bardzo długo. Okazało się, że nie można było tam podejść, ciała były złożone na podwórku u jednego z gospodarzy, pilnowało dwóch wartowników. Stamtąd myśmy ruszyli w drogę. Mielismy rannego Sławka, to był wysoki chłopak, obandażowałam go, nie mieliśmy bandażu więcej, więc po dro-

dze żeśmy prali, suszyli i znowu bandażowali i on idąc całym ciężarem opierał się o mnie. Pamiętam, że trzeba było przejść przez Działę, a ja nigdy nie mogłam przejść po żadnej kładce i powiedziałam trudno, ja tu zostaję, bo ta kładka to było zwalone drzewo, okrągłak, a pływać jeszcze nie umiałam. I ktoś mnie niósł na plecach, na barana - okazuje się, że to Włodek, Waldek. I tak dotarliśmy do Surkot wcześniej niż rano, ja z rannymi ułożoną w stodole. Wcześniej rano widziałam, jak Kotlicz trzymając kubek w kolanach kręcił jedną ręką kogel-mogel i rozmawiał z jakąś łączniczką, chyba to była Kryśka, łączniczka warszawska. Zebrali się różni, byli moi koledzy z Gimnazjum. Przyszedł do mnie Stanisław Żyński i powiedział, że pójdziemy do Pelasy, że to jest gdzieś koło Radunia. Tam nasza koleżanka Irka jest u swojego wujka, który jest księdzem tutaj. Ustaliliśmy, że pójdziemy, tylko niech przyjdzie lekarz i obejrzy rannych. Przyszedł lekarz, znałam jego nazwisko, z Lidy, obejrzał rannych, stwierdził, że na piątkę. I jak mieliśmy iść już do Pelasy, zaczęła się strzelanina. Trwało to od pierwszej po południu do samej wieczorem. Wszyscy mnie się pytają, czy była przerwa. Ja nie mogę tego powiedzieć, bo ja tego nie widziałam. Myśmy mieli już rannego, a ponieważ nie wiedzieliśmy, czy będziemy iść, czy zostajemy, ułożyliśmy go w łóżku rozbierając z munduru. Łuźcie - to był hutor, na huterze stał poręcznik Jary, tam był Kostek, Waldek - to była taka górka, schodziło się do dołu, była łąka i pod górę Łubin - z jednej strony olszynka, z drugiej jakieś krzaki, zboże. W pewnej chwili zobaczyłam Bystoniaka - zobaczyłam, że krew mu leci - mówię, chwileczkę kapitanie, i patrzę, a kula mu przeszła, musnęła, przypiekła przy oku



miał ranę - milimetr dalej i byłoby po nim. Zrobiłam mu opatrunek. Potem musiałam zająć się rannym, potem kazali nam wejść do olszynki. Bustroniak nie wiedział, co się dzieje z Kotwiczem. Powiedział, że ktoś musi pójść do owsa. Kto? Ja mówię, że ja, bo nie mam broni i jestem tu niepotrzebna. Jak dojdiesz tam i okaże się, że będą żyli, to pomachasz tak, a jak nie to tak chusteczką. I okazało się, że nikt nie miał chusteczki. Któryś z chłopaków dał mi brudną szmatkę, wzięłam i pobiegłam. Biegłam, chłopcy krzyczeli "padnij", a ja tego nie umiem - nie myślałam o tym, że mnie trafią ani razu - dopadłam do tego owsa i jakiś sierżant z Bogdanki, pyta, co tu robisz, Teresa! Uciekaj! Ja mówię, co jest z Kotwiczem? Nie żyje, Brkaem nie żyje - to był Jurk Kaleciński, Ostroga nie żyje, Kotwicz nie żyje, biegnij naprzód! My jesteśmy na górze a za nami idzie tyraliera! I ja widziałam, jak Bustroniak z gromadą chłopaków, ja ich naliczyłam jedenastu, z karabinami przewieszonymi po partyzantku przez pół, pochyleni poszli w stronę Żubinu, przeszli przez łąkę, nikogo nie trafiano, weszli do Żubinu i znikli. I ja wyskoczyłam, biegłam, padałam, biegłam i obok mnie Gienka. Przed nami biegł Hatrak, Hatrak upadł, ja przeleżałam i widzę u niego arterialny krwotok, leci krew do góry. Zerwałam się, lecę do niego, a on mówi, Teresa, uciekaj! On miał pistolet na okrągłym paseczku ze skóry, oberwałam to i tym rzemykiem przewiązałam mu rękę i trzeba było go czymś przetknąć. Wyjęłam mu z kieszeni coś, co nie wiedziałam, co to jest - to był prawdopodobnie długopis, ja nie wiedziałam, że on był cichociemny, u nas długopisów nie widzieliśmy, on z Anglii widocznie miał to - ja tym czymś mu przetkałam i jeszcze pomyślałam, że powinnam zapisać godzi-

nę, bo taki ucisk może być godzinę. On krzyczy, uciekaj! Ja mówię, że czekam na Cienkę, on mówi - Cienka już nie wsta-  
nie, biegnij! I ja biegłam. Miałam wąską spódnicę a przede  
mną był rów melioracyjny z błotem - przede mną biegł ten  
chłopczyk z tym palcem, przede mną skoczył i na tym odkosie  
został, trafili go - ja skoczyłam i wpadłam w bagno, zaha-  
nowało mnie. Doskoczyli do mnie. Strzelał do mnie chyba z  
trzech metrów, nie w wojskowym ubraniu, w granatowym i krzy-  
czał: ja wało wrenia tiebie strieleł, a ty ubierała! Oni  
by mnie zadawali bagnietami, ale mnie nobą zasłaniał oficer  
ruski, typ Gruzina. Wyciągnęli mnie z błota, dali mnie dwie  
skrzynki, widocznie na naboje, bardzo ciężkie. Kazali mnie  
to nieść, mnie się wydawało, że moje ręce wyciągnęły się do  
ziemi. Deprowadzili mnie na jakąś górę, okazało się, że  
siedzieliśmy na cmentarzu, ale ja tego nie wiedziałam. Ta sto-  
dotka, w której byli moi chorzy paliła się - to widziałam i  
myślałam, co się dzieje z chłopakami, którzy tam byli.  
Prowadząc mnie przez tą łęgę - wszystkich dobijano bagnietami  
bo nie wszyscy byli zabici, bito ich najpierw w krok, potem  
w brzuch, tak żeby cierpieli, żeby nie umierali od razu. Ja  
pamiętam Hetraka. Hetrak z przewieszoną ręką leżał, na mnie  
patrzył i współczuł mi, wyraźnie to było widać, jego też bi-  
li w krok, w brzuch - nie jęczał, tylko otworzył usta. Cien-  
ka leżała niedaleko, jeden też chciał ją dźgnąć, ale drugi  
powiedział, broś! Chodziłam po tym placu boju, placu śmierci  
- zbrali mi skrzynie a ręce związali mi do tyłu takim szna-  
cianym pasem, ale tak barbarzyńsko, że nie mogłam wytrzymać,  
tak mnie bolały ramiona. Posadzili mnie do takiego dołka, do  
którego przyprowadzili oficera, którego znam, ale nie powiem  
jak się nazywa, znam jego nazwisko i jego pseudo, przebranc-



go w ubranie chłopa i on ~~nik~~ był związany rękami do przodu. Poprosiłam go, żeby tak usiadł, żebym mogła się o niego oprzeć plecami, bo mnie okropnie bołą ramiona. A on się ode mnie odsunął na tyle na ile mógł. Mam rację, że nie mówię jego imienia i nazwiska, bo ludzie się różnie zachowują, może on dziś wstydzi się tego. Był tu u mnie. Opowiadał mi o moim bohaterstwie głupia, bo to był przypadek, że znalazłam się w takich a nie innych opałach. Powiedziałam mu, proszę pana ja wszystko pamiętam, bo był gościem w moim domu i nie mogłam mu powiedzieć wręcz. Na drugi dzień wszystkich ~~umarłych~~ <sup>zabitych</sup> zebrali, ułożyli w jeden rząd, przyprowadzili mnie i kazali pokazać, który jest Kotwicz. Myślałam sobie, że przecież Kotwicz jest taki znaczny, bo jest bez ręki a oni o tym nie wiedzą. Powiedziałam, że jestem tu przypadkiem, że ja tu nikogo nie znam a biegłam, bo wszyscy biegli, a ja jestem uciekinierką z bombardowania, z miasta, że przecież mnóstwo ludzi mieszka po stodołach, w chatach wiejskich, bo nasze domy się spaliły - tłumaczę. Może i uwierzyli, trudno to powiedzieć, w każdym razie przestali nalegać na to, żebym pokazała Kotwicza, a był on wśród umarłych. Pamiętam, że odwrócili mojego kolegę Władka, młodszego kolegę, a to było gorąco i pamiętam takie robaki żółte w oczach. Jesteśmy na tej łące i jest wczesne rano, jest rosa i widać wyraźnie wytarty ślad do kopy siana. Oni do tej kopy podeszli i wyciągnęli stamtąd Czeska Marszałka z Nowogródka - mówię nazwisko i imię, bo on już nie żyje - rannego, ale żywego i jeden z nich pokazał jak Keron palcem do dołu, czyli zakłóć. I ja dostałam hysterii - tak się strasznie dawałam, krzyczałam i oni nie zabili go, nie zadłgali. Wzięli go w koc i zanieśli gdzieś na górę. Urato-

walam mu życie, ale nie długo. On jeszcze pół roku żył, w szpitalu więziennym żył jeszcze pół rok, ale o tym dowiedziałam się w obozie. Pamiętam Kotwicza, on nie był męczony on na pewno już nie żył. On był zabity wcześniej, a jak oni szli, to on już nie był. On i Ostroga i Kaleciński, cały ten kawałek za czołem, zginęli wcześniej, niż oni przyszli. Nie pamiętam, gdzie był trafiony kotwicz, Gienka była trafiona w czoło. Teraz kazali mnie się wstawiać na ciężarówkę, już się wstawiał ten oficer, stał tam. Ja się warapałam i patrzę a oni szarpia tego ranego. Złazłam i powiedziałam że ja sama, on mnie wziął za szyję, prosiłam tego oficera żeby mi pomógł, wziął go pod pachy i podciągnął, ale nie wziął. Więc ja go tak pchałam, bolało go bardzo, bo miał chyba przestrzeloną nerkę, pęcherz, jakoś tu w dole. Ten oficer nie był w szoku - to wszystko się działo po upływie kilkudziesięciu godzin - on nie brał udziału w bitwie, ale nie powiem nazwiska tego oficera, niech sobie ustalają, dale to już nie wart człowiek, pijaczyna boża. Przywieźli nas do Radunia, ja poszłam, ściągnęłam tego chłopaka, on mnie wziął za szyję, ja jego w pas - to był bardzo dzielny ten Czesiek, on cierpiał tak strasznie. Weszliśmy na posterunek milicji. Za biurkiem siedział milicjant Żyd i doskoczył do Czeska i zaczął go kopać, ja się dawałam straszliwie, a on tego Czeska wyzywał: Ty wściekłe nasienie, ty jesteś tak jak twój ojciec, ty bandyto! Ja nie wiedziałam, że jego ojciec był komendantem policji w województwie nowogrodzkim. I na to wszystko wszedł oficer, mówił, że generał, był w granatowych spodniach z czerwonym lampasem, potężnej tuszy i ja mu prosto na brzuch łaziłam i krzycząc: biją ranego! Spytał, co się stało i ja mówiłam, że ten /komendant/ kopie



rannego i on go wyrzucił, kazał mu wynieść się i wiem, że zawołał lekarza czy felczera, żeby opatrzyć rannego. A mnie zaprowadził do pokoiku i dali mi dokumenty, które znaleziono przy tych wszystkich zabitych - oni nie umieli czytać, bo to były lewe dokumenty niemieckie, żaden nie dotyczył żadnego z tych chłopaków - i kazali mi to tłumaczyć. I siedział tłumacz i pilnował, czy ja to robię dobrze - wtedy o tym nie wiedziałam - i ja czytałam in te nazwiska, które nic nie mówiły. Tam nie było ani jednego prawdziwego nazwiska. Wsadzili mnie do chlewika, tego rannego chłopaka też tam wrzucili i wsadzili tą panią, która rozmawiała z Kotwiczem, jak on kręcił kogel-mogel, tę, której nie znałam. Chciałam się do niej odezwać, ale powiedziała, milcz, dała coś takiego i powiedziała, masz to zjeść. Zjadłam te papierki, strasznie twarde były, nie wiem co to. Zabrano mnie stamtąd, wsadzono mnie na gazika, zarzucono mi gazę na łeb i przywieziono mnie do Lidy. Posadzono mnie w domu pana Szynicy, przyjaciela mojego ojca. Pilnował mnie białorusin z czerwonej partyzantki. Byłam przeobraźnie brudna, bo przecież siedziałam w błocie, i byłam zupełnie obojętna na wszystko, co się dzieje. Wzawali mnie na górę, pytali o coś, ja nie wiedziałam o co, nic do mnie nie docierało, poza tym mówili po rosyjsku a dla mnie to była nowa trawa. Nie bili mnie, ciągle tylko wymachiwali łapami przed nosem. Powiedzieli mi tam, że powieszą mnie na takim słupie, podobno tam powiesili Bakłaszca, dowódcę oddziału zmotoryzowanego od Ragnera, pseudonim jego był harcmistrz czy harcerz, nie pamiętam - podobno powieszono go tam publicznie, ja o tym dowiedziałam się w obozie. Potem był sąd wojenny i pojechałam w świat szeroki, na isprawlienijs na 10 lat trudawych wyderenii isprawitelej trudawoj łaria /III/. Byłam

za kołem polarnym cztery lata, potem pan Beria doszedł do wniosku, że to jest dla więźniów politycznych za słaby obóz i stworzył dla nas spec-oboz. Ja siedziałam w specjalnie zorganizowanym obozie karnym w Uzierlagu, tj. osoby zakryty reżimowy lagier.

III/R Teresa

I strona

Aresztowana byłem 22 lutym a wyrok był w końcu lutego 1945r. Już w obozie, na północy, kiedy byliśmy w obozie dowiedzieliśmy się, że już wojna się skończyła. Najpierw miałam wyrok śmierci, straszono mnie, wszystko to było takie gadanie. W czasie śledztwa zabrali mnie najpierw do Ładunio, potem przewieźli mnie do Lidy, w Lidzie bardzo mało się mną zajmowali, bo ciągle mieli jakieś gadanie - tak mi mówił ten partyzant czerwony, którego brat był w białej partyzantce. Nie przeżywałam tego wcale, bo stracony były dla mnie czymś strasznym, nie jadłam, nie spałam - żołnierz mi się śmiał, dlaczego ja nie jem - siedziałam w pokoju, w żadnej piwnicy, w pokoju pana Szynica. Ten żołnierz z czerwonej partyzantki pilnował mnie i zjadał moje jedzenie, pozwalał mi wyjść samej do ubikacji, umyłam rycę, to byłam szalenie brudna od tego czasu, kiedy wpadłam do tego błota i nie mogłam wyjść - dlatego chyba żyję, bo gdybym próbowała uciekać, to na pewno by mnie zaciłi. W Lidzie siedziałam na Falkowskiego. Stamtąd wywieźli mnie na Syrokonkę, stamtąd wywieźli mnie do Grodna... W celi pojedynczej siedziało nas 11. O co mnie pytali? Do jakiej organizacji należałam, co robiłam? Ponieważ nie mogłam się z moim śledczym porozumieć - to był taki albinos antypatyczny, miał białe włosy, wyblakłe oczy - on mnie pytał i moja odpowiedź doprowadzały go do pasji. Co było niebezpieczne? Na pewno to, że pokazywano mnie komuś.



Wszędzie byli nasi, ciągle kogoś łapano. Może ktoś mnie znał, a ja stworzyłam sobie swój własny życiorys, nowy i podpisywałam go chyba z pięć razy jedno i to samo, że moi rodzice zginęli, że mieszkalam w domu - wg. <sup>Krystyny</sup> ~~Wandy~~ Kowalskiej - domu nie ma, rodzeństwa nie miałam. Pewnego razu poprosił mnie, żebym jeszcze raz opowiedziała mu swój życiorys i on mi potem przeczytał mój prawdziwy życiorys - jak się nazywałam, gdzie mieszkalam, w jakiej szkole się uczyłam i jakie miałam koleżanki - ktoś zechciał ten życiorys mój podać, to koleżanki były tylko te podane, które już były wymienione albo których nie było. Nic nie było o partyzantce ani o moim przyszłości. Wtedy, kiedy on pisał i chciał, żebym to podpisała, to ja powiedziałam, że podpiszę wtedy, kiedy on napisze tak, żebym ja mogła to przeczytać i nie podpisywać. Ciągłe nam brali odciski palców, bez przerwy z celi wywoływali - nyszy to nazywali "gra na fortepianie". Kiedyś, siedziałam w dużym pokoju, dość daleko od biurka, on o byle co, o najmniejszą sprawę trzymał mnie po 12-15 godzin, ustawiał mi taboret na róg, kazał mi siedzieć sztywno, ręce na kolanach, a sam przy biurku drzemał, spał, miał czerwone oczy, obrzydliwy był - zadawał mi bardzo krótkie pytania, pytał się o moich kolegów. Pamiętam, że pytał mnie o Kostka Kosińskiego, który był również pod Burakami, już nie żyje. On mówił: on bielopolak? Nie wiem. I trwało to np. pięć godzin, więc ja milczę, nie odpowiadam - to on mówi, niech coś dodam do tego - ja mówię, że nie wiem. Denerwował się, przedrzeźniał mnie, ale nie bił. Kiedyś, ponieważ nie podpisywałam tego, kazał mi położyć ręce na biurku - ja myślałam, że znowu będzie ta "gra na fortepianie", a on wziął za lufę pistolet i uderzył mnie rączką po palcach,

okropnie mnie bolało nie w momencie uderzenia, tylko potem. Jeszcze taka dziwna sprawa, kiedy odprowadzał mnie żołnierz przez miasto, chciałam, żeby odprowadzał mnie Grodkiem, może kogoś znajomego spotkam, może ktoś mnie zauważy, a ja mówi, że nie pódzie mnie tak prowadził, co się wstydzi, szedł z karabinem na ramieniu i wyglądało tak, jakby szła z żołnierzem wojskowym, głupie sprawa. Dlaczego mnie pytał o Kostka Kosińskiego? Dlatego, że Kostek siedział również i ja widziałam go w tym KPZ, gdzie ja sama siedziałam, a były trzy cele i byli jacyś kolejarze z Grodna, którym przyznano jeść, oddawali im to jedzenie. I ci panowie mówili zawsze tej naszej dziewczynie, która sama siedzi - dostawała za darmo jakiś kawałek kotleta, chleba z masłem. I potem z KPZ zabrali mnie do więzienia i w celi siedziałam nas 11. W więzieniu takie jak na filmach - I piętro siatki, to było śledziennicze więzienie, chyba trzy czy czteropiętne, nie wiem, w każdym razie nad głową były siatki, przyprowadzali nas, stawiali nas do ściany. Pamiętam, że kiedyś tak czekając na wprowadzenie mnie do celi, ustawiono mnie przy jakimś młodym człowieku, który również stał z rękami do tyłu, twarzą do ściany i pytał się mnie, czy jestem już po wyroku czy jeszcze w śledztwie, powiedziałam, że jeszcze w śledztwie, a pan? Powiedział, że jest już po wyroku, dostał wyrok. Nie wiedziałam, co to wyrok, okazało się, że były to wyższe miary nakazania, czyli rozstrzał. Popatrzyłam na niego i nie wiedziałam, co mam powiedzieć, a on mówi, że cieszy się z tego, nareszcie skończy się moja męka. I mnie zabrali i tak ciągle w pamięci pozostał mi ten młody człowiek, który cieszył się, że umrze - okropność. A mojej celi siedziała rosjanka Maryjka, bardzo cierpawa dziewczyna, która należała



do armii Kamińskiego, to była jakaś armia, podobna do Własowa, ja o tej armii nic nie słyszałam, opowiadała mi, że Kamiński siedział 20 lat na Salawkach. Salawki to bardzo ciężki obóz i stamtąd uciekł, opowiadała, że on bił się z Niemcami dlatego, że walczył o wolną Rosję, trochę takie idee dla nas niepojęte. Z wielką wiarą o tym mówiła i mówiła, że ziarno zacięte powinno zakiełkować, doskonale znała te wszystkie ich prawa i bezprawa. Był taki zwyczaj w więzieniu, że jak ktoś był wywoływany na śledztwo, a wywoływali nas nie z korytarza, tylko przez kłapę, którą podawano nam jedzenie - pytano się nas w celi, kto jest np. na literę "K"? Ten, kto był na literę "K" podawał swoje nazwisko ze środka i on wtedy mówił: sobirajsie - na pewno było tak dlatego, żeby na korytarzu nie wiedzieli, kto tu siedzi. Maryjka powiedziała mi, że te wszystkie moje starania/usilija/, żeby nie podpisywać tego, co on napisał, są bezskuteczne, bo i tak i tak, kto trafił raz do więzienia, ten nie wyjdzie. Będziesz miała wyrok, będziesz musiała jechać do obozu i pojedziesz kaleką, a tam będziesz miała bardzo ciężko, więc niech on ci napisze, co masz podpisać i tak samo napisz, bo nie ma sensu, żeby się sprzeciwiać i rzeczywiście, to bardzo dobre dało wyniki. I pewnego razu w czasie mojego śledztwa wszedł do tego pomieszczenia naczelnik NKWD w Crodnie z jakimś pułkownikiem /tak się do niego zwracano/ siwym eleganckim panem, rozejrzał się dookoła, kazał przynieść biurko, przynieśli jakieś akta - to była kontrola z Moskwy. Ten pułkownik wszedł na bardzo niefortunny moment. Była taka sytuacja wcześniej, że śledczy ciągle mnie się pytał o Kozłńskiego - zresztą potem, kiedy się z nim spotkali i wszystko było jak najlepiej, bo on powiedział do miejsca,

Kiedy trzeba było i ja też, dalej już nic o sobie nie wi-  
działismy, czyli Surkuty minęły przed nosem - zadawał mi te  
pytania bardzo nudne, a ja robiłam słodkowie - dźubałam so-  
bie siedząc, paznokcie, czyściłam je. Doskoczył do mnie, myś-  
lałam, że mnie chwyci za szyję, tak był wciśnięty, a potem po-  
szedł do biurka i kazał mi tam podejść /myślałam, że znówu  
zechce coś mi zrobić/. Nie wiem, co mi przyszło do głowy, bo  
na biurku stał kałamarz na podstawie z marmuru szczeniowej  
i w kałamarzu był zielony atrament i ponieważ on zaczął do  
mnie skoczyć przez biurko, ja zaczęłam uciekać, choć wie-  
działam, że nigdzie nie ucieknę - chwycił ten kałamarz  
i walnął w niego, ale myślałam, że podstawą będzie osobno,  
a to było razem. Uderzyłam, część atramentu poleciała jemu  
na gienasciorkę, uderzyło w ścianę i w tym czasie wszedł  
Kuźniszów, młodszy z NKWD z tym nieznajomym pułkownikiem.  
Ja, jakgdyby nigdy nic, usiadłam na swój taboret i on za-  
czął mnie znówu pytać: on białopolak? Nie znamu. U nas Pola-  
cy nie danielili się na kolory, co pan rozumie pod tą nazwą?  
Ja rozumiałam, że jemu chodziło o to, czy on był partyzan-  
tem, czy nie - ale nie musiałam o tym wiedzieć, im człowiek  
głupszy, tym lepiej. Potem powiedziałam, że już nic nie po-  
wien, bo nic nie wiem. I jego wściekłość ogarniała, bo sie-  
działa jakas jego "Tisza", a tu ze śledztwa nic nie wycho-  
dzi. Tymczasem ten pułkownik niby nie słuchał, był zajęty,  
ale powiedział do tego lejtnanta, żeby przyniósł drewniszek.  
podłożył do pieca - bo on się zapytał, co się stało, że on  
na brudną marynarkę, a ten lejtnant powiedział, że niefor-  
tunnie wylał na siebie atrament, ale powiedział, że ja rau-  
ciłam w jego kałamarzem - pewnie dlatego nie powiedział o  
tym, bo bicie po cieniu się tam akceptuje, ale na głośno



to nie. Jak wyprawił tego lejtnanta, zwrócił się do mnie, powiedział, proszę do mnie mówić po polsku, ja bardzo dobrze znam język polski, ale nie mówię, choć mogę mówić. Dlaczego pani z nim nie rozmawia - ja nie wiem, co on ode mnie chce, ja już trzeci raz jestem pytana o to samo, siedzę po 12-18 godzin i ciągle to samo, a ja nic więcej nie dodam, bo nie stworzę sobie historii, której nie wiem i dlatego nie będę więcej z nim rozmawiać. I tak się stało, że więcej z nim naprawdę nie rozmawiałam. Długo, długo nie byłam wzywana i jestem wzywana znówu pewnego dnia i prowadzą mnie do innego pomieszczenia. Jeszcze była taka anegdota - co to znaczy nieznajomość języka rosyjskiego - ten lejtnant powiedział mi po rosyjsku: wy wsie Polki to wy bladzi. Nie wiedziałam, że to jest brzydki wyraz i powiedziałam, że to nie dziwnego, bo my siedzimy w więzieniu - tłumaczyłam mu trochę tak na migi i wreszcie zrozumiał całe qui pro quo i śmiał się serdecznie i wzywał jeszcze sąsiada z drugiego pokoju i patrzyli na mnie przynajmniej jak na afrykańską małpę, ryczeli ze śmiechu, ja nie wiedziałam o co chodzi, puścił mnie wtedy, przyszedłam do celi opowiedziałam wszystko Marysi, ona też się śmiała i dopiero mi wytłumaczyła, co to wszystko znaczy. Myślałam sobie, dobrze, że nie rozumiałam, bo nie wiem, co to by było! Okazało się wtedy, że pan pułkownik zaprosił mnie do siebie na rozmowę - ja się nie bałam swego śledczego, natomiast bałam się tego pułkownika okropnie - o czym z nim rozmawiali? Pytał mnie, czy ja znam cośkolwiek ze sztuki, literatury rosyjskiej? Powiedziałam, że naturalnie, znam całą klasykę: Lermontowa, Turgieniewa, Nikołajew, Tołstoja, Dostojewskiego. Był zdumiony. A malarstwo i malarstwo: Surikowa i Lewitana mojego ulubionego pejzażys-

te. Skąd ja to znam? Mówię, że ze szkoły. To was tego uczyli? Tak. A czy filmy jakieś widziałam? Powiedziała, że widziałam tylko "Piotra Wielkiego" i "Świat się śmieje", ale tylko dlatego, że wyświetlano u nas w szkole a do kina się nie chodziło. A dlaczego? Do to był wstyd chodzić do kina. A ja cały czas się bałam, że on wśród takich pytań niewinnych zada mi zasadnicze pytanie i czekałam na nie, ale nie doczekałam się. Zawołał mnie jeszcze, kazał mi czytać, powiedział, że mam tu całą biblię, że będę sądzona. Pytam się, za co będę sądzona? Za zdradę Ojczyzny, że na pewno otrzymam wyrok, ale jeszcze będzie sąd /wojenny trybunał/ i jak pojedę do obozu, ale jak przyjadę po pół roku z obozu, to żeby pisać. Do kogo - pytam się. A do wszystkich bogów i do Stalina i innych. Naturalnie do nikogo nie pisałam przez cały ten okres pobytu w tej Ziemi Szczęśliwości, bo to było niepotrzebne - nikt, kto pisał nigdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Co mi pozostało z pobytu w więzieniu? To się wiąże z moim spotkaniem niezwykłym w obozie, więc chcę to opowiedzieć. Pewnego dnia mnie i Marysię, tą Rosjankę wypędzono z celi i kazano nam myć taki pokój korpusnowo /to było miejsce pobytowe dla klawiszy, oni tam odpoczywali/. Od razu na lewo, o jak się wchodziło do tego korpusu, ja byłam na parterze - dali nam gorącej wody, szczotkę, proszek i kazali nam to ponieszczenie umyć, wszyscy wyszli. Ponieszczenie było okropnie brudne, stół i podłoga były w jednym kolorze a poza tym podłoga była zapluta, ale stała w kącie spluwaczka i spluwaczka była czysta. I w spluwaczce znalazłam różaniec i książeczkę do nabożeństwa. Mała książeczka ze skórzaną okładką, z zapięciem i na pierwszej stronie napisane było: S. Borowska. Książeczkę i różaniec przamyciłam



do celi. W celi była taka babcia, która ciągle nam wróżyła. Zresztą w więzieniu i w obozie były takie historyjki, że wierzyliśmy w różne przypadki, wydarzenia, wszystko się tam tłumaczyło na język guslarski i byliśmy strasznie tym przejęci. Babci oddałam różaniec, książeczkę schowałam. I przewiozłam ją przez wszystkie obozy, bo ja nie byłam w jednym obozie. Teraz odskocz, sobie trochę. Jestem już sześć lat w obozie. Jestem na zero dwunastej, to jest obóz jeden z najcięższych na trasie Taryszeckiej, tj. niedaleko Nowosybirska. W tym obozie było kilkanaście Polek - to było wielkie szczęście, rzadko było tak. Na przesyłce do obozu też nas było, chyba ze trzydziści, ale to było też wielkie szczęście dla mnie, ja tak uważałam, że miałam tyle rodaczek. Wróciłam z pracy, bo byłam na leśniewale, tj. zwózka, wywózka i pilowanie, ładowanie na sanochody i idąc do swojego baraku - ta cała przestrzeń między tymi wyszkami i drutami w środku to się nazywała Zona - spotkałam swoją rodaczkę Klarę i ona mówi, pójdziemy do pani Stefanii Borowskiej. Do jakiej pani Borowskiej? Do pani Stefanii, a była tam pani Stefania, myśmy do niej chodzili, ale nigdy nie słyszałam tego nazwiska. Myślę sobie, czyżby to była ta, ja mam taką książeczkę. Pani Borowska to było takie nasze słoneczko, podglądała nas, a potem nam to wszystko opowiadała w formie anegdoty i myśmy się zaśmiewały same z siebie. I dziwna sprawa, kiedy naprawdę serdecznie śmiałyśmy się, to potem czegoś bałyśmy się, że coś się stanie, że zapomnieliśmy się. To też był pewnie taki zabobon - to dobrze, że śmiałyśmy się, nie trzeba było się bać. Poszłam do baraku pani Stefanii razem z Klarą, rozmawiałam - to była cudowna kobieta, umarła w obozie na raka, miała amputo-

waną pierś i zawsze na tych komisówkach lekarskich pytano ją, kto jej zrobił taki piękny szew, ona zawsze mówiła profesor Misajda, to był znany chirurg wileński - i pytam się wtedy, czy była ona w Grodnie w więzieniu, ona mówi, że nie, nie siedziała w Grodnie, ale była bardzo krótko, bo wioząc ich dalej, zatrzymano się na 48 godzin po to, żeby zaopatrzyć etap w chleb - myśmy wtedy siedzieli bez chleba w więzieniu - i pytam się czy ona tam przechodziła rewizję osobistą, ona mówi, że tak i zabrano jej różaniec i książeczkę do nabożeństwa. Siedziałam, że to jest to, poleciałam do swojego baraku, moje miejsce było na górze na narach /pryczach/, z poduszki z waty wyciągnęłam książeczkę i przybiegłam do niej. Położyłam tę książeczkę na dłoni i powiedziałam, że ja mam coś dla pani - to zrobiło na niej ogromne wrażenie, zrobiła się najpierw czerwona, potem blada, wzięła książeczkę do ręki powiedziała, że tak, to jest jej, ale teraz to jest ta książeczka moja, bo ja ją uratowałam od połamania. Powiedziałam, że wyjęłam z tej spluwaczki i potem przewożikam po to, aby wróciła do właścicielki. Oddałam tę książeczkę i nie po raz pierwszy pomyślałam, że ten świat jest mały i są najróżniejsze znaki świadczące o tym, że coś takiego jest, coś kieruje losami ludzi, nawet i przedmiotów, bo gdzie Wilno, gdzie Grodno a gdzie O12, tj. trasa tajszowska, ale tam, gdzie myśmy byli, to na mapie tego miejsca nie ma, ponieważ to był obóz w tajdze, to nie było żadne osiedle nawet. Tam książeczka wróciła do pani Stefani. Wracam do początku etapu - więc po sześciu tygodniach bardzo uciążliwej jazdy, nie dawano nam wody, w każdym razie bardzo rzadko, konwojentami byli żołnierze z frontu, bardzo źle nas karmiono - potem dowiedzieliśmy się już na miejscu



w Pieczorze, że oni sprzedawali chleb i to, co się nam należało miejscowej ludności po drodze za wódkę. Na przykład raz na trzy dni śniegu spod nóg rzucono nam na podłogę.

W samym wagonie przeżyłam pierwszy taki wstrząs. Było bardzo ciasno i po jednej stronie były prycze - tam się usadowiły Rosjanki, wszystkie ze świata przestępczego, a myśmy tłoczyły się w drugiej połowie wagonu i było nam tak ciasno, że nie mogłyśmy się ułożyć do spania - kładłyśmy nogi na siebie w czasie spania. W wagonie naszym był żelazny piecyk i jedno polano - piecyk był bez komina, jak na ironię i polano też nie było czym ogrzać. Nie było okien w tym wagonie. Jedynym wylotem na powietrze była parasza tj. kibel - blaszany lejek w środku wagonu, tylko przy drzwiach, bo to były bydłowe wagony, to była nasza ubikacja. Właściwie było ciemno. Jechaliśmy sześć tygodni i z nami jechała taka starsza pani z Grodna, z którą specjalnie nie rozmawiałam. W pewnym momencie ludzę się, jest jakieś zamieszanie, czuję na sobie szynel - wszystko dzieje się po omacku i po ciemku i jedna z naszych dziewcząt mówi, słuchajcie, Rosjanki chcą tej naszej starszej pani wyrwać szczękę - okazuje się, że ona miała złote zęby - zaczęła się bitwa po ciemku i po cichu. Ja dotarłam do szynelu i wiedziałam, że to nikt z naszych i przeorałam paznokciami twarz czyjąś, nie zabrały tej pani szczęki. Na drugi dzień jedna z tych Rosjerek mówiła, że „gdyby wiedziała, która z tych małych przeorała jej twarz, to ona już by stąd żywa nie wyszła.” Ja owszem, drapałam ją porządnie, prawdopodobnie to jej zostanie. I tak z różnymi przygodami, w straszliwym chłódzie, głodzie, nędzy dojechalismy do Pieczory - naturalnie nikt nam nie mówił, dokąd jedziemy i jak to długo będzie

trwało - to też jest jedna z metod dokuczenia człowiekowi. Przysadziono nas do rieczory, otworzono nam drzwi, ja by-  
łam blisko drzwi, byłam w stroju narciarskim, przystawili  
deschy do wyjścia i powiedzieli: spartamiemy politykanty, wy-  
chadi. Otworzono drzwi i wyglądało tak, jakby była mgła,  
jak mleczko, okazuje się, że to nie była mgła tylko taki  
mróz. Mieliliśmy 500 metrów do wrót obozu a szliśmy chyba  
całymi godzinami. Dziewczyny po prostu opadły z sił i ciągle  
mdlały, ja ciągle kogoś klepałam po bazi i ciągle kogoś pod-  
nosiłam - sama świetnie w porównaniu z innymi przetrwałam  
ten okres, przede wszystkim nie lizałam śrub w wagonie. Da-  
wano nam rybkę, która nazywała się tiulka, to była sama  
głowa i ogon i to było przeraźliwie słone. Dziewczyny z głó-  
da jadły to a potem pić strasznie chciały. Ja nie jadłam,  
żeby nie pić i one wszystkie te oszronione śruby lizały i  
ten szron zdrapowały. To że ogólnie z tej mojej Akademii  
Życiowej wyszłam prawie bez szwanku, to zasługa moich ro-  
dziców, byłam zdrowa fizycznie i przeto odporniejsza psy-  
chicznie. Wróć jeszcze do więzienia. Już po wyroku siedzia-  
łam w dużej celi, gdzie nas było ze sześćdziesiąt i zupeł-  
nie nie mogłam znieść tej atmosfery. Tam była taka baba  
Polka, roztrzepana, szpakowana z jednym zębem i drewnianą  
nogą i jeszcze do tego miała laskę, taki patyk i chodziła  
po celi, wiedząc kto otrzymał paczkę, tego kogoś tą laską  
prukała w brzuch, oko, głowę, wszystko jedno i niby zarabiała  
na to śpiewając ordynarne piosenki, tak okropne, że ja nig-  
dy przedtem i nigdy potem takich rzeczy nie słyszałam. Nie  
mogłam tego znieść. A siedziała przy mnie starsza pani, któ-  
ra otrzymała 15 lat za rozkład moralny armii radzieckiej.  
Co to było? Ta pani miała czterech synów, kiedy w 1939 roku



wybuchła wojna, poszli oni na wojnę. Mieszkała ona w folwarczku. Synowie nie wrócili, wtedy ona nic o nich nie wiedziała i jak przyszli po raz drugi Rosjanie, wpadli do niej i grabili. Przed wszystkim zabrali ubrania jej dorosłych synów. Prawdopodobnie to byli desertorzy i gdzieś ich tam złapano, przyduszono dobrze i musieli pokazać, gdzie te ubrania dostali, oni przyprowadzili do tej pani. Tą panią aresztowano i zarzucono, że ona namawiała żołnierzy radzieckich do dezercji. Ta pani siedząc pod ścianą, mówiła że widziała, że nie mogą spać, że ogromnie cierpią od tego wszystkiego, co się tutaj dzieje. Powiedziała, słuchaj, przecież ty nie musisz być tutaj, my możemy z tobą chodzić na spacer. To było dla mnie ogromnie śmieszne, a jednak to była piękna sprawa. Ona mnie nauczyła wyłączać się z tego, co mnie otacza i to można zrobić, można zupełnie się wyłączyć. Namawiała mnie na spacery do miejsc, które bardzo lubię, tam, gdzie chciałabym pójść i ja to potrafiłam zrobić. Chodziłam sobie po lasach, po polach, tam, gdzie chciałam i naprawdę wyłączałam się z tego, co się dzieje w celi, zupełnie, do tego stopnia, że można było do mnie mówić, a ja nie wiedziałam o co chodzi - trzeba było mnie dotknąć, a to robiła tylko ta starsza pani. To wyłączanie zupełnie przydało mi się teraz, będąc w Częstochowie, przeżywałam ogromnie ten mój pobyt przed obrazem, za mną stała wycieczkowiczka, która cały czas w autobusie śpiewała i miała przeraźliwie świdrujący głos, śpiewała prawie mi do ucha i spróbowałam swojej metody - udało mi się całkowicie, byłam sama.

Wracając do Piszory. Wszliśmy do Zony, wpuszczono nas po wielkich ceregielach i ceremoniach - trzeba było siadać po kolei wywołując, trzeba mówić nazwisko, datę urodzenia, wy-

rok, ten. paragraf, początek i koniec wyroku. To trwa. Przy-  
prowadzili nas do bani /łazieni/. To też jest okropne upoko-  
rzenie, ponieważ rozbierałnia była w innym miejscu a bania  
w innym i nago przeganiano nas, musieliśmy przejść przez  
środek, w szeregu stali żołnierze - wtedy okazało się, że  
był mróz 50 stopni - musieliśmy nago przelecieć do bani.  
Po łazni przyszedł fryzjer mężczyzna, który usuwał nam  
wszelkie owłosienie - to było nie do przeżycia, dziewczyny  
zaczęły płakać, krzyszeć i uparły się, że nie dadzą się o-  
golić - fryzjer się tłumaczył, że jego to nie obchodzi, on  
tu nie pierwszy etap goli i żeby nie robić z tego sprawy.  
Wreszcie ten bałszczyk przyprowadził nam taką złodziejkę -  
też wtedy nie wiedziałam, że to jest złodziejka - obudził  
ją i ona przede wszystkim z ogromnym pyknięciem do nas się  
zwróciła i ona zajęła się goleniem. Dziewczyny były zawazo-  
ne, prawdopodobnie ja też, ale nam włosów nie obcięto, myś-  
my były pierwszym etapem kobiet, którym nie obcięto włosów.  
Ja zostałam ze swoimi warkoczykami, dano nam tylko jakiś  
środek przeciw insektom i on nam pomógł. Wyszliśmy stamtąd  
do ubierałni i nasze rzeczy już do nas nie wróciły. Dano  
nam jakieś, po kimś. Mnie trafiła się koszula huculki, bo  
to była lniana koszula do połowy białego płótna, od po-  
łowy szarego, przy szyi chyba miała setkę maseczek i w  
każdej takiej zakładce był cały rząd gnid, te gnidy by-  
ły martwe, ale jak ja to zobaczyłam, to tego nie wziłam.  
I również tam siedział mężczyzna, taki starszy dziadek i  
on zobaczył, że ja odrzucałam tę koszulę i on mi ją wepchnął  
z powrotem, mówi, wiesz, będziesz miała z tego onaco - jesz-  
cze popukał się w czoło, że ja jestem taka rozrzucona, że  
trzeba brać wszystko, co dają. Zresztą był dobrym człowie-



kiem. Stamtąd zagoniono nas do takiego baraku, gdzie nas ubierano, tzn. dawano nam czunio, czutki, spodnie wátowe, burszlak, czapkę, rękawice. Co to były czunio i czutki? Czutki to taka pończocha do kolana zrobiona z waty przepiękowanej a do tego jest czun tj. taki niby malosz, ale on jest uszyty przez więźniów z koła samochodowego- taka guma ze samarkani. Ja dostałam tak wielki czun, że moja noga przez otwór do niego wchodziła i nie mogłabym go nosić. Te czutki zawiązywało się na dwa frędzelki pod kolanem.

III/R Teresa

II strona

W jednym końcu sali była komisja lekarska, w drugim nas ubierano, robiono to na liście, więc trzeba było mówić imię, nazwisko, imię ojca i rzucano te rzeczy, jeden odznaczał w rubrykach, trzeba było to podpisać i następny, następny. Oni bardzo się spieszyli. Po kilku dobrych godzinach już była moja kolej - podeszłam i mówiłam swoje nazwisko, moje nazwisko brzmi bardzo po polsku, gdyby to mówił Rosjanin, to dodałby -ja. na końcu. Taki starszy pan, który o to pytał, mówi, pani Polka? Tak. Boże, moje dziecko, gdzieś ty trafiła - myśmy były pierwsze kobiety zza linii frontu- tutaj nikt nie widział wojny i te wszystkie, które tu siedziały nie miały żadnego pojęcia o wojnie. Ten pan, mówi do mnie, gdzie ty jesteś moje dziecko? Tu, koło pieca stoję. Dobrze, to stój, ja tam przyjdę, czekaj na mnie. Dał mi dobre czutki, tzn. nowe, nowy burszlak i nowe spodnie, bo tante wcale nie były nowe, tylko używane, podarte czasami z dezynfekcji, a ja dostałam nowy burszlak, biały panietam, czarną nitką przeszywany, spodnie nowe, zdjął swoją skórzaną czapkę z głowy, miał z białym barankiem, którą ukradzio-

no mi bardzo szybko, ja to wszystko zabrałam, podpisałam i on przyszedł potem do nas pod piec, nas było czterech lub pięć Polek i powiedział, gdzie my jesteśmy, powiedział, jak powinniśmy się zachowywać w obozie, że powinniśmy pić chwoję, tj. taki napar z igieł i różnych zielonych listków - to była jedyna witamina C ratująca nas przed skorbutem, powiedział, że to jest gorzkie, nieczyste, ale trzeba to pić, nigdy się nie skarżyć w obozie i nigdy nie wiedzieć, nawet wtedy, gdyby przy nas zabito człowieka, to nie widziałam i nie słyszałam. Jest po rosyjsku takie przysłowie - mówi - że trzeba być niższej trawy, ciszej wody. Był z nami bardzo krótko, musiał wracać do swoich zajęć, ale ja to pamiętam do dziś, ten człowiek bardzo wiele mi pomógł. Kręcił się około nas taki młody chłopak, pompotrudu, ten. pomocnik naczelnika po pracy. I ten chłopak namawiał mnie cały czas, żeby powiedzieć, że jestem artystką albo krawcową, ja nie bardzo wiedziałam o co chodzi, że jak będę przed komisją stawać, to żeby powiedzieć, że ja chcę tu zostać. Nie wiedziałam dlaczego i nie wiedziałam czy ja tu chcę zostać czy nie - było to pierwsze miejsce, gdzie żeśmy wylądowali i gdzie dostaliśmy kawałek chleba, ten chleb był z osem, kukurydzą, ale jak dla mnie wtedy, to on był bardzo smaczny. Podszedł do mnie taki pan, podobny do Cygana, czarny, czarne miał oczy, brodę i taką fajkę nietypową - głowa diabła z czerwonym językiem. Pyta się, kto ja jestem i czego ten ode mnie chce. Mówię, że chce żebym tu została. On powiedział, że jemu nie wolno tak poradzić, ale żebym nie zostawała, nie robiła tego, poproś, żeby cię na etap wywieziono, a dlaczego to zrozumiesz może po roku a może po dwóch latach. Przeszłam przez



tą komisję, powiedziałam, że nie mam żadnego zawodu, że nie chcę tu zostać i przeszłam do komisji lekarskiej. Komisja lekarska była żalosna, to był taki pretekst, ale tam był Gruzin, pamiętam go, zapytał mnie, kto ja jestem, powiedziałam, że Polką i on mi kazał wtedy usiąść i podnieść bluzkę i osłuchiwał mnie i dał mi trzecią kategorię zdrowia. Co to znaczyło dopiero zrozumiałam, kiedy byłam w obozie pracy. On mi po prostu ratował życie. Zawsze do Gruzinów miałam i mam ogromny sentyment, to jest naprawdę piękny naród, to jest naprawdę naród orłów - oni są wielkimi patriotami Gruzji, ogromnie są dla siebie życzliwi a poza tym wiele dobrego od nich doznałam i może dlatego mam do nich sentyment, wiele sercu. Jak długo byliśmy w tym obozie nie pamiętam i potem znów na etap. I tu jechaliśmy już bardzo wygodnie, ciepły wagon, miałyśmy te nary, każda swoje miejsce, miałyśmy te burszłaty i spodnie wataowe czyli można było spodnie podłożyć a burszłatą się nakryć. Jechaliśmy chyba dobrze. W czasie podróży dano nam otwarte puszki grochu z czynną. Piecyk był, można to było jakoś zagotować, ale trzeba by było czekać, więc każda to jadła jak jadła no i potem strasznie chorowałyśmy. Przywieźli nas na taki uczystek, niewielkiego obozu który miał za zadanie pracować dla kolei i przy kolei. więc w lesie podsypywać, podbijać to szyny, podnosić, bo to jest tundra, więc wiecznie osiadają szyny a w zimą dali nam taką robotę, że chodziliśmy tam, gdzie oczyszczają tendrie - nie wiem jak to jest po polsku - parowozy, wyrzucają spalony żużel a poza tym wypuszczali wodę i to było coś okropnego, bo to był zamrażnięty żużel i były tego ogromne góry. Dano nam kilofy i myśmy miały to oczyszczać a brygadzystą naszym był taki sympatyczny Ukra-

iniec, który jak nas zobaczył /byliśmy osłabione podróżą i tym wszystkim/, to zażądał rące, był przerażony taką brygadą, prosił, żebyśmy się tylko ruszali, żeby coś robić, aby nie zamarać i o dziwo, pisał nam, żeśmy wykonali półtorej normy, żeby nam dali więcej chleba. W tym obozie nie byłam długo, może niedługo, ale przechorowałam okropnie tę grochówkę, leczono nas nadmanganianem potasu, tylko to było w ambulatorium. Infekcja była na dwadzieścia otworów, a to była straszliwa dżyn-teria, więc każda była się zejść z ubikacji, to natychmiast zajmowała ją inna. Z tego obozu zostały mi w pamięci takie dzi-kie sprawy. Ciągłe miałam uraz, że zabraknie wody, więc co-dziennie wieczorem zabrałam się na nary, zaglądałam do becz-ki /w każdym baraku stała beczka z wodą/. Na czwarty lub piąty dzień po przyjeździe do tego obozu - jeszcze nie pracowaliśmy - w okresie tzw. kwarantanny, przyjechała do nas orkiestra dę-ta. Jak weszła do naszego baraku, to ja myślałam, że jestem na dnie piekła - do tych milionów pluszów, które były w baraku, do tej przeklętej różnicy, gdzie jak się pluło spadał kawa-łek lodu, gdzie oddech zamieniał się w igiełki, gdzie po pię-ciu minutach pobytu na powietrzu twarz pokrywała się szronem, gdzie byliśmy tak ciężko chore, gdzie nas okradziono, gdzie człowiek nie wiedział gdzie jest - nagle zjawia się orkiestra dęta. Wlazłam na nary, naciągnęłam na głowę majtki watowe i burzacz. Tymczasem ktoś zaczął we mnie pukać i tonem rozkazu-jącym kazał mi zejść, więc zeszłam i powiedziałam: posłuchaj mnie, wody ci nie zabraknie - widzę, że to codziennie sprawdzasz - namę masz? Mam? Skąd ty jesteś? Polka jesteś. Do domu chcesz wrócić? Chcę. To musisz tak żyć, jak tu się żyje. Nie wracaj wspomnieniami do domu i masz słuchać orkiestry, oni są tacy sa-mi jak ty, każdy z nich ma wyrok, tu trzeba żyć tak, jak się



żyje. tu. Nie spuszczaaj nosa, nie upadaj duchem, zjadaj wszystko co ci dają, broń się od pluskiew i wszelkiego innego paskudztwa i tak masz żyć, przed tobą wiele lat - mówił to Rosjanin, który siedział już osiem lat, bardzo porządny człowiek, który opiekował się nami zdalnie, obserwował nas /wiedział, że ja zaglądam do beczki z wodą/. Sprawdził, że ja mam trzecią kategorię i ja już nie wychodziłam na czyszczenie tego żużlu z wodą, tylko dał mi do robienia gwoździe tzn. dał mi drut, przecinak i kowadełko, kazał na odpowiednie długości przecinakiem drut przecinać i robić gwoździe. Początkowo mi nie wychodziło, ale po godzinie, może dwóch nauczyłam się, on mnie chwalił, mówił, że bardzo dobrze. Później, po paru latach, kiedy też się gwoździe robiło, to ja robiłam jedną tysięczną tego, co się robiło, ale ten Rosjanin mnie chwalił. Z tego obozu zabrano nas wszystkich, którzy mieli dziesięć lat i powyżej dziesięciu wyrok. Zabrano i przewieziono nas do Pijargi. Co to jest? To jest podobno nazwa koniacka pazura niedźwiedziego, a wszystkie nazwy miejscowości pochodziły od nazwy rzek, a ponieważ po koniacku rzekę nazywa się Ju, więc ta było Senju, Janiju, Hakmerju /znane miejsce przebijania się przez Ural/ - potem to była strategiczna droga dla węgla przez Ural na tamą stronę, wiele ludzi tam zginęło wtedy z wycieńczenia. Przyjechałam do obozu, numeru nie pamiętam, to był obóz pracy. Co tam robiono? Byliśmy przede wszystkim razem ze światem przestępczym, to był jeden z obozów, który miał za zadanie zrobić nasyp kolejowy. O co chodzi? Węgiel workuciński był wtedy bardzo potrzebny, bo Donbas był jeszcze w rękach niemieckich. Pierwsi Polacy w 1939 r. robili tam drogi, nasowo umierali całymi brygadami - tam jest chyba dwadzieścia tysięcy naszych Rodaków pochowanych w jednym miejscu w tej Pijardze. Opowiadał mi o tym woźnica, który jako

wolny wozik drzewo, zapytałam go kiedyś, co to za kołeczki tam stoją jak święte brzoźki. Opowiadał, że jak się chowało ciało, to wbijało się taki kołeczek i pisano na nim numer, ten numer trzeba było znaleźć w księdze i dopiero tam znalazło się nazwisko /będąc już później w szpitalu, ja takie dwie książki czytałam/. Ale wracam do tematu. Ten tor kolejowy jakos tak przechodził, że parowóz nie mógł ciągnąć wagonów z węglem, było za miękko i wiecznie trzeba było tam sypać żwir i któryś z inżynierów wymyślił, że trzeba było zrobić nasyp 25-metrowy i 5 km długi, który zmieniliby trasę pociągów. Nazywało się to Pijarskijskij Odchod. Ja wtedy pracowałam na budowie tego nasypu. Pracował czerpak, który ładował na wiertuszki samochody ziemię, a naszym zadaniem było tą ziemię z samochodów na tym nasypie zepchnąć. Robiliśmy w cztery, pięć czasami do dziewięćdziesięciu samochodów. To była bardzo ciężka praca. Na samym początku, jak przyjechałyśmy do tego obozu, nikogo nie było, bo wszyscy byli w pracy - naczelnik był Białorusinem, nazywał się Zuk, a przejechało z nami dużo Białorusinów, zmartwił się tak jakos i mówi, że nam da jedno pomieszczenie, ale będziemy musiały ustalać dyżury, musimy mieć dobry kij - nie bardzo wiedziałyśmy o co chodzi. Okazało się, że tak trzeba było się bronić przed światem przestępczym, bo po prostu przychodziły i zabierały nam różne rzeczy, co chciały, to robiły. Przez trzy dni też miałyśmy kwarantannę. Ale zaraz w dniu przyjazdu kazano nam się zebrać na placu, przyszły te dziewczyny z pracy - nie mogłam się nadziwić, dlaczego one mają takie dziwne twarze, a one miały twarze zupełnie brązowe od mrozu, a ponieważ zakrywały sobie podbródek, skronie, czoło chustką, więc jak odsłaniały, to wyglądało prześmiesznie, bo ten brodeczek był brązowy, a reszta biała. Te wszystkie dziewczyny, które przyszły z pracy



były do nas wrogo nastawione, do tej grupki trzydziestoparobowej, do tych, które były pierwszy raz w obozie, które widziały front i wojnę. Powiedziano, że my jesteśmy zdrajcami Ojczyzny i ustawili się do nas zupełnie bokiem. Jak się to objawiało? Myśmy nie wiedziały, że kierowcy, którzy tam pracowali, to byli wolni ludzie /pseudo wolni/, Niemcy nadwożeni, którzy w czasie kiedy się zbliżał niemiecki front do Wołgi zostali wszyscy wywiezieni i m.in. ci, którzy podali, że są kierowcami zostali przewiezieni na daleką Północ, bo Pieczora jest za kręgiem Polarnym i pracowali jako kierowcy ale bez prawa wyjazdu, musieli pracować tu, a nie gdzie indziej. I jak myśmy stanęli jeszcze w swoich ubraniach a nie w burszłatach, to te dziewczyny ze świata przestępczego zaczęły krzyczeć: Niemcy, wasze żonki poprzyjeżdżały i najróżniej nas wyzywano, ale myśmy nie bardzo rozumiały, o co chodzi. Pamiętam też taki odruch. Naczelnik miał jakąś mowę, że trzeba wykonać plan i trzeba chodzić do pracy, a potem ten naddieratkiel odwrócił się do nas i wyzywał nas. Z tego rozumiałam, że byłyśmy owczarki niemieckie, podkładki niemieckie i jeszcze inne wyzwiska. A ponieważ ja stałam pierwsza, to on to mówił do mnie. Prawdopodobnie miałam dziwną twarz, bo w pewnej chwili jeden ze złodziei widocznie mnie pożałował, podszedł do mnie, odwrócił mnie do siebie i powiedział: ty dziewczyno nie słuchaj tego, co ten pies szczeka /nazywa go przy nim sóbaka i tanten to słyszy/, odwróć się i spójrz ile nas jest. Z nami nie zginiessz. Byłam mu bardzo wdzięczna. Wróciłyśmy do baraku, a w baraku było bardzo źle. To był ciemny bardzo barak miał jedno okno stale zamrożnięte i zamiast pieca była żelazna beczka z rurą wyprowadzoną na świeże powietrze i jak się paliło, to koło beczki było ciepło, a jak się wstawiało, to normalnie był mróz, na ścianach był szron. Nie pamiętam ani imienia ani

nazwiska dziewczyny, Polki z którą spałam. Była to bardzo biedna dziewczyna ostrzyżona króciusienko, która co noc była na sledztwie, wiecznie się broniła, prawdopodobnie ją bito. Ja o tym nie wiedziałam. Położyłam ją z brzegu - spałyśmy na górnych narach, a sama położyłam się od ściany, uważałam, że mam cieplejszy burszlak, bo miałam nowy - tymczasem ona brojąc się we śnie spadła na podłogę, na szczęście nic się jej nie stało, nawet nie bardzo się obudziła. I potem ona już spała od ściany. Do pracy nas ganiano kijem, to był taki wściekły pompotrudu, prawdopodobnie suka, bo miał wygolone brewki i wyglądał na błatniaka. Na rozpoczęcie dnia /podjom/ uderzało się jakimś żelazem w szynę podwieszoną przy wartowni - a myśmy nie bardzo jeszcze były przyzwyczajone, potem trzeba było z kociołkiem lub z tym, co kto ma lecieć po zupę na stołówkę. Pierwszy raz jak szłam po zupę i nie miałam nic, to kucharka mnie zwymysłała, dała banek po konserwach bardzo źle obciętą, łyżki nie miałam, więc jak one mówiły "przez bord"/przez brzeg/. Zupę wyłamałam sobie zęb, bo na dnie była zawsze jakaś kukurydza nigdy nie rozgotowana. Poza tym w zupie jeszcze bywało coś podobnego do buraka, co nie było w stanie surowym, bo zawsze było zamrażnięte /to był turnet/, tam rośnie, bardzo słony, a my bardzo cierpiałyśmy na brak soli. Chodziłyśmy na tak zwane śniadanie, potem szłyśmy do pracy, do pracy przywożono nam tzw. zapiekanekę - to smakowicie brzmi, a to jest ochyda - wyluszczonego owies, ugotowany na niczym, taka biała galareta pokrajana w kwadraciki, nieduże i dostawało się taką galaretę zimną, to był obiad, potem wracałyśmy do domu. Za wykonanie normy płacono nam pajkę - to była pajka chleba /500 gramów/, ale to było śmiesznie mało, to był taki kit, mały kawałek i bardzo ciężki, a wyrównanie według naszej pracy było dopiero wieczorem. Wieczorem szły dziewczyny po chleb i wracały z niczym,



bo ten chleb odbierali nam złodzieje. Myśmy stale były głodne. Boże, jaka ja byłam głodna! Przerażające i śmieszne, że wstydziałam się tego, nie wiem dlaczego. Jak się ktoś mnie pytał, czy jestem głodna, mówiłam, nie! W związku z tym odbieraniem chleba przypominałam sobie wydarzenia. Ja miałam buty z cholewami. I pewnego dnia do naszego baraku przyszła dziewczyna, nazywała się po rosyjsku Czołeczka, grzywkę miała, włoski na karkdki - mnie te Rosjanki nazywały Pacanka, to jest takie określenie podrostka, już nie dziecko, już nie dziewczyna, jeszcze nie panna - i powiedziała do mnie: No Pacanka, dawaj mi swoje buty! Ja byłam bardzo zmęczona, leżałam na narach, nie chciało mi się schodzić. Mówię, że stoją na dole pod narami. Ona wzięła te moje buty, namierzyła, pasowały i powiedziała: Ty pofarsz, ciepier ja pofarazu /to znaczy wyelegantować się/ i poszła. Zostawiła swoje okrpne kłapy. Na drugi dzień wychodzimy do pracy, ja wychodzę w jej tych klapach, już nie chodziliśmy w tych czuniach, chyba to był maj, stoi cała nasza Zona po cztery w szeregu i pompotrudu woła mnie: Pacanka, idi siuda! Zadaje mi pytanie: gdzie twai supagi? Zrozumiałam, ale nie wiem, co mam powiedzieć, mówię, że nie rozumiem, ale wreszcie, on pokazuje na moje nogi i że mnie ukradli pewnie. Ja mówię, że nie ukradli, dałam ponosić. Sama dała? Tak. Po paru dniach przyszła moja kolej iść po chleb. A wyglądało to w ten sposób, że po ten doba-wek, tzn. dodatek do chleba rannego chodziło się z deską /podnos to się nazywało/ do chleboreski, tj. tam, gdzie go nam dawano. Chleb ważono i np. jeśli było 500 czy 700 gramów i brakowało, to był taki nawiesek, to mały kawałeczek przykuty do chleba kawałeczkiem drzewa. Dziewczyny szły z obstawą po chleb, około 5, 10 dziewczyn, złodzieje stali, nie ni główni złodzieje, tylko sześciorki - to jest ci, co usługiwali tym główniejszym,

odbierały chleb i dziewczyny wracały z pustą deską, z płaczem. Ja okropnie tego bałam się, prosiłam Zinkę, naszą brygadzystkę /uczciwą dziewczyna i bardzo poczciwy człowiek/, aby po chleb poszła mnie na samym końcu, jak wszystkie już będą, ja bardzo nie chciałam po ten chleb iść. Ona mnie jakoś oszczę-  
dzała, dziewczyny nie miały pretensji, aż wreszcie muszę iść. Dzień był paskudny, szaruga, padał deszcz ze śniegiem, ziano było i ciemno. Zinka mówi, żebym sobie wzięła dziewczyny jakie chcę. Nie - powiedziałam - ja pójdę sama, a co to daje, jak chodzicie razem, zawsze bez chleba wracacie, a może, jak ja pójdę sama, to mnie nie zauważą? Poszłam. Wziłam ten chleb od tej chleboreski - oduracam się - stoi trzech, oni tak charakterystycznie owijali się burszkatą, tak poła za połą, kołnierzyk podstawiony. Jeden z nich mówi: Ty Pacanka, co ty sam? Sama przyszedłaś po chleb? Milczę. Co, ty myślisz, że my od ciebie tego chleba nie weźmiemy? Milczę. Przecież sama nam jego oddasz. Ja mówię - to bierzcie, ale nie wyciągam tej deski. A on do mnie mówi: stupaj stupaj /tzn. idź/, nie weźmiemy od ciebie chleba. I tu ja się zaczęłam straszliwie bać. To było coś więcej niż kompleks, nie mogłam znieść, żeby ktoś za mną stał z tyłu /już potem w Kraju, w pracy musiałam siedzieć przy ścianie, żeby nikt nie zachodził mi za plecy/. Takie były sytu-  
czki, że podchodzono z tyłu, brano za gardło, ręką zamykało się usta i już. Bałam się, że mi tak zrobią jak to zawsze ro-  
bia, bardzo chciałam biec, ale nie chciałam pokazać, że się boję. jednym słowem szłam na miękkich nogach, ogroenie mnie to dużo kosztowało /dlatego tak dobrze to pamiętam/, ale doszłam do baraku, pchnęłam nogą drzwi, bo do środka się otwierały, zamknęłam plecami, czyli sobą i wtedy zaczął opuszczać mnie ten strach i zaczęłam zjeżdżać plecami na ziemię. Dziewczyny



złapały deskę, siedziałam na ziemi, cisza była i ta Zina się pyta: nie było ich? nie widzieli? widzieli. To jak, przepuścili ciebie? Przepuścili. Jak to było? Więc opowiadałam im, co mnie powiedzieli, jak się zachowałam, jak oni się zachowywali - nikt nie wiedział dlaczego. Na drugi dzień też poszłam po chleb, a właściwie to chodziłam tak przez tydzień i wreszcie ten powiedział: no Pacanka, chwatit! /dość/ Zawtra za chlebuszkiem nie przyjdiesz! Powtórzyłam to dziewczynom i naturalnie, chleb nam odebrano. Dlaczego mnie nie zabierano, nie mogłyśmy do tego dojść, dopiero wyjaśniła ta, która ukradła mi buty. Po paru dniach przyniosła mi te buty z powrotem - co w obozie jest niezwykłym zajściem - powiedziała, no Pacanka, ja już pofartila, masz te buty. To postaw je - powiedziałam i wyglądało tak, jak ja bym jej te buty pożyczyla a ona je z powrotem oddała. Pamiętałam słowa tego rodaka, że nie wolno się skarżyć, że jak coś zginie, to zginie, nigdy nie będziesz miała swojego, w bardzo szybkim czasie będziesz miała wszystko kaziorne czyli państwowe, nie wolno zwracać na to uwagi, że ci ukradną. Zresztą, to prawda, ja miałam stanik, zerwano mi ten stanik w bani, myślałam, że ona ma do mnie jakieś pretensje - okazało się, że ramiączka stanika były aksamitne, atłasowe i to jej było potrzebne do kokardki. Oberwała to, mój stanik wyrzuciła, a te tasiemki atłasowe użyła jako kokardki na dwa bańczyki, bo to się tak nazywało. Trzeba było się wszystkiego nauczyć na własnej skórze. A z tymi butami. Ona mi przyniosła te buty i powiedziała, że ja mogę je sprzedać - co dla mnie było bardzo dziwną rzeczą - gdzie i jak - ona mówi, słuchaj, te buty i tak i tak tobie zabiorą. Dlaczego on /ten, co mnie z chlebem przepuścił/ zwrócił uwagę? Dlatego, że on ma dziewczynę swoją,

tw. żonę obozową i on chce od ciebie te buty odebrać i dać tej swojej żonie, także i tak on ci tych butów nie daruje, a ty je sprzedaj - jedna z dalewozyn, która pracuje na piekarni oswobadza się, kończy wyrok, nie ma zupełnie co na nogi włożyć i ona ci zapłaci chlebem /który naturalnie ukradnie/ i jeśli chcesz, to ja ci je sprzedam. Okazało się, że sprzedawała te buty bardzo drogo - dostałam siedem czy ileś całych bochenków chleba za nie / w takim bochenku były cztery normalne dzienne porcje/, także pojadłyśmy i nie musiałyśmy przeżywać tego, że odbierali nam chleb, bo miałyśmy trochę dodatkowego /chyba na dwa dni, ale tak jak przynosiła, tak żeśmy zjadały/. W tym obozie nie byłam długo, chyba pięć miesięcy. Byłam tak bardzo wyczerpana. Myli nas raz na dziesięć dni, nie było nic do picia. Ja w tą swoją bankę, która służyła za miskę, nabierałam śniegu, podgrzewałam na tej beczce i pilałam, ale to było okropne. To chyba był mój najgorszy okres - od razu przeszłam przez taką pogłódową szkołę i o dziwo, pomimo, że potem byłam na bardzo ciężkich obozach /ciężkim pod względem pracy, ale jeśli chodzi o warunki bytowe, to były o wiele lepsze/ - nigdy nie miałam tak źle, jak tu. Jeszcze miałam takie przeżycia niewielkie, które wtedy nie zrobiły na mnie wrażenia, bo nie wiedziałam o co chodzi. Przyszła do mnie, też z tego samego baraku, tylko po drugiej stronie one mieszkały, starsza z ręką obandażowaną, powiedziała, że chce pójść do ambulatorium a zimno jej bardzo i czy nie mogę jej dać swojego swetra. A ja miałam taki zakieciak w granatowo-różowe paski i ja jej to dałam. Okazuje się, że ją wywieziono do szpitala, czyli ona pojechała w moim swetrze. Ja nie przywiązywałam nigdy wagi do spraw materialnych, więc nie bardzo się zmartwiłam. Okazuje się,



że ona sobie zrobiła mastyrkę - co również dla mnie było zupełną nowością - czyli zrobiła sobie sztuczną flegmonę, po to żeby wyjść z obozu i dostać się do szpitala. Nakłuła sobie rękę, mięsień - nie wiem, czy słomkę tam włożyła i w tą ranę trzeba wlać sliny, wtedy to bardzo szybko rośnie, ale to się robi straszna rzecz, bo to się robi flegmona rozległa, można stracić rękę, wyłuskać trzeba rękę, bo potem atakuje staw łokciowy lub dłoniowy. Ona z taką flegmoną pojechała do szpitala, tam jej zrobili cięcie i nie wzięli jej do szpitala, wrócili ją z powrotem do obozu i ona z tym swetrem przyjechała do mnie z powrotem i oddała mi ten sweter. Pamiętam jeszcze komisówkę lekarską. Nikt siebie nie oglądał, bo nie było możliwości, ale wiem, że straciłam dużo na wadze. Jak taka komisówka wyglądała? Rozbierano nas do naga, kazano nam się odwracać, jechał ręką po plecach, jak bardzo kości sterczały, to była jakaś inna kategoria, a jak np. było trochę jeszcze pośladków /to wogóle nic nie zostaje, nie ma piersi, pośladków, to zupełnie coś takiego niehumanitarnego zostaje z człowieka/ - kwalifikowało się do szpitala lub do trzeciej kategorii. Przyszliśmy z pracy i od razu nas też na komisówkę. I o dziwo, to byli lekarze, którzy nas słuchali, pukali, puls i serce itd. A ja miałam straszne ręce, tak czarne i tak brudne, odciski miałam gdzieś na samych końcach, nie umiałam trzymać żadnego narzędzia pracy - ja to tak trzymałam, jakby ktoś chciał mi je odebrać, a przecież to trzeba luzem robić, to trzeba na to wszystko praktyki. Poza tym nie było mydła i tak do miejsca, gdzie rękaw sięgał - zresztą nie rozbierałam się prawie ze swoich rzeczy, miałam taką swoją skórkę, to był mój strój narciarski, bałam się, że mi go ukrad-

na, to ja w nim spałam, w nim chodziłam, ja na to nakładałam waciaki, to było coś straszliwie brudnego, ale to było domowe i ciepłe, wtedy dla mnie to nie było takie ważne.

IV/R Teresa

I strona

Z powodu tych rąk wstydyłam się okropnie tego lekarza, do którego stałam w kolejce, co on sobie o mnie pomyśli, że ja mam takie ręce. A jak się wstydyłam, to się czerwieniłam, a jak się czerwieniłam, to czułam, że się czerwienię. Tu był lekarz a vis a vis była kobieta lekarz i ona zauważyła, że coś się prawdopodobnie ze mną dzieje, podeszła do mnie, wzięła mnie za te moje chude plecy, posadziła mnie i mówi: dziewczka, czto s wami? Powiedziała to ogromnie serdecznie, a poza tym był to pierwszy taki ludzki odruch, takie przygarbienie i posadzenie mnie - i ja sobie wtedy pozwoliłam, zaczęłam ryczeć, jak ja płakałam, nie mogłam się uspokoić - płakałam nie dlatego, że mam brudne ręce, ale wypłakałam wszystko, całe moje nieszczęście, tułaczkę, wiezienie, wszystko na świecie - że nasz kot na zupełnie inny świat, bo ma poduszkę, mleko i na mamę. To był jedyny raz, kiedy się nahałalałam nad sobą. W końcu trafiłam do tego lekarza i on się pyta, co się stało? Więc ja mu tłumaczę, ale on nie wie o co chodzi - że te moje brudne ręce, to nie moja wina. On mówi: dziecko, Boże, jakimi ty kategoriami myślisz? Jemu to nie przychodziło do głowy, on na to nie zwracał uwagi, dzisiaj wiem, że to było dla niego czymś niespodziewanym i śmiesznym, mówi, że się nic nie stało, kto ja jestem, mówię, że Polka. On mówi, że kończył studia z Polakami w Wilnie /to był starszy pan/ i że też przez tyle lat, że już siedzi tyle lat i przez wiele lat pracował na ogólnych pracach i że nie-



dawno pracuje jako lekarz i mówi, że ja już tak tracę na wadze, że on mnie odeśle do szpitala. Zaczęłam go błagać, że za nic ja nie chcę do szpitala, bo się zgubię z tymi swoimi dziewczętami, z którymi jestem i będzie to dla mnie okropne. Powiedział, że zobaczymy za piętnaście dni - co piętnaście dni przyjeżdżała komisja, bo tak wszystkie dziewczyny traciły na wadze. Na drugi dzień po tej komisowce, przychodzi do mnie biały fartuch, pyta się o moje nazwisko i mówi, że dzisiaj zostajesz w domu, zostajesz zwolniona z pracy - jakie to było szczęście! - i tu masz coś i ja odwijam, w papierku jest mydło różowe, toaletowe, pachnące landrynką, mydło od tego lekarza! Popłakałam sobie znowu! A jeszcze wrócę z powrotem. Dlaczego mówiłam o tej dziewczynie. Ona kiedyś przymarzła do ściany, tymi krótkimi włosami. Widocznie to było tak, że znowu jej się coś śniło, broniła się, znowu się skuliła, głową przyparała do ściany i przymarzła. I nazajutrz do roboty, a ja jej nie mogę oddechować, nie mam chuchku, nie mam czym, palcami, to było okropne. Zabrali ją potem, bo ona była bardzo chora, zabrali ją do szpitala i potem już nigdy się nie widziałam z tą dziewczyną. A wogóle to ona nie chciała rozmawiać, była przerażona, to była wiejska prosta dziewczyna i bardzo była biedna. Po pięciu miesiącach pobytu w tym obozie trafiłam do szpitala z wypadku. Przez to, że te dziewczyny tak nas obzywały niemieckimi żonkami, to ci Niemcy pracujący z nami w tych samochodach bardzo się do nas pozytywnie ustosunkowali tzn. pomagali nam przy wyładunku /jeśli był np. duży kawał ziemi, to oni go spychali/. Pamiętam, że kiedyś padał okropny deszcz i jeden z tych Niemców otworzył mi drzwi do szoferki /nie wolno mi było wejść, ale ja o tym nie wiedziałam/. Pytał się, czy to prawda, że widziałam wojnę? Tak.

/to był starszy człowiek/. Czy to prawda, że Niemcy są tacy okrutni, czy to prawda, że zabijają kobiety i dzieci? Powiedziałam, że bardzo mi przykro, ale to jest prawda. I pamiętam - on oparł się o kierownicę i mówi: Boże, mój Boże, jak się spodlił nasz naród, oni przegrają wojnę i nic z naszego narodu nie zostanie. I pamiętam, że po pewnym czasie przyniósł jakiś zeszyt i kawałek ołówka i uczyli mnie taki trójkąt składać, bez znaczka zresztą, ten trójkąt składać i można było pisać listy. Wracam do tego, jak trafiłam do szpitala. Odjechał jeden samochód, podjechał drugi, na nim był taki kawał ziemi i na ten bok przeważył, otworzył się bok samochodu i ten bok uderzył mnie w plecy - też miałam szczęście, że ani w nerkę ani w kręgosłup - ale miałam brzydkie objawy, nie mogłam się położyć, byłam sztywna, miałam wymioty, dowieźli mnie do Zony, na drugi dzień zawieźli mnie do szpitala. Trafiłam do szpitala jak do raj, bałam się tego szpitala jak piekła, bałam się rozstania ze swoimi dziewczętami. Tymczasem okazało się, że położono mnie na sienniku, na czystym przescieradle, miałam poduszkę z siana pod głowę, biały koc przykryty i swieraczek był gdzieś w ścianie. Nie miałam siły chodzić, ale nie musiałam nigdzie iść i okazuje się, że dopóki chodziłam, to chodziłam /myśmy tak chodziły, że wogóle nie odrywałyśmy nóg od ziemi, szliśmy posuwistym krokiem, trzymając się pod ręce/. Było takie wielkie wydarzenie. Moim lekarzem był Polak, nie wiedziałam o tym, tylko usłyszałam, jak on szedł z obchodem i vis a vis zatrzymał się i mówił po polsku, potem przeszedł tędy, ze mną też rozmawiał po polsku i ja sobie postanowiłam odwiedzić tą swoją rodaczkę, pomyślałam, że jak się będę trzymała tych męz, to pół dnia będę potrzebowała na dojście, to byłam w środku ha-



ku, a jak ktoś by rozsunał te ~~zrędy~~ stoły ~~po~~środku, to mog-  
łabym iść na wprost, ale musiałam samodzielnie zrobić sześć,  
siedem kroków. A ponieważ bardzo chciałam, to bez trzymanki  
przeszłam. Ale z powrotem nie wróciłam już. Okazało się, że  
nie miałam jej nic do powiedzenia ani opa mnie. Była to star-  
sza pani spod Grodna, może nie chciała, może nie miała siły,  
nie wiem, w każdym razie musiałam wrócić z powrotem i już  
nie wróciłam i taki starszy sanitariusz Iwan Iwanowicz na  
ręce wziął i przeniósł. W szpitalu leżałam długo, z pół ro-  
ku a może i więcej. Powolutku wracałam do sił. Moje pierw-  
sze kroki były takie, że zawadziłam się o drewnianą wycie-  
raczkę, upadłam i złamałam sobie mały palec u nogi. Miałam  
bardzo dobrą opiekę, tam byli wspaniali ludzie. W nocy dy-  
żurował Arnold Arnoldowicz, Estonczyk, przeuroczy pan, któ-  
ry nazywał mnie gimnazistką i przyniósł mi kiedyś ptaszka  
wróbelka a kiedyś myszkę żywą. Przynosił mi w nocy witaminy,  
mówił, że mam to jeść i nikomu nie mówić. Iwan Iwanowicz,  
ten sanitariusz też był bardzo dobrym człowiekiem, dużo się  
od niego nauczyłam - to był złodziej, siedział osiemnasty  
rok, koszmarna sprawa, osiemnaście lat przy mnie skończył.  
Kiedys tak leżę i patrzę, idzie cała swita tych białych  
fartuchów, i naddieratkiel idą tak jakos środkiem, jakaś ma-  
ła pani /widziałam ją na komisowce zaraz jak mnie przywieźli/  
Patrzę, a to ta pani, która była u nas w obozie, która się  
tam pytała, co z wami dziewczka i która się do mnie tak ser-  
decznie odniosła. Przeszła po jednej stronie, przeszła po  
mojej stronie, wróciła się podeszła do mnie i mówi: co, nie  
płaczesz? Nie. No i jak tu jest? Jak w Niebie. I poszły.  
Przy samych drzwiach leżała starsza pani, bardzo brzydka,  
ale cudowna, mój nauczyciel, pani Nauczak Kładja Wiktorowna.

I ona przyszła do mnie i pyta się, czy ja się nazywam tak i tak. Ja mówię, że tak. Słuchaj dziewczuszka coś ci powiem, co jest dla ciebie wielką sprawą - mówi ona - to będzie naczelnikiem ta pani, która z tobą rozmawiała, tzn. naczelnik samodzielna, naczelnik nad tymi wszystkimi szpitalami obozowymi w rejonie pieczorągów i powiedziała do naszej naczelnik /tej małej, Lizawie Kondratiowej/, że jak ta dziewczyna się poprawi, to żeby jej nie odsyłać do obozu, tylko przysłać do Koczmesu do niej i ona mnie zatrudni w laboratorium. To była dla mnie wielka rzecz! Tymczasem nasza naczelnica pomyślała, że jak ona ma mnie odsyłać tam do laboratorium a tu nie rąk do pracy, to ona zatrudni mnie tu, w tym szpitalu. Pamiętam, że kiedyś przyszedłam na komisję, a ona mówi: no dziewczyno, już czas najwyższy zacząć pracować! Jutro przyjdiesz do mnie, sanitariusz cię przyprowadzi. I rzeczywiście poszłam do niej, popatrzyła na mnie, zapytała się, czy ja się uczyłam łaciny, - tak - no to popatrz tutaj do apteczki, czy potrafisz wypisać lekarstwa, których brakuje. Naturalnie, że umiałam. I wzięłam kawałeczek recepty, powymieniałam co tam było i dałam jej do podpisu. I ona powiedziała, no to będziesz pracować w takim żeńskim baraku, przyprowadziła i będziesz tu pracować jako siostra. Proszę pani- mówię - przecież ja nie znam rosyjskiego? Zaczęła się strasznie śmiać i mówi: dziewczyno, ja ci chyba uchylam, ja ci robię taką wielką sprawę, a ty mi mówisz, że ty nie znasz rosyjskiego! Tu wielu ludzi nie zna. Wszystkiego można się nauczyć. Nie myśl, że ci będzie lekko, tu ciężka praca, ale to nie jest to samo co w obozie, tutaj pracując nie masz normy. Zaczęłam pracować jako siostra. Miałam dużo bardzo obowiązków, okropnie dużo! Do spraw pielęgniarki, normalnie należały tylko wykonywanie wszystkich poleceń lekarza.



Natomiast tam, w warunkach obozowych pielęgniarka musiała wykonywać wiele jeszcze innych prac. Do nich należało np. badanie czystości chorych, trzeba było zwracać uwagę na paznokcie. Ja tylko jedna miałam nożyczki, dawałam je chorym i jak cerber musiałam pilnować ich, bo gdyby zginęły odpowiadałabym za to karcerem, musiałabym odsiedzieć. Ponieważ pilnowanie jako takie bardzo mi nie odpowiadało, nie leży w moim charakterze - jak mają zginąć, to i tak zginą, bo złodzieje tam są cudowni, tak sprytnie to robią, że ja nigdy w życiu nie zauważyłam - po prostu uważałam, że ja to zrobię inaczej. Po prostu weszłam do baraku, powiedziałam, że dzisiaj daję nożyczki i jak się skończy ta cała ceremonia obcinania, proszę mi te nożyczki przynieść do gabinetu zabiegowego. Sanitariusz pokazał mi takie kółeczko na głowie, że teraz mogę się już pożegnać z nożyczkami. Tymczasem okazało się, że nie podobnego. Nożyczki chyba po pięciu godzinach wróciły do mnie, wszyscy skorzystali z tych nożyczek, czyli wszyscy my myślimy jednakowo. Tak samo i tamci, ci złodzieje też nie lubią być pilnowani, a ponieważ im zaufałam, to widocznie uważali, że przyswoić namkazuje zwrócić. Jak wyglądała ta nasza praca? Kiedy tu trafiłam, to szpital był bardzo stary. W jakimś krótkim czasie przyjechała komisja techniczna, która orzekła, że baraki mogą się zapadnąć, zawalić i że trzeba budować nowe. Jeszcze cała opowieść o chorych. Dostaliśmy, jak przyjechał tu cały etap, do swojego baraku bardzo ciężko chorych, ludzi zjedzonych zupełnie przez warunki. Choroba nazywa się dystrofia alimentaris czyli dystrofia /tak wyglądali ludzie w Oświęcimiu/, tzn. ważyli po trzydzieści parę kilo mężczyźni po 180 cm. To były stare, olbrzymie piszczele, mięśni żąd-

nych, czaszka obciągnięta pergaminową skórą, widać było wyraźnie zarysy czaszki takiej jaka ona jest i te zęby, jeśli one były. Wyglądało to okropnie. W takim etapie przyjechało naszych trzech rodaków. Iwan Iwanowicz, sanitariusz, o którym już wcześniej wspominałam, był człowiekiem małego wzrostu, a duchem wielki. On doskonale znał psychikę ludzką. Lekarz, który przyjmował chorych orzekał, jacy chorzy są w stanie groźnym, ten, na których trzeba szczególnie zwracać uwagę, natomiast Iwan Iwanowicz od siebie jeszcze robił selekcję i np. twierdził, że tych dwóch trzeba koniecznie wyciągnąć, bo oni są już na krawędzi śmierci - i zawsze miał rację - to byli ludzie, którzy nie reagowali na jedzenie, na nic, na żadno słowo, na żadną działalność, ruch był w baraku, a oni nie reagowali na nic, patrzyli w jeden punkt. Mieliśmy takich dwóch. Jeden był Gruzinem, młody chłopak, szkielet, a drugi był Litwinem, trudno było określić jego wiek, nie był to młodziwiec, ale taki pan po trzydziestce, wysoki, miałam z nim kłopoty, aby nie było odleżyn, musiałam jego przewracać, a on mi wcale nie chciał pomóc. I kiedyś dostałam od chorego Ormianina prezent, zrobił mi samolocik na sznurku. Iwan Iwanowicz bardzo się ucieszył i powiedział, siostró, my ten samolocik powiesimy nad nogami tego chorego inżyniera, tego, który nie reaguje na nic, trzeba go karmić na siłę, przewracać na siłę. Myśmy tak zrobili. Iwan Iwanowicz po nocy, ja rano przyszedłam na dyżur mówi: siostró, będzie żył, wodzi oczami za samolocikiem. Wtedy już Iwan Iwanowicz - kiedyś przykazywał mu głosem nieznoszącym sprzeciwu, że na przed jedzeniem rozłożyć żyłki na stole i on automatycznie się czepiał, nar, stołu, bo nie mógł chodzić i zaczął powolutku wracać do równowagi. Okazało się, że był to fantastyczny człowiek, że był inżynier budowlany,



którego potem nasz lekarz namawiał, żeby pomyślał sobie, jak możnaby było przebudować nasz szpital więzienny z uwzględnieniem małej sali chirurgicznej, uwzględnieniem miejsca na tzw. leżakowanie chorych i on wracając do zdrowia /myśmy kombinowali papier, co nie było łatwą sprawą - ja dostawałam od piekarza papierowe worki/i on na tych workach zrobił plan przebudowy naszego szpitala, nasza naczelnica szpitala się to włączyła i ona pojechała z tym planem, żeby go zatwierdzić. I tam się zachęcili, nie wiem gdzie, gdzieś pewnie w jakimś Zjednoczeniu i oni chcieli wiedzieć, kto to zrobił - ona nie chciała się przyznać, że na takiego chorego, bo chciała, żeby on przypilnował budowy. No i tak to się zaczęło. Pamiętam, że wreszcie ktoś tam wyraził zgodę na to, że zaczniemy budować pierwszy barak, więc myśmy w ciągu wieczora przełansowali chorych do innych baraków, przez pół nocy rozebraliśmy ten barak - tam włączyli się w to wszyscy: siostry, lekarze, kucharze i kto żył, zostawiali tylko tacy dyżurni, którzy musieli zostać a reszta, tzw. obsługa pracowała. Rozebraliśmy, poukładaliśmy na kupki, bo to się jeszcze mogło przydać i rano już zaczęto kopać rowy po podmurówkę nowego baraku i przyjechała komisja zobaczyć, jak to teraz wygląda. Wczoraj dostaliśmy pozwolenie a dzisiaj zaczęliśmy budować, bardzo ci z komisji byli przejęci, nie przypuszczali, że to tak szybko zacznie się u nas budować. Dzięki temu inżynierowi i naszej naczelnicy, która była bardzo dobrym organizatorem /pozwolono nam mieć trzydziestu ludzi roboczych do tej budowy, pracowało naturalnie o wiele więcej/ i w przeciągu dwóch lat przebudowaliśmy cały szpital. Zabrali nam potem tego inżyniera, który okazał się potem bardzo przystojnym panem, ogromnie sympatycz-

nym, super kulturalnym i bardzo nam było żal rozstawać się z nim, bo on stał się naszym przyjacielem. Pracował on jako budowniczy, a potem zatrważniono go przy budowie miasta. Pojechał do Kocamegu i tam pracował. Ja pracowałam z gruźlikami i wenerykami - mieliśmy taki barak, który miał oddzielne pokoje, bo wszystkie te baraki to były olbrzymie hale, w których mieściło się 300 chorych. To były podwójne prycze, górne i dolne, na każdej pryczy bywało i tak, że zamiast dwóch, leżało i trzech. Naetoniaszt w naszym baraku, jak się wchodziło był przedsionek, potem był szeroki korytarz, z tego korytarza na lewo były drzwi do Rozdatcznej, tzn. tam, gdzie był sanitariusz i wszystkie nasze naczynia i tam się przynosiło jedzenie, potem był gabinet lekarski, potem zabiegowy - to się kończyło i korytarz się zwężał i po lewej stronie były pokoje, w których leżeli chorzy, a po prawej stronie była jeszcze taka dobudowa, gdzie była szatnia z ciepłym ubraniem. W każdym razie sterylizowaliśmy się, żeby było bardzo czysto i naprawdę było bardzo czysto. Racje żywnościowe były śmiesznie małe, ale ludzie chorzy miesiącymi powracali do równowagi, to nie takie proste, dlatego, że to co zjadali nie szło na energię tylko gromadziło się w organizmie się kumulowało i przez to po maleńku, ale wychodzili z dystrofii a to jest 8-9 miesięcy. Dystrofia to jest samowyniszczanie się organizmu całkowite, nawet zanik mięśni na skutek okropnych warunków głodu i pracy. Kilkakrotne chorowanie na dystrofię nie daje już powrotu do normalnego życia, przechodzi to w tzw. pelłagry, która jest chorobą zupełnie wyniszczającą organizm i nie ma już powrotu - traci się pamięć, wzrok. Ja nie widziałam pelłagry. Jestem pełna uznania i zawsze wspominałam tą naszą naczelnikę,



Elizawietę Kondratiewną - nie wiem, czy mogę powiedzieć jej nazwisko - Siemlerikowa, która też siedziała w obozie 5 lat jako członek Szlensimir Wroga Naroda, tak się to nazywało, straciła dziecko, bo ktoś je zabrał i potem nie miała prawa powrotu, z Omska ona pochodziła - ona ciągle szukała tego dziecka, mógł je ktoś adoptować i nikt nie wiedział, gdzie ono jest - szukała po odsiedzeniu wyroku. Była najpierw u nas lekarzem naczelnym w szpitalu a inna kobieta była naczelnikiem szpitala. Ale ta naczelnik robiła różne machlojki, bardzo zresztą nieprzystojne, złodzieje okradali ludzi i oddawali jej te rzeczy za papierosy i coś innego, a ona z tego korzystała. Ponieważ oni żarli się między sobą, ta obsługa pilnująca nas, tzw. straż i tam, gdzie oni mieszkali w tej Zonie coś się nie zadziło i po prostu ktoś chciał jej zaszkodzić, pilnował, dowiedział się, jakie ona robi machloje, może zazdrościł - doniesiono o tym władzy, oni się zajęli tym, zrobiono u niej rewizję i wszystko, co znalezione przyniesiono do szpitala, złożono na jedną gromadę i puszczono tych chorych, którzy mogli chodzić lub którym coś zginęło, żeby oni sobie poszukali w tej gromadce. M.In. był tam płaszcz zimowy tej mojej wielkiej przyjaciółki Kławdi Wiktorownej i ona ten płaszcz widziała i naturalnie nie przyznała się do niego. I próżę sobie wyobrazić, to wszystko były rzeczy ludzkie, już część tych chorych, którym odebrano te rzeczy nie było, ale część była - i nikt się do tego nie przyznał. Ta kobieta miała czworo małych dzieci - to świadczy dobrze o tych ludziach, bo nikt nie chciał skrzywdzić tych dzieci, wiedzieli, że ta baba, głupia robiła takie machloje, ale chyba teraz dostała nauczkę, więcej już na pewno tego nie zrobi a po drugie, niech wie, ile zawdzięcza tym więźniom,

których okradała, bo przecież mogli dać jej wyrok. Niech tylko jeden człowiek sięgnąłby po swoją rzecz, zrobił ruch, to ona dostałaby wyrok. Poszłaby siedzieć, na pewno. Doceniła to na pewno, płakała całusieńki czas. I tam była taka siostra Tamara, wolna siostra i ona chyba już po dwóch latach, kiedy powiedzmy zaprzyjaźniła się ze mną, powiedziała mi, że dopiero ona zrozumiała ile tu jest ludzi dobrych, bo wszystkich traktowano jako złodziei, podłych, bandytów, zdrajców Ojczyzny, jako samych złych ludzi, tymczasem się okazało wręcz odwrotnie. Powiedziała wtedy, że nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziła za to, że jej darowano życie.

V/R Teresa

I strona

Nie miałam na myśli, że groziła jej kara śmierci, mówiąc, że uratowano jej życie, tylko to, że ona znając warunki obozowe i widząc, jacy ludzie przyjeżdżali z obozu do szpitala a że była drobna, szczupła to pomyślała, że byłoby to dla niej piekło, na pewno, dla każdego to jest piekło. Ja właściwie w szpitalu byłam do 1949 roku i to był dla mnie bardzo szczęśliwy okres, jeśli chodzi o ludzi, znajdowałam się wśród ludzi bardzo życzliwych. Nie chodziłam na robotę, tzn. nikt nade mną nie stał, nikt nie czytał mi tej modlitwy szag w prawo, szag w lewo, szcztaj się pabieg. Uczyłam się dużo. Nasi lekarze po prostu nas uczyli. Byłyśmy dociekliwe, nie tylko ja, chciałyśmy coś wiedzieć na taki to na taki temat, więc lekarze nie skapili nam swoich wiadomości, dzielili się z nami. Ja np. doskonale już mogła wysłuchać płuca chorego, określałam bardzo dobrze, gdzie jest dziura, bo miałam do czynienia z gruźlikami. Z wenerykami to jest zupełnie inna sprawa, to jest choroba krwi, trzeba było bardzo ostrożnie robić im te



zastrzyki, nigdy nie myślałam o tym, dopiero jak wróciłam do Kraju, to bałam się, że ja ze sobą przywiozłam i od razu pierwsze moje kroki skierowałam na zrobienie sobie badań, wszystkich badań. W szpitalu będąc wozikiem gruźlików do Riezory na przeswietlenia i lekarz rentgenolog widział zawsze mnie z tej balnicy Nr 2, kiedyś powiedział: stawaj Pacanka na przeswietlenie teraz ty. Doktorze, ja się dobrze czuję - co prawda zawsze miałam temperaturę podwyższoną, badano mnie, ale nigdy nie orzekli, że to jest sprawa płuc, tylko, że nie mogę się zaaklimatyzować, ja tam nie mogłam spać, nie bardzo chciałam jeść, ważyłam 40 kilo, poruszałam się dobrze, pracowałam dobrze, tylko czułam się zawsze źle. Okazało się po dwóch latach pracy, że jestem chora na gruźlicę, że mam jakąś ogniskową gruźlicę i kazano mnie natychmiast przenieść do innego baraku. Nie wiem, czy opowiadałam, jak zdawałam egzamin ze swoich wiadomości, zupełnie przypadkowo zresztą, bo przecież nikt mnie nie pytał, co ja skończyłam i skąd ja to mogę wiedzieć. Opowiem o tym, bo to było dla mnie przeżycie i miałam żal do lekarza Polaka, bo mógł mi podpowiedzieć i nie zrobił tego. Wracając do tego lekarza rentgenologa, kiedy już przyjechałam z chorymi do naszego szpitalika - on mi nie powiedział, napisał list, kazał oddać ten list głównemu lekarzowi, bo ona była i lekarzem głównym i naczelnikiem szpitala, przeczytała i tamten lekarz prosił, żeby mnie oddzielić od gruźlików i tak zrobiono. Przeniesiono mnie do baraku męskiego - lekarz mi powiedziała, dlaczego, tam była również gruźlica otwarta - strasznie mi było żal, rozstać się z nimi było mi bardzo trudno. Dostałam barak straszliwy - 400 chłopów! Pracowały tam dwie wolne siostry, które odbywały swoje godziny i szły do domu, trudno powiedzieć, że do domu, za Zonę do baraku.

Jeszcze w gorszych warunkach były, bo myśmy miały swoje towarzystwo, swoje koleżanki, nas było chyba siedem w jednym pokoju mieszkaliśmy, nam przynajmniej było wesoło. A jeszcze jaka to dziwna sprawa, dziewczyny te skończyły w Leningradzie szkołę felczerską, bo w Związku Radzieckim jest taka szkoła i przyjechały na praktykę do obozu. Te dziewczyny wolne, z Leningradu przysłano do obozu za koło Polarne w takie straszne warunki. To ja nie wiem, jak tak można, bez serca zupełnie. Przecież do nas trafiła piękna dziewczyna z warkoczami, Klara, była przerażona, że ona jest w takim środowisku. Nie tłumaczyliśmy jej, bo coś pomysł tłumaczenie, żeby się nie bała. Ona musiała sama się przekonać, że nie ma się czego bać. Ona potem się już nie bała, ale kiedyś nam zemdliała w czasie pracy i myśmy od razu się domysliły i okazało się, że ona z głodu zemdliała, one też miały krucho ze wszystkim i potem ledwo Klara dokarmiali, ona nie chciała, bo nie będzie nikomu tego zabierać. I taki starszy sanitariusz powiedział, że to nic, że on jest więźniem, ale jestem starszy wiekiem i ty możesz być moją córką i tu trzeba się ratować, ty nie jesteś nikomu nic winna, musisz jeść to, co ci dają, żebyś nie padała, żebyś wróciła do mamy. Odbiegłam od tematu. Dostałam ten barak okropny. Przede wszystkim zaniedbany, z bardzo brudną podłogą, bo w poprzednim moim baraku codziennie myła korytarz para niezwykle - dziewczyna tak śliczna, że jak przechodziła jakas komisja, to kazałam jej zakrywać się kocem, bo inaczej przychodzili do nas jeszcze raz, a towarzyszył jej pierwszy skrzypek filharmonii łotewskiej. Ona bardzo pięknie śpiewała. Szorowało się takim czymś co nazywało się szwabką, to takie urządzenie jak wycieraczka samochodowa, tylko że ta szwabka to są dwa kawałki drzewa z rączką jak szczotka, a między tymi kawałkami drzewa jest kawałek gumy wciśnięty i wbity, bo się



trzyma i tą gumą wszystko to, co się myje, się ściaga. Ten skrzypek pracował tą szwabką, a ona zmywała. Sami się zgłosili, powiedzieli, że nie chcą leżeć i że chcą pracować i taką sobie pracę wybrali i to były piękne minuty - może z godzinę to trwało - wszystkie drzwi do pokoi były otwarte, bo wszyscy słuchali, a oni pracując zresztą pomalutku śpiewali najróżniejsze arie z różnych operetek. I to było tak śliczne, śpiewali na dwa głosy, oboje bardzo muzykalni z bardzo przyjemnymi głosami i to była taka wielka radość dla wszystkich. Dlatego było mi bardzo trudno stamtąd odejść, myśmy budowali ten barak, ja, jego upiększałam wspólnie z chorymi a ponieważ ci chorzy leżeli 2-3 lata, to ja ciągle byłam z tymi samymi ludźmi. Odejść do tego drugiego baraku to było tak, jakbym była wyrzucona do drugiego obozu. Jak przyszedłam do tego baraku, hali olbrzymiej, brudnej, chorzy leżą po trzech nakryci dwoma kocami, no i jeszcze mnie dobiła taka sprawa. Przychodzi do mnie, chyba na drugi dzień choroby i mówi łamanym językiem rosyjskim - okazuje się, że to był inżynier Estończyk i powiedział do mnie, że oni mają mendażki, ja nie wiedziałam, co to jest. Okazało się, że to były wszy żonowe. Okropność. Byłam przerażona. Pytam się, czy też ci, z którymi on śpi. On na to, że wielu się drapie. Zrobiliśmy przegląd 400 chłopów - ja mówiłam zawsze, że jak człowiek pomyśli to samemu wstyd i drugiemu nie opowiedzieć, ale ja wtedy na to inaczej patrzyłam. Starszy sanitariusz przeglądał dół a ja górę. Okazało się, że siedziało to w rzęsach, brwiach - to jest takie straszne zwierzę, które wpija się w oczy, one włożą wszędzie tam, gdzie jest delikatnie, w słuzówkę - miałam u pięćdziesięciu osób rzęsy do wyrwania po to, żeby usunąć te wszy, powiedziałam o tym naczelnicy, musieli nam robić

specjalnie tzw. masę siarkową, wszyscy sobie nawzajem smarowali, oni sami się leczyli tylko myśmy powiedzieli o co chodzi, że muszą się ratować. Przez dwie doby byli nago. Wszystkie szmaty, koce, materace zostały oddane do dezynfekcji, przy okazji zostały wyszorowane wszystkie prycze - bardzo dobrze, bo wreszcie oni sami musieli to wyszorować - sanitariusz pod moją komendą dał im kawałki szkła, gorącą wodą szorowali wszystkie deski i w przeciągu chyba tygodnia - trzy razy łeśmy ich kapali i trzy razy smarowali - pozbyliśmy się tego paskudztwa i nigdy potem więcej tego nie było. Co mi pomogło bardzo? Zobaczyli, że myśmy sprawę ruszyli, bo okazało się, że oni kiedyś mówili siostrze, że ich swędzi, ale nikt na to nie zwracał uwagi. A ja miałam takie kłopoty. Podłoga była bardzo brudna i nikt nie chciał się zgłosić, żeby ją wyszorować a jest jeden sanitariusz, bo nie dają wogóle etatów, także musimy sami o to dbać. I ja do drugiego sanitariusza, Iwana Stiepanowicza mówię, że ja zaczęłam podłogę myć. I tak było, kazałam przynieść gorącej wody - tam się myje miotłą i tłuczoną cegłą, te deski nabierają koloru, a deski były strasznie brudne, zaniedbane, a hala olbrzymia - wyszorowałam taki kawałek, jak pokój sama, a chorzy tylko tyle zrobili, że się przekrecili, żeby mnie widzieć, ale o pomocy nie było mowy. Przerwałam tą robotę, bo trzeba było robić coś innego, już były naznaczenia lekarza, lekarstwa trzeba było rozdać - ten kawałek podłogi jaśniał, wyróżniał się bardzo, i zaraz po obiedzie zgłosiło się do mnie trzech chorych, mówiąc: siostro, nie będzie siostra nam podłogi myć! Ja mówię, nie nam, tylko nam. Ale jeden z nich mówi, że był marynarzem szorowałam pałubu, tzn. pokład i umiem to robić. I było bardzo dobrze. Tak sobie zmobilizowałam ludzi, że miałam trzy-



dziesiętu pomocników nielegalnych, tzn chorych, wśród tych czterystu, ja ich przemycalam w czasie komisji lekarskich, po prostu ich nie pokazywalam - te ich historie choroby wy-chałan tam i sian i nie ma i oni mi pomagali bardzo we wszystkim, bo myśmy się wzięli za estetykę tego pomieszczenia, bo to było typowe więzienie z wyglądu. Postanowiliśmy coś zrobić. Te moje grzliczki robiły słicznie kwiaty, najróżniejsze, sztuczne naturalnie, tylko trzeba było dać materiał. Meda-tysta pomagał, dostawał papier, lekarstwami barwiliśmy ten papier. Przede wszystkim całe to pomieszczenie było odakroba-ne, nabrało jasnego koloru, było czyste, na tych słupach kon-strukcyjnych porobiliśmy koszyczki - dostaliśmy słoiki i po fasoli czy po grochu metalowe puszki /były one cięte na paski, to robił nawet nasz Rodak/, drut to już dostał nasz sanita-riusz, na drut były zaginane te paski, potem przypłaszczone i tworzył się taki ozdobny niby flakon i w to wkładało się szelone liście i inne rzeczy i zawsze to było inaczej. Dzien-czyni z przedciernia porobiły мережки, były serwety na stół, chorzy się zaczęli inaczej zachowywać, to wszystko nabrało zu-pełnie innego charakteru. Pamiętam, że przyjechał taki etap i do nas trafił chory, myślałam, że jest błatnoj. Przyszłam rano, siedzi w białiznie innej niż chorzy mają, patrzę na ka-lesony i kossulę i chustę na głowie, czyli na włosy. Tymczas-em okazało się, że nie. To był znajomy fryzjera i wszędzie miał szczęście trafiać na znajomych, przyjechał do nas i nie chciał być ogolony, a miał krótki wyrok, to był młody czło-wiek - lotnik, który latał na hydroplanach, czyli należał do Marynarki Wojennej. Był w Sztrafnym Batalionie, bo pojechał do domu i spóźnił się siedem dni z powrotem, nie mógł doje-chać i wrócić z domu na front - dostał siedem lat wyroku za-

mieniony na Sztrafnyj Batalion. I poszedł do tego Batalionu, który zawsze idzie na pierwszą linię frontu, walczył trzy miesiące i nie i wreszcie w czwartym miesiącu został ranny, kula trafiła go w kręgosłup, odkupiała chrząstkę kręgu /cztery takie chrząstki ma każdy krąg w kręgosłupie/, kula utkwiała mu w plecach i w 1946 roku on się chciał zdemobilizować i lekarz jemu wystawił kartę demobilizacyjną na podstawie stanu zdrowia. Okazało się, że to był bardzo niepopularny krok, lekarz dostał trzy lata i on dostał trzy lata za popytku demobilizacji /za próbę demobilizacji/ - tak, jakby mu się to nie należało. I przysłano tego chłopaka na daleką Północ - w jakiś sposób zwichnięte mu życie, bo w życiorysie będzie miał te trzy lata, po drugie, nie był to głupi chłopak - np. ciągle interesował się, dlaczego ja tu jestem, która nie mam nic wspólnego ze Związkiem Radzieckim, dlaczego jest lekarz i skąd on się tu wziął, a dlaczego tu jest Grek, a Rumun itd. dociekał i powiedział, że z tego wszystkiego, to on nic nie rozumie i orzekł, że wszystko, czego go uczono było kłamstwem. On się nazywał Wania, zakochany w swojej rzece Oco, on stamtąd gdzieś pochodził, uważał, że tam najpiękniejsze są dziewczyny, sady, rzeka, taki patriotyzm lokalny ogromny, kochał Jesienina - myśniony z nim się wlecznie kłócili, bo on mnie przeдрzeźniał, przychodził do lekarza, a lekarz nasz bardzo go lubił, ja robiłam np. zastrzyki, prosiłam go żeby wyszedł, on na to że nie wyjdzie, a tu wchodził lekarz i mówił, Waniuszka, jak to dobrze, że przyszedłeś - to on mnie wtedy figi pokazywał, język pokazywał, że wyszło na jego, a ja jeszcze byłam w tym wieku, że obrażałam się za to, a to był bardzo porządny chłopak. I pamiętam, że nasz medstatysta, któremu codziennie każda z nas musiała sporządzać samowodkę, tj. wiadomość o sta-



nie chorych: jaki jest stan chorych, ile mamy ciężko chorych, ile lżej chorych, jakie są choroby - taka statystyka. Ten nasz statysta był wielkim estetą, słicznie rysował - ja mam jego rysunki, takie malunki, ale bardzo ładne, on miał dryg do tego. Sprawozdanie, to była jedna karta, leżała w okładce, bardzo ładnej, którą on zrobił, ale ta okładka mnie się zniszczyła i ja sobie myślę, co ja tu narysuję, czy nalepię, żeby temu dziadzi Saszy było przyjemnie i wtedy przyszedł Waniuska i powiedział, że on to zrobi i on to napisał tak pięknie, że zaraz przyleciał dziadzia Sasza zobaczyć, skąd u mnie takie cuda. Wania pomagał mi w pracy nadania estetycznego wyglądu temu barakowi. Zamówiliśmy wielki ceber i on ten ceber pomalował w ruskie pietuchi - ja chodziłam zbierać trawy, a są tam przepiękne trawy, mietlice prześliczne i jak się taki snop tego postawi /trzeba ułożyć/ i do tego maki sztuczne, to jak wchodziło się do tego baraku to było radośniej, jakoś wesелей. Ja lubiłam tą pracę. Wydało mi się, że robiłam to, co umiałam, lubiłam i co mogłam. Jeszcze chcę opowiedzieć o naszym lekarzu. Pewnego razu przysłano nam parę skrzyń glukozy. Ogromnie ucieszyła się nasza naczelnica, bo glukoza jest potrzebna nam wszystkim, całego obsłudze także. Ale lekarz Polak nie uwierzył, że ktoś tak sobie lekką ręką podarował tyle glukozy, że coś musi być nie tak. Powiedział Elizawiecie Kondratiewnej, czy ona wie, do jakiego okresu to jest ważne? Ona powiedziała, że to sprawdzi. Okazało się, że nie ma nigdzie ważności leku. Pytałam się Czesława, lekarza i on mówił, że podejrzewa, że jest to już stare i dlatego nam dali. Ale przecież, jeśli się choremu to wprowadzi do żyły, to jest jasne, że umrze. Lekarz nie pozwolił nikomu zrobić, kazał sobie zrobić - pamiętam, że robiła mu siostra chirurgiczna, He-

ca myślny ją nazywali, Ukrainka z polskiej Ukrainy - ja mówię, nie róbcie 10 ml /to były 20-to centymetrowe/, skąd 7, zrób 5 ml i bardzo szybko była reakcja. Jak on cierpiał, jak go rzucano, jak było mu zimno, trzęsło go - tylko to, że nie był on chory i był sprawny fizycznie i młody człowiek, to się go uratowało. Naturalnie, wszystkie te zastrzyki poszły do ziemi, nikt nikomu nic nie powiedział, bo co tu było mówić, ale zostało sprawdzone, że były to leki przeterminowane. Także nikogo to nie obchodziło, chorzy mogli sobie pójść na tamten świat, a wtedy lekarze i te, które robiły dostałyby wyrok chyba śmierci. W 1949 roku, w nocy przyjechała komisja, czytano, że jestem przeznaczona na etap na Kalmuk. Co robią dziewczyny? Robią mi fizjologiczny roztwór soli, hipertoniczny - sól mi wywarła dziurę, do dzisiaj mam szramę, taką dziurę jak pół szklanki - dostałam temperatury, chyba czterdzieści stopni, trwało to dwa dni, ja mam taki organizm, że wszystko zwalcza. Dziura była ogromna, temperatury nie było i gdyby komisja przyjechała /bo miała przyjechać/ to i tak i tak musiałabym pojechać. Oni mnie chcieli ratować przed tą komisją. Nic to nie pomogło. Przyszła do mnie druga felczka i mówi: słuchaj Teresa, czyś ty chorowała na tyfus? Na żaden. Zrobili mi zastrzyk - to się nazywała mastyrka, za to można było dostać drugi wyrok - wstrzyknęły mi tyfus, w każdym razie ja ten zastrzyk przechorowałam okropnie /prawdopodobnie ona mi jeszcze przedawkowała/, dostałam temperatury, czyściło mnie, wyniotowałam okropnie. Po trzech miesiącach dostałam jeszcze cółtaczki, ale wtedy od tego etapu mnie uratowano. Ale tu muszę opowiedzieć o swoich przeżyciach innego rodzaju. Sprawa z takim błatym, okropnym bandytą, którego okropnie bał się wszyscy, a który wtedy przyszedł mnie ratować. Do na-



szego obozu skierowano dwóch błatnych z wyrokiem, ale na nowo, skierowano do naszego szpitala z podejrzeniem o syfilis, z karcera z Kocznesu z okresu śledztwa i na wszystkich padł błady strach. Naczelnica zebrala nas wszystkich, powiedziala, że przywozą nam takich, którzy są pod śledztwem, więc wszystko będzie usilone, pilnować będą nas bardzo i że to są bandyci, którzy wykonali wyrok śmierci na swoim błatnym, który się zasuczył, tzn. przestępcą należał do bandy błatnych, a potem posłuchał rad naczelnika, bo to był niegłupi chłopak, zaczął pracować - bo tam w obozie oni nie pracowali, to tzn. arystokracja obozu, błakitna krew - automatycznie dostał wyrok śmierci. Ponieważ nie można było do niego dotrzeć, dzia-dzia Misza, głowa wszystkich błatnych w Pieczorkach - to jest wielki naczelnik w świecie przestępczym, to był taki pachan nad pachanami - a kraj Pieczorski to tak, jak pół Polski. Okazuje się, że pojechali we dwóch, tzn. pojechali na zlot wyróżniających się brygadystów, na tym zlocie miał być ten, który ich zradził, prawdopodobnie ten pachan poszedł do naczelnika i powiedział, że musi wyjechać, a oni się wszyscy boją, bo oni zadają przy pierwszej okazji. Zadał ten, który kończy wyrok, ale weźmie na siebie ten, który dopiero zaczyna wyrok. Pojechało ich dwóch i na pewno dziadzia Misza zabił, a zostawało mu dwa lata do końca wyroku, a był razem z nim taki młody błatniak, chudy, wysoki - Żyrnyj go nazywali /to znaczy gruby/ - on miał odsiedzieć 25 lat, odsiedział rok, za to zabicie dostałby 25 lat czyli tylko rok by mu dodali, bo to jest tak, oni mówią pogłaszczają, czyli że rekompensuje wyrok drugi wyrok. Ten młody przyznawał się do tego, że on to zrobił. Jak naczelnica powiedziała, że ci bandyci przyjeżdżają do naszego szpitala, to wszystkie siostry

zaczęły się bać. On miał trafić do chirurgicznego, Heca, ta nasza siostra powiedziała, że chyba umrze tak straszliwie się bała. A ja mówię, że skoro przyjeżdżają z podejrzeniem syfilisu, to trafią do naszego baraku, a ja się nie boję, bo on ma swój wyrok, ja mam swój wyrok, a oni zresztą białych fartuchów nie ruszają, bo białe fartuchy były im potrzebne. Ja naprawdę się nie bałam, to nie było tylko takie gadanie, bałam się tylko wtedy, kiedy szłam po chleb, ale o tym już opowiadałam. Ci chorzy przyjechali i pamiętam takie wydarzenie - to było zimno, ja miałam, o babci dostałam szal angielski i ten szal był jak futro, piękny, puszysty, biały, ja z tym szalem chodziłam po chorych, bo trzeba było pójść do łazni i zabrać ich według listy, którą dostałam od medysty. I w pewnym momencie, potrafię, a ja nie mam szala, jak mi go ukradli, nie wiem i tam sami goli byli i nie mam pojęcia, jak to zrobili. Było mi ogromnie przykro i strasznie było mi żal tego szala, zresztą wszystkie wolne siostry jak wyjeżdżały, to pożyczają go ode mnie. Idę sobie, głowę spuściłam i ten nowy, chudy bandzior mówi: siostro, co tak siostra głowę do dołu? Mam przykrość. A co się stało? Ukradli mi szal? Jaki? Taki biały, puszysty. Kiedy? A dzisiaj, jak was przyjmowałam. I poszłam sobie. Zakazano nam ich wypuszczać tzn. nie wolno nam było dawać im ubrań - jak ci dwaj zostali przydzieleni do naszego baraku, to wszyscy pilnowali, że był przykaz, że nie wolno nam ich wypuszczać. Po jakieś 10 minutach przychodzi ten chudy do mnie i mówi, siostro, ja bardzo proszę, ja muszę wyjść na chwilę. Nie mogę - mówię - tu jest taki rozkaz, macie jakieś specjalne względy u tych, którzy pilnują, mamy rozkaz nie dawać wam ubrania, bardzo mi przykro. On mówi: siostro, przecież ja o tym wiem, ja ci



daje słowo, że nikt mnie nie będzie widział, że nikt mnie nie złapie. To, to ja już wiedziałam i myślę sobie, dobrze, poprosiłam starszego sanitariusza, żeby dał mi ubranie, on przyjdzie i zamelduje się. I tak rzeczywiście było. Zaraz wrócił, zameldował starszemu sanitariuszowi, że jest, przyszedł do mnie i mówi, że już wrócił, wszystko jest dobrze. A ja rozdałam lekarstwa, przychodzę, a u mnie na krześle wisi mój szal, nie wracałam tam, więc nic nie powiedziałam. Na drugi dzień idę tam i mówię mu: dziękuję. A on mówi: Za co? Pamiętam, że po dwóch czy trzech miesiącach mi powiedział, że ja mam miły charakter, że nigdy go nie pytałam, że dziewczyny zazwyczaj pytają a jak, a gdzie, a co, a ja tylko powiedziałam dziękuję i na tym koniec. Przecież wiedziałam, że i tak on mi nie powie, a poza tym to mnie nie interesowało. Była taka sprawa, że zaczął nas nawiedzać naczelnik ochrony, on bardzo pilny, pilnował więźniów i nie bardzo miał coś do roboty, wечно chodził uchlany, a że przez pewien czas musiał robić zastrzyki i przychodził do mnie na zastrzyki, to ja mu powiedziałam, że jak będzie piły, to ja nie będę mogła robić mu zastrzyków, bo wtedy to szkodzi a nie pomaga. Na pan 12 zastrzyków, to przez 12 dni trzeba chodzić trzeźwym. Przez te dwanaście dni trzeźwy był i okropnie zły. Do naszego baraku nie wolno było nikomu wchodzić bez pozwolenia lekarza i bez założenia fartucha, bo to byli gruźlicy i wenerycy. I on koniecznie chciał wchodzić, żeby pilnować. I ja się musiałam z nim kłócić, że nie ma on prawa tu przebywać. I akurat kiedyś tak było, że przyszedł lekarz, mówię lekarzowi panie, że ja już nie mam siły i proszę powiedzieć komendantowi, jak to jest. Lekarz powiedział mi, że nie ma on prawa tu wchodzić. Komendant na to: tu są błatnyje, a lekarz mu odpowie-

dział, że dla nie go nie ma błatnych i nie błatnych. Dla mnie są chorzy /balnyje/. I to było to, nawet nie zdawałam sobie sprawy, było gwarantem nietykalności dla tego lekarza i dla mnie do końca pobytu. Po tak trudno wiedzieć, co komu pasuje, on przecież nie politykował, powiedział to, co czuje, a tym sobie zaskarbił tego najgłośniejszego pachana. Najlepszy dowód, że tak było, była następująca historia. Trzeba było jechać na obóz Nr 2, gdzie było mnóstwo błatnych i stamtąd przywozili do szpitala bardzo wykończonych ludzi i ludzie ci bali się strasznie wrócić na te 02 - wyprawili lekarza, aby tam pojechał, też więźnia. Taki był lekarz Grycenko ze szpitala Nr 1, Ukrainiec, z Koczmesu. Pojechał i tylko wszedł do Zony, nie zdążył wejść, jak nóż przeleciał mu przy samym uchu w drzwi się wbijając. On się zawrócił. Od razu go ostrzeżli, że nie ma co tu szukać, dlaczego nie wiadomo. Tymczasem naczelnica dostała selektor /telegram przez telefon/, że ma prikaz wysłać jednego z naszych lekarzy do obozu Nr 2. I ona mówi, że Grycencę zagrozili rzucając tym nożem koło ucha, - oni tak rzucaли nożami, jak pokazują na filmach kowboi strzelających z różnych pozycji bardzo strzelnie rewolwerem, tak oni rzucaли celnie nożami, spod ręki, muchę trafiali w locie. Wszyscy się bali a u nas było trzech czy czterech lekarzy. Zgłosił się lekarz Polak, on był najmłodszy, zegnali go tutaj, jakby conajmniej na śmierć jechał, naczelnica prosiła, żeby natychmiast powiadomił co i jak. Pojechał nasz doktor, był tam trzy dni i wrócił. I miał uszyte piękne buty i z bursztata zrobili mu "maskwiczkę" /tak się to nazywało stawaniana z kornierzykiem/, wygolony, wypachniony. Ja mówię: co się stało? Nie wiem - odpowiada - przyjechał, spotkali go, przyszedł prarab, przyszedli brygadziści, spytali jego, jak



on chce sprawdzić zdrowotność, jakie brygady, kiedy, kucharz mu przynosił jeść i nie ruszyli go i on nie wiedział dlaczego. Okazało się, że to właśnie to, że nie pozwolił wejść wtedy komendantowi i powiedział, że u mnie są chorzy i nie dziel ich na błatnych i nie błatnych. I wtedy, kiedy ja naprawdę byłam bardzo chora po tych zastrzykach, po mastyrce, to przyszedł jeden z tych błatnych, łysy. Kławdia Wiktorowna mu się opiekowała. Myśmy mieszały w obuszczatniu, wspólnie nas mieszało pięć, Kławdia Wiktorowna z nami. Pewnego razu, Kławdia Wiktorowna mówi, słuchaj, chyba idzie ten bandyta łysy. Była przerażona. Mówi, proszę się nie bać, przecież nie idzie nas zabić. Zapytał się, czy można wejść, mówi, że przyszedł mnie odwiedzić, że przyszedł nielegalnie, bo jemu nie wolno wychodzić, ale był ciekaw jak ja się czuję, sięgał, że jest bardzo źle ze mną, że mam wysoką temperaturę i wyciąga z burząta dwie puszkę: w jednej jest mleko skondensowane a drugie to kakao skondensowane. On mówi: zapłaciłem pięciokrotnie, można to pić, siostrze, kupiłem to od Estofczyka, który dostał paczkę i który chciał to sprzedać i chciał tyle, a ja mu dałem pięciokrotnie więcej. Przyniosłem to tutaj i proszę to siostrze robić. Taki jest przepis, że trzeba łyżeczkę czy dwie na szklankę wody - myśmy tego jeszcze nie widzieli - to wszystko na razie było nic, tylko troszkę mnie to krępowało. Ale on mi mówi tak; podobno ma teraz przyjechać komisja. Proszę słuchać uważnie, jeśli przyjdą siostrę zabierać, proszę im w niczym nie pomagać, niech ktoś siostrę ubierze, niech ktoś siostrę ubierze i wyniesie za Zonę na noszach. Ciekawy jestem, kto to będzie? I wtedy mnie ogarnął strach. Z tych naszych, to nikt by tego nie zrobił, bo jeśli to jest zabronione, jeśli taki pachan powie nie ruszać, to ten, kto będzie

ruszał, to mu wyrok. To są takie prawa obozowe, twarde i wszędzie jednakowe. Ja mówię, proszę pana, jeśli będę musiała wyjechać, to wyjadę, przecież mnie jest wszystko jedno, gdzie będę odbywać wyrok, jeśli oni tak te kartoteki poukładali, to i tak tu nie nie pomoże, będę musiała jechać, czy ja jestem tu za kołem Polarnym, czy będę gdzieś na Dalekim Wschodzie, to dla mnie jest wszystko jedno, nie widzę różnicy. A on mówi: Ale jest różnica i zasadnicza i siostra nigdzie nie pojedzie, nigdzie, bo nikt siostry nie ubierze i nikt siostry nie wyniesie i do władzenia i życia zdrowia. Przyjechała komisja i mnie na rękach przenieśli na tą komissówkę, tam przyjechali lekarze i nasz lekarz tłumaczył pokazując mnie, co i jak. I nas dwie osoby ze szpitala nie włączono w tą ekipę.

## I strona

Klwardia Wiktorowa była moją nauczycielką, która uczyła mnie języka rosyjskiego, bo ja w czasie śledztwa próbowałam rozumieć, w końcu nie znając języka rosyjskiego można się jakoś dogadać, natomiast czytać nie umiałam. Wszystko to co, kazał podpisywać ten śledczy /oni pisali ręcznie, nie pisali na maszynie/, to ja nie rozumiałam ani jednej litery. I wtedy, pamiętam, dostałam po paluchach, ale tam trzeba było napisać całe zdanie, to nie było tak, że ja tylko podpisuję każdą stronę, trzeba było napisać coś takiego, że to jest zgodne z tym, co ja powiedziałam. Taka Rosjanka, która z nami siedziała, powiedziała, że pokaleczą mi ręce, a to i tak nie da, ty usiądź i narysuj to wszystko, musisz się nauczyć narysować. Powiedziałam wtedy, że podpiszę, posiedziałam sobie, nauczyłam się /strasznie mnie bawiła ta litera "ja", taka z brzuszkami/ i podpisywałam to wszystko, bo przecież to



i tak i tak nie miało żadnego znaczenia. Nie podpisałam swego wyroku, a przecież przesiedziałam, więc o co chodzi. Ta moja Kławiś Wiktorna to była z pochodzenia Danka, której ojciec był inżynierem i na prośbę cara przyjechał do winnicy budować cukrownię. Dlaczego - pytam się - jest pani Ukrainką? Bo mam matkę Ukrainkę. A mieli sąsiadów Polaków i to była taka rodzina, gdzie było dużo chłopców i ona mówiła, że tak śmiesznie się nazywali: Munc, Dunc, Lunc, jakoś tak, przekomicznie. I stąd mogłam się z nią porozumiewać po polsku, tam. Jeśli robiłam gafy, to ona mnie rozumiała, polubiłyśmy się bardzo. To była starsza pani, ona miała córkę w moim wieku. Ja jej ogromnie wiele zawdzięczam. Przede wszystkim to był człowiek wielkiej duszy, poza tym był to człowiek wielkich wiadomości. Ona była nauczycielką tzn. przedpokawatiel w Instytucie Ruskim, uczyła języka i literatury rosyjskiej. Ona mnie uczyła języka rosyjskiego tam, w tym szpitalu. Pamiętam, że naczelnica przyniosła poczęcie Lickrasowa /bo nigdzie nie było słowa pisanego/, ta przeczytała nam kawałek /bo jeszcze ze mną uczyła się jedna/, wiersz "Zielicznaja daroga", zostawiła w najciekawszym miejscu, potem zaczęłyśmy dukać, dukać i pomalutku nauczyłam się. Po koniec wyroku, jeśli mówiłam po rosyjsku i mówiłam, że jestem z Moskwy, albo z Leningradu to mnie wierzone. Mówiłam językiem literackim, tak mnie uczyła ta pani.

## II strona

Robiłam mało błędów. Bardzo żałuję, że zaniedbałam że nie umiem - tak sobie myślę, że mogłam być tłumaczem, że mogłam sobie ukatwić życie, mogłam sobie po prostu tłumaczyć książki, gdybym od razu tym się zajęła. Ale wtedy byłam tak bardzo szczególna, że nie muszę mówić po rosyjsku, że nie przy-

chodziło mi to do głowy, a dzisiaj to już widzę, że ja tłumaczę z polskiego na rosyjski, a to jest już źle, bo na to, żeby mówić po rosyjsku, to trzeba myśleć po rosyjsku. Szkoda, zmarnowałam i to. Chociaż byłby jeden plus z tych jedenastu lat mojej Akademii Życiowej.

Na początku zimy - opowiadałam to - nie włączono nas dwie ze szpitala do etapu jadącego na Kalmuk. Z końcem zaś zimy już jechałam etapem do Irkuckiej Oblast. Przyjechaliśmy do obozu po Japonczykach. Obóz był bardzo pięknie ustrojony. Wszystko było zrobione z brzozy, ponieważ tam jest taka sieć, że jeśli pada deszcz i nogą się stanie, to dokoła buta taki placek ciągnie się, jest taka tłusta, gliniasta ziemia. Chodniczki, to były takie śladki, koła brzozy ustawiono tak, jak człowiek idzie i te kółka brzozy były z korą i to ślicznie wyglądało - to zrobili Japonczycy, którzy byli więźni do niewoli, którzy byli jancami wojennymi. W naszym obozie - na przykład - na środku był zrobiony przepiękny klomb, to była Jokohama, ale ileż tam ludzi musiało pracować, żeby z takich malutkich kawałeczków stworzyć miasto, przedliczne. Jak myśmy tam przyjechali, to kazali nam to zburzyć. Specobozy - bo tam właśnie trafiliśmy - różniły się od obozów poprzednich bardzo. Myśmy dostali wyrok tzw. ITL, Isprawitielnyj Trudowej Lagier, czyli poprawczy obóz pracy. Pan Beria uważał, że polityczni przestępcy nigdy nie powinni wrócić do normalnego społeczeństwa, ponieważ my nigdy nie zmienimy swojego zdania /zawsze będziemy wrogo nastawieni/. Stworzono nam obozy, to się nazywały Oziernagi, to był Osobyj, Zakrytyj. Rieziornyj Lagier, tzn. specjalny, zamknięty obóz karny. Jaka była różnica? Mieliśmy prawo pisać do Związku Radzieckiego, na terenie Związku Radzieckiego, jeśli ktoś miał rodzinę, dwa razy



w roku w określonym czasie. Poza tym, zamknięto nas co wieczór w barakach, dostaliśmy numery, mieliśmy zupełnie więzienny reżim, tzn. np. nie wolno nam było przynosić kwiatka z tajgi, kazano nam wszystko zniszczyć, co Japończycy zrobili przed nami w tym obozie, a mówili, że pięknie przyodrobili ten obóz. W tych pojapońskich obozach np. rósł owies, bardzo ładnie ci Japończycy to zrobili, tam, gdzie były takie kwiety /rowki do odpływu wody/, to równusiśko, tak pod sznurek, posadzony był pas 3 cm owsa i ten owies /naturalnie nigdy on nie dojrzewał, bo tam nigdy by nie zdążył dojrzeć/ był wielką ozdobą i kiedy kiedy przyjeżdżali to już miał kłosa, był szarosieleny, to była wielka ozdoba - kazali nam to wyrwać. Japończycy również porobili przed barakami stoły z brzozy, a z gałązek brzozy - parasole. Trudno tam w lecie o posiaduszki ze względu na muszkę, muszka to się nazywa, to jest mały potwór, straszliwie gryzie i jest ich miliony. Są takie organizmy, które szczególnie są uczulone na te ugryzienia, to puchną tak strasznie, że człowiek nie jest podobny do człowieka. O posiedzeniach pod tymi parasolami to nie mogło być mowy, ale ci Japończycy może tam jedli - bardzo ładnie to wyglądało - nam to kazali zniszczyć. Byliśmy więc na gołym placu, z numerami /zresztą nie od razu były numery - później/, ale mieliśmy już zupełnie inny reżim. Ponieważ za każdym razem coś nam przybywało, np. to zamknięcie nas i ustawienie tzw. paraszy, czyli beczki na siusianie, było znowu dla nas przeżyciem, bo to się wracało znowu do okresu pobytu w więzieniu, trzeba było, żeby było jakieś antitedium tego, bo to było okropne. Dzielwczyny bardzo różnie reagowały na to, płakały, a ponieważ każda ma powód do płaczu, a jedna płacze, to się zaczyna ogólny płacz. Więc było to, że płakać nie wolno.

między innymi to jest bardzo złe. Ja w tej dyscyplinie byłam dziesięć lat i uważam, że gdybym dzisiaj sobie popłakała, to byłoby miłszej, a niestety nie umiem już, nie mogę. Tam też tak było. Miałyśmy bardzo sympatyczną Ukrainkę, Katię, która na wiadomość o tym, że znów wracamy do paraszy, ustawiła dziewczyny w rząd, powiedziała, nie będziemy płakać, będziemy śpiewać. Będziemy codziennie tą paraszę wynosić ze śpiewem. Ta beczka miała cztery rączki, więc wychodziło nas cztery, w tej beczce nie nie było, bo dziewczyny nie siusiały, ale to różnie było, bo jak było zimno, to było gorzej, miałyśmy kąsik, więc nie musieliśmy tego wylać. Rano ze śpiewem, bo konwojent niedaleko na tej wyszce stał, więc ze śpiewem szły, wyglubiły się i wynosiły tak, żeby ci wszyscy nas pilnujący zobaczyli, że to nie jest dla nas w końcu wielkie przeżycie, że my sobie z tego kpiny. Wszystko to naturalnie były pozory, bo to wszystko strasznie nam utrudniało życie, ale innego wyjścia nie było, nie myśmy to wymyślili. I muszę powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Ja mam ogromne szczęście w nieszczęściu. Zawsze spotykam ludzi dobrych, ciekawych - może dlatego, że Pan Bóg nie poskapił mi tego daru obserwacji, bo ja wiele rzeczy widzę, których inni nie widzą. Stąd wiem, że w tym obozie było mało ludzi, których określiłabym jako złych, bo przecież ja byłam z kobietami. Może to też nanka mojej babci, która mówiła, że nikt się nie rodzi złym, że do każdego człowieka można dotrzeć, że jest jakaś furteczka zawsze, tylko trzeba umieć do niej trafić, że to nieprawda, że ludzie są zli, tylko im życie tak się układa, że się robią tacy a nie inni. To też prawda. Dobrze, że nikt mnie nie uczył ani w domu ani w szkole takich nacjonalistycznych poglądów, ja nigdy nie miałam z tym kłopotu, że ktoś był Ukrainiec, Żyd, Litwin,



Łotysz -mnie było wszystko jedno, wszyscy byli jednakowi, nigdy nie miałam żadnych zahanowań, bo jeśli ktoś jest wychowywany w takim duchu, to ma zahanowania, ma trudności w nawiązywaniu kontaktów. Ja uważam, że ja miałam szczęście w nieszczęściu. Tak jak ruskie przysłowie mówi: duraku szczęście, tak i mnie, czyli było dobrze. Zawsze, jak jest ktoś życzliwy, jak jest ktoś taki, kto zrobi ci nawet życzliwy gest, dobre słowo, w odpowiednim czasie, bo przecież chleba nikt nie dawał, bo nie było, każdy miał tak mało, że trudno się było dzielić. Ale jak jest już uśmiech na twarzy, to jest już coś. A poza tym jest jeszcze i to, że wśród Polak, które ja spotykałam było dużo pań starszych, ja byłam ciągle młodszą i to dziwne, ale te starsze panie u mnie szukały jakiejś pociechy, one cały czas martwiły się o to, czy one wrócą, każda miała dom, rodzinę, dzieci - ja byłam szczęśliwa, że nie miałam nikogo, tylko rodziców, nie zostawiłam męża, dzieci - to jest połowa ciężaru na bark, to już mnie odpadało to. Przecież ja sobie zdawałam sprawę, że te, które miały małe dzieci pozostawione nie wiadomo jak i gdzie, to sama myśl o tym była dla nich cięższa, niż to, co ona robiła w obozie. Ja miałam o tyle łatwiej. Jaką wiarą spełniała rolę, jeśli chodzi o to przetrwanie, o ethos człowieka? Ja nie bardzo zwracałam na to uwagę, ale prawie wszystkie wierzyły. Wiara na pewno pomagała, ale najgorsze były zabobony, np. liczyłyśmy codziennie przy wyjściu przez wartę /byłyśmy w piątkach/, że jeśli będę w parzystej wrócę do domu, jeśli nie w parzystej, nie wrócę do domu. To straszna była głupota, bo raz byłam w parzystej, a raz w nieparzystej. Jeśli byłam w parzystej, to dla mnie wszystko było lekko, snosiłam stokroć łatwiej ten dzień i tą swoją pracę, jeśli byłam w nieparzystej - koniec świata,

nas na kwintę, że wszystko to na nic - to jest okropna, to są takie głupoty. Na przykład myśmy się śmiały. Miałymy nadzwyczajną panią na 012 właśnie tam, już w tym specobozie. Wtedy była nas jakaś większa grupa, była Aniela - Aniela była astronomem, była Zosia, była Basia ta chora, Limnicka, już nie żyje, była pani Grażyna Lipińska, niezwykle ciekawy człowiek i była pani Stefania Borowska, ta której książeczkę od nabożeństwa znalazłem w spluwacze. Pani Stefania Borowska była to starsza pani, ze ślicznymi czarnymi, bardzo młodymi oczkami, niewielka głowa /myśmy ją nazywali Króliczek, bo miała taką czapeczkę białą z angory i jej tej czapeczki nikt nie ukradł i ona w niej chodziła. Niestety w obozie zmarła na raka. Myśmy przy spotkaniu kiedyś tak dociekały, gdzie, bo myśmy z Anielą odprowadziły do wrót naszego, potem w innym szpitalu spotkały ją inne dziewczyny, potem Marianka była przy jej śmierci. Także na pewno umarła. To była pani, która miała w sobie słońce. Pamiętam jak opowiadała - ona ciągle opowiadała - jak poszła do Katedry w Wilnie na sunę, kiedy w kościele są same przekupki. Ciasno wtedy w kościele okropnie. Jest Podniesienie, wszyscy klękają i raptem ona słyszy taki donośny głos: Ludzie, odstąpcie się ludzie, odstąpcie się, będę robić Baranku Boży! Jej potrzeba miejsca, rozmachu na Baranku Boży! Myśmy się zaśmiewały. Ale to było przedziwne, potem nas ogarniał jakiś strach, że myśmy się śmiały, że dlaczego żemy się śmiały. Wszystko to dzisiaj jest niewytłumaczalne - jak dzisiaj patrzę na to z perspektywy swoich 66 lat, to myślę, jakie my byłymy głupie, wtedy trzeba było się śmiać, bo to było naprawdę nam potrzebne. Natomiast dzięki pani Grażynie Lipińskiej, ta z "Wachlarza", o której pisał Chlebowski, jeździłam razem z nią po świecie. Pani Grażyna



przed wojną podróżowała. Ja nigdzie nie byłam, poza Polską. Zbieraliśmy się u Basi na narach, bo Basia leżała chora, to było u Zosi i u Basi, pani Grażyna jeździła po świecie i wszystkie my z nią razem. Ja byłam tak zaszuchana w jej opowiadania. Ja naprawdę byłam i w Wenecji i w Rzymie i potem, niestety musiałam wracać na swoje maty, ale dla mnie te wieczory były czymś wspaniałym. Te panią Grażynę pokochałam jak kogoś bliskiego bardzo. Dzisiaj spotykamy się bardzo rzadko, dzisiaj to jest pani, która ma chyba 85 lat, jest sprawna, energiczna, niezwykła. Wciąż ciągle spotykałam kobiety ogromnie wartościowe. Jeśli chodzi o religię, jak to wyglądało? Było wyprowadzenie nas rano i myśmy się wszystkie modliły. Wiem, że to było ważne i np. Święta Bożego Narodzenia wypadły inaczej u katolików a inaczej u prawosławnych /2 tygodnie różnicy/, ale Wielkanoc czasami jest razem. Była tam też piękna postać, pani Laria Iwanowna Kozmopłajewa, Rosjanka z Estonii, z pięknym głosem, ze ślicznym altem, która śpiewała w chórze w cerkwi i znała całą masę prawosławną. I np. były takie dni, kiedy były święta kościelne, wtedy myśmy siedzieli cicho lub modliliśmy się po swojemu, a Laria z jeszcze jedną panią, już po zamknięciu nas, już w nocy, śpiewały to wszystko i była to bardzo piękna rzecz. Włara, naturalnie pomagała, tylko ktoś musiał tym wszystkim kierować, czasami potrzeba było dobrego słowa, ludzkiego. Czasami ludzie bluźnili, bo tam wszystko było bardzo trudne, bardzo ciężkie, przecież praca była nieludzka. Myśmy musiały chodzić 9 kilometrów, albo i więcej na miejsce pracy, z rękami do tyłu. Przychodziłyśmy do pracy - tam nie można było siedzieć, bo trzeba było zrobić tą normę - ja pracowałam na lesopowale, w speclagrze, pilałam drzewo z pnia, a np. Roma Okulicz z Grandziecz pracowała na

koniu, tzn. trelowała, czyli ściagała te drzewa spiłowane i ponumerowane /wiadomo już było, ile ona ma kubików - metrów sześciennych/ i według rozmiaru ściagało się na takie bieżące /składy/, znowu te składy robiły dziewczyny, trzeba było to podtoczyć /oni mówili na to "podkadka"/ i to coraz wyżej, coraz wyżej, więc to było bardzo ciężkie, na takie estakady według wielkości, stamtąd była znowu brygada, która ładowała na samochody, takie samochody z przyczepami i kierowcy byli wolni i tyle, ile myśmy im naładowali, tyle oni zarabiali, to było dla nich bardzo ważne i oni to drzewo odwozili do doku /tak się to nazywało/. Dok to był obóz męski, mężczyźni pracowali tam mechanicznie i budowali fińskie domy. Na tym doku pracował Anieli mąż, Leon, myśmy się dogadali, że byliśmy bardzo blisko siebie, teraz dopiero zaczęły się o tym zgadali, jak zaczęły się poznać, bo ja Leona nie znałam. Praca była ogromnie ciężka a jedzenie było pleskie. Wędrówka po pracy była straszna, trzeba było 9 km iść z rękami do tyłu, to straszne, taki był przykaz i oni śarli się: ruki nazad! a chodziło im o to, żeby nas umęczyć. Tam się mówiło: Padychaj, na twoje miejsce budiet dziesięć. Koniec sprawy. Ja nigdy nie byłam ja, tylko "nomier R 487", czyli byłam numerem. Numer ten przywiozłam, ale nie wiem gdzie. Ja już go szukałam. Na białym tle czarnymi literami, czarną farbą i na ciemnym burczaku, tak, że to widać. Myśmy nie nosiły na nogach, mężczyźni nosili na placach i na nodze a myśmy tylko na plecach. W tej codziennej "modlitwie", kiedy nas wyprowadzano do pracy, mczelnik konwoja codziennie czytał nam taki przykaz, jak my się mamy zachowywać w czasie marszu. Mówił tak: "Zakluczonyje wnimanije, /wciążnienie, uwaga/ wo wronja putieszestwowanija nie razgaweriwat, iz riada w riad nie pierzechudic, nie nagibaśia, sz-



liami numerów nie zakrywać, szag w prawo, szag w lewo, szcztajet sapadik, kanwoj prinimajet aruzijebiez pieduprieśdienia, jasno! Wtedy my wszystkie musiałyśmy krzyczeć: jasno! A ponieważ rano zawsze byłyśmy zmęczone, nigdy nie wypoczywałyśmy po tej pracy, wogóle i w nocy krzyczały: bojsia, wialii, jeszcze wialii, czyli znów pracowały. Było duszno, w baraku było nas 100-120, szamykali nas przecież, okna nie były otwarte. Rano to nam się nie chciało krzyczeć, no to on krzyczał jeszcze raz i jeszcze raz nam tę "modlitwę" powtarzał, to wtedy każda, na cztery głosy w swoim tonie krzyczały: jasna! Wpieriod i szłyśmy. Żeby człowiek nad wszystkim się zastanawiał, żeby wszystko brał sobie do serca, przeżyłby rok. Było bardzo wiele ludzi, którzy nie wytrzymywali psychicznie, którzy się załamywali i szli do "wariatkowa". Dużo było takich, bardzo dużo było nierównoważonych. Uważam, że wszystkie te kobiety, z którymi ja byłam, w jakiś sposób zdały egzamin, chociażby dlatego, że znosiły siebie nawzajem. To nie jest takie proste. Ja np. miałam Ukrainkę, która przepięknie śpiewała, ale ja nie mogłam już tego słuchać. Ona śpiewała na tle nerwowym, przechodziła z pracy, rozbierała się, szłyśmy się umyć - miałyśmy bardzo dobrą dzielnicę, bardzo kulturalną panią Litwinę, która szycowała nam wodę. Myśmy nosiły ze sobą polano pod pachą - to można było nam przynieść do Zony. Każda niosła polano po to, żeby mieć w zimie ciepło, żeby w piecu palić, bo ta pani dzielnicowa nie wychodziła do pracy, tylko nas zaopatrywała w wodę, dbała o czystość baraku - myśmy zresztą same dbały, bo cóż ona mogłaby zrobić. Mówiłam o tym, że te dziewczyny znosiły siebie nawzajem. Przychodziły już umyte - były takie koryta drewniane, koryto u góry, koryto u dołu, z tego u góry były zrobione takie sączki, dziurki

i takie metalowe zaworki, u góry był taki płaski gwóźdź i u dołu, to się popychało i woda leciała, jak się puszczało, to się otworek zamykał. Myśmy się myły - i to jest jedna ogromna sprawa na plus, że dziewczyny dbały o to i jeśli np. ktoś nie chciał tego robić, to ją zmuszały, bo to było bardzo ważne, żebyśmy przynajmniej były czyste. Boże, ile tam było biednych. W innym obozie była taka Ukrainka, bardzo prosta kobieta ze wsi, która nie umiała po.rosyjsku, która nigdy nie chciała pracować, w którejby brygadzie nie była, nie pracowała. Ja wtedy byłam na konnej podwozce i dała ją mnie. Ja mówię, ciocia Marusia, będziesz ze mną podnosić te patyki i kłaść na te sanie? Te cieniutkie będą - mówi ona. - ciocia Marusia - mówię - nikt za ciebie nie może tego robić, przecież jesteś młoda, jesteś o parę lat od nas starsza /ona dostała 25 lat, ale też ona miała swoje racje, mówika, że zabrali jej dom, zrujnowali jej dom zupełnie, zabrali dwa samochody zboża, cały samochód mięsa, miałam trzy świnie zabite, więc miała skoniny, wędliny i wszystko, a tu je takie świątwo, taką pochłobę i mam jeszcze pracować! Nie będę!/, ja i każdy z nas coś lub kogoś zostawił, ja zostawiłam rodziców i brata a tu pracuję, bo ktoś za mnie nie może tego robić, ja muszę to robić, dlatego że ktoś by musiał zrobić to za mnie, więc musisz trochę pomagać nam. Pamiętam, że ona np. miała takie historie. Konwojenci mówili: szereszak, tzn. szyb cień a ona to rozumiała, że szerzej nogi, więc wogóle biedna zupełnie iść nie mogła. I kiedyś ja przychodzę, a ona siedzi i płacze, płacze tak, żeby nikt nie widział. Co się stało - pytam. No nie wiem, muszę ci pokazać - mówi - tak mi przykro, tak mi przykro. I jest taka zażenowana. Okazuje się - ona była gruba i na nogach ma okropne rany, żywe mięso. Mówię, że



idziemy do lekarza, a ona na to, że nie pójdzie, bo to wstyd, bo to grzech. Jaki grzech - mówię. Okazuje się, że ona się nigdy nie podmywała, bo to jest ciężki grzech i teraz wytłumacz tej kobiecie? Zaciągaliśmy ją do lekarza, zostawili ją chyba na tydzień, coś tam jej robili, w każdym razie ciocia Marusia się tego nauczyła. A miałam Halijkę, która miała duży biust i chodziła bez stanika i pracowała na powale i strasznie jej to przeszkadzało i mówię - Halijska /tak ona miała na imię/ trzeba ci uszyć stanik, ja nie umiem szyć, ale ja uszyję ci stanik. Na to ona, że to grzech! Boże kochany, myślē sobie, gdzie one rosły? Rosły na Ukrainie, na polskiej ziemi, gdzieś w Tarnopolu i to nie był żart, ona to seria mówiła. Ja ciągle nie mówię o ciężkiej pracy, o niedoli w obozach, bo to wszystkim było wiadomo. Do obozu posłano nas nie po to, żeby wachać kwiaty, tylko pracować bardzo ciężko, chodziło o to, żebyśmy się same wykańczały, a nam chodziło o to, żeby się nie dać i cała sztuka polegała właśnie na tym. Jak patrzę zawsze na Nike warszawską, to sobie myślę, że tym ofiarom obozów, tym kobietom, które walczyły tam o swoją godność, o swoje życie i innych, właśnie powinna stać taka Nike, obdarta, niby poniżona, a jednak nie, a jednak ta głowa była do góry, jednak była walcząca. Jak patrzę na Nike, to widzę tamte kobiety wszystkie, tą biedną panią Borowską, która tam umarła. Może kiedyś nastaną takie warunki, że postawi się pomnik Nike w burzlicie, ale ja już pewnie nie doczekam. Ja nawet nie wiem, czy tamte kobiety by chciały, żeby było coś takiego. Przecież to były miliony kobiet. Kiedyś rozmawiałam z taką lekarką Żydówką, mieszkała w Moskwie, była mała drobna, ale było w niej sto Kilderów /jeśli pamiętasz się taki film o Kilderze, takim cudzie lekarzu/. Całą wojnę pracowała

w szpitalu polowym, mąż jej walczył na froncie, wróciła po wojnie, jej mąż też wrócił. Jej mąż był inżynierem i w Kijowie miał sympozjum, chciał szybciej wrócić do domu, nie pociągami, tylko samolotem, samolot się rozbił w drobny mak, nawet jej nie pokazano jego, bardzo się kochali. A ją aresztowano, bo sobie przypomniano, że jak ona miała 16 lat, to należała do sjonistycznej organizacji, która wtedy była legalna i powiedzieli, że to co ona robiła w wojnę, za zasługi wojenne, to spasio, a za tanto to trzeba odsiedzieć - dostała 10 lat. Nazywała się Bella Wsiejewna, była śliczna, malutka, miała szpakowate włosy, piękne oczy, malutką rączkę /ja jak przyszedłem do naczestki, zobaczyłem rękawiczkę, to mówię, skąd tu dziecko - to nie dziecko, to mama lekarz ma takie rączki/. Była to w innym obozie. Była w tym obozie dziewczyna Ukrainka, rumuńska Ukrainka, bardzo ładna, śpiewała ładnie, ale nie warta dziewczyny. Mieliśmy wtedy takiego naczelnika obozu, który był "psem na kobiety". To nie o to chodziło, że ona była puszczałką, ale kiedyś przyjechał etap nowych kobiet, nie było gdzie ich na razie umieścić i one były w naszej, powiedzmy jadalni /jak mówię jadalnia, to ładnie brzmi/ i akurat dziewczyny przygotowały koncert dla siebie. Ta Wala śpiewała - jak ona wyszła na scenę, to jedna z tych kobiet, które przyjechały dostała ataku, zaczęła krzyczeć, strasliwie, że to ta małpa, przez nią tu jesteśmy, nazywała ją po imieniu i nazwisku - straszna rzecz się robiła, od razu te dwie kobiety /to była matka i córka/ zabrano i z tego obozu wywieziono, Wala naturalnie została. Wszystkie dziewczyny ustawiły się od razu do niej pod kątem, bo będąc w obozie można jeszcze ludzi sadzać do wieszania, stąd, to jest straszliwa sprawa. Naczelnik tego obozu miał śliczną żonę i



przyczepiał się do mnie, tłumaczył, że w czasie wojny on był w Polsce, widocznie wpadłam mu w oko, a pracowałam w szpitaliku z tą Bełką Jewsiejewną, ona mnie wzięła, bo ja robiłam zastrzyki, a ona miała malutkie i bardzo drżące ręce. Pamiętaj, że była jeszcze taka starsza pani, Zosimowna, która już nie mogła robić zastrzyków i była ciocia Pasza, prawosławna zakonnica, która była tam sanitariuszką, starsza babcia, która mnie potem okładwała cegłami, bo nie było lekarstw, trzeba było leczyć byle czym, ponysłem. Ona była nadzwyczajna, od swojej matki z Moskwy - ta lekarz Jewsiejewa - dostawała paczki, bardzo rzadko, te paczki były strasznie biedne, więc zawierały trochę owoców suszonych, trochę miannej kaszy i, ona nigdy tego nie zjadła. Leżały trzy Hienki w tym szpitaliku, które miały dystrofię, to chyba był początek pełzagry, one miały stale sprawy żołądkowe i nie można było tego powstrzymać, a ponieważ nie było takiego do jedzenia, co mogłoby im pomóc, jeśli chodzi o dietę, więc Bełka poświęcała swoje paczki na to, gotowała, żeby je karmić. Najpierw ten naczelnik przyczepiał się do mnie - to była sprawa bardzo krótka i bardzo ostra - on mnie wzywał do siebie, a ja byłam taka głupia, bo nie domyślałam się, czego on chciał. Wzywał mnie i np. się pytał, czy chorzy będą odesłani do szpitala, ja mówiłam, że nie wiem, od tego jest lekarz i proszę się jego pytać. I kiedyś on po prostu na mnie napadł, takie bydle było bruchate, przycisnął mnie do ściany i on uważał, że mnie robi wielką grzeszność, bo ja tyle lat jestem bez chłopca, także uważał, że ja powinnam czuć się szczęśliwa, że on mnie obdarza sobą. Ja załatwiłam jego krótko, ręcznie. Dostałam po buzi, samienówkę, nie miałam innej możliwości i uderzyłam go tak "na odlew", wyszło jak wyszło. On powiedział, że mnie

zgnoi. Powiedziałam, że ja się pracy nie boję, a jeśli fizycznie będę się czuła źle, to będą musieli mnie odprawić do szpitala i tam też są nasi, którzy nie dadzą mi umrzeć. Bałam się, że ja stamtąd nie wyjdę, dlatego że u niego były podwójne drzwi, obita ceratą, żeby nikt nie podsłuchiwał, ale kto tam miał co słuchać u niego. Dopóki tam byłam, to się trzymałam bardzo dzielnie, ale jak stamtąd wyszłam, to biegłam przez ten kawałek i sobie porykiwałam. A wyszła z boku Wala Sukotnicka, śliczna dziewczyna, kotyczka z najbardziej chorym sercem w szpitalu, miała taką piękną koronę z włosów na głowie. Zobaczyła mnie i powiedziała, że ona wszystko słyszała. Okazuje się, że ten kultuchanek, w którym ona pracowała był kiedyś wartownią, były tam drzwi do gabinetu tego naszego naczelnika niczym nie ochronione i ona więziennym sposobem, kubek przyłożyła i wszystko wysłuchiwała, ale nie wiedziała, kogo to dotyczy. Od razu wszyscy wiedzieli, że ja pójdę na ogólną, że mnie wyrzucą ze szpitalika, powiedziała naszej lekarz, ale zresztą ona wiedziała, jaka ja wróciłam. I poszłam na ogólną. Na drugi, czy na trzeci dzień wyszłam do pracy ogólnej i mnie wszyscy, co wychodzili mówili: z prazdnikom, tak mnie witeli a ja nie wiedziałam o co chodzi. Okazuje się, że ja nie byłam pierwsza i wszyscy o tym wiedzieli, to była publiczna tajemnica. Była taka Sonia Ukrainka, śliczna dziewczyna, wysoka, smukła, też z nią nic nie wyszło temu panu, była Wala, Klara i potem byłam ja i jeśli się ukazałam na ogólnych pracach, to naturalnie nie naczelnikowi z tego nie wyszło. Dlatego mnie witeli z prazdnikom. Potem się okazało, że trafiło na tą Walę i wyszło. Wala została naradzcznikiem, ona poszła bardzo wysoko bo nadriadcznik to głowa nad wszystkimi brygadzystami. Po pewnym czasie okazało się, że Wala leży w szpitalu, Wala jest



żółta, wala ma żółtaczkę. Ale baby mówią, że to wcale nie żółtaczką, tylko ona żyła trychmą, bo jest w ciąży. Nikt tego nie wiedział, ja się dowiedziałam po fakcie. Ja pracowałam w szpitaliku, a ona leżała w ambulatorium. Wszyscy mówili, że jeśli by była normalnie chora, musiałaby leżeć w szpitaliku, a nie w ambulatorium - dlaczego w ambulatorium ona jedna jedyna chora? Było z nią widowanie Ale, bo chcieli ją odprawić do szpitala.

VI/R Teresa

I strona

Ale spóźnili się na pociąg, stąd nie trafiła ona do szpitala, ale wróciła do nas i szczególnie wygnębała się jakoś z tej wielkiej biedy. Przychodziła do baraku - dziewczyny w czasie mojej nieobecności zadawały jej pytania - i ona jakąś część winy swalała na mnie. Dziewczyny, które mnie znały, oburzyły się i była awantura, w końcu powiedziano mi, że wala obezwala mnie tak i tak, zresztą w okrutny sposób, ja się okropnie na nią obraziłam. Naturalnie zdjęto ją z nariadczika, poszła na ogólne i pewnego dnia trafiła do szpitala z fatalnym stanem kręgosłupa - drzewo padając uderzyło gałęzią w nią - przyniesiono ją na noszach, jeszcze nie wiadomo, w jakim ona jest stanie, ale już leży w naszym szpitaliku. I ja, głupia wrona - zawsze było mi brak pokory - obrażona śmiertelnie na nią, wcale nie miałam zamiaru tam wejść. Musiałam to zrobić, ale ciągle krążyłam w pierwszej pałacie /pokoju/, bo były dwa pokoje i moja lekarz, Beata Jurelska, którą tak wspominałam, która jest dla mnie wspaniałym człowiekiem - ona to zauważyła, doniosła się, nigdy nie rozmawiałam z nią na ten temat, ale prawdopodobnie Zosiówna albo ciocia Hanna powiedziały o tych przykrościach, które mnie spotkały i kazała mnie do siebie. Kazała usiąść i opo-

wiedziała, że jej cała rodzina została wyniszczona przez Niemców - wszyscy byli w Mińsku - została tylko mama i czy ja widzę w jej postępowaniu jakąś różnicę między traktowaniem chorych wszystkich innych i tych trzech Niemek, które tu są. Ja mówię, że widzę, że to wszystko jest na korzyść Niemek, że inni swoją paczkę karmi te Niemki. A ona mówi: moja droga, świat jest okropny, warunki stwarzają takie niewiasty wśród ludzi - ona widocznie zagałęwała się w swoich bułkach, tatkach i w taki sposób to powiedziała - ty nosisz biały fartuch i to zobowiązuje, musisz pójść do niej i jej pomóc w jedzeniu, trzeba ją unieść, bo na razie nie wolno jej ruszać. Ta pani doktor to są te wszystkie naderżnięcia, łopato-logicznie mi to wszystko włożyła do głowy. Poszłam, uciekałam, nakarmiłam ją no lęko, a ona leżała i płakała. Potem, po malutku wracała do zdrowia - a leżała dwa miesiące - i przyszła mnie przeprosić, powiedziałam, że ja nie pamiętam, że to nieważne, że niech się tym nie przejmuję, bo znowu płakała. Ale ona zrobiła jeszcze lepiej, to ona zrobiła to publicznie w baraku, powiedziała, że mnie przeprasza. Ale znowu mówię, ile ja dyskwalifikowałam przez to, że miałam wśród swojego otoczenia takich ludzi, jak Basia Jowskiejówna, która nie tylko mnie, ale przecież i wali pomagała, bo coś tam dobrego się w niej ruszyło. Dlatego ciągle mówię, że ja mam szczęście w niebezpieczeństwie - kłamstwo to nie prawdziwe. Z Włazą, to już był prawie koniec mojego wyroku, to było w obozie. Ja ciągle skaczę, w Specjagrze najpierw byłam na obszeziach robotach, na 012 - najcięższym obozie kobiecym na trasie tejszeckiej. Okazuje się, że dziewczyny, jeśli miały skierowanie na 012 i jakimś tam cudem o tym wiedziały, robiły sobie maski, fingo-wały różne sztuczne choroby, żeby nie trafić do tego obozu,



to był bardzo ciężki obóz, bo była tam bardzo ciężka praca. Naczelnikiem był kapitan Malarewicz, dla mnie to był wspaniały człowiek, wojak, który wymagał pracy, nigdy nas nie chwalił, ale też nigdy nas nie okazywał, uczył nas roboty, nie znosił donosicieli i był bardzo sprawiedliwy. Dla mnie taki naczelnik to było coś. On starał się nam zabezpieczyć dobre walizki, dobre buty, dobrą bieliznę, wąską nam sprowadził - kalesony i podkoszulki. np. przyszedł, trafił akurat na Hafijkę i mówi, powiedz mi, jak ty się ubierasz do pracy, wszystko po kolei - jesteś naga i zaczynasz się ubierać. Hafijka stanęła, zaczęła się śmiać, bo przecież za nic w świecie nie powie przy naczelniku majtki. Ale nawinęła się Roma, Polka z Grandioch, fantastyczna dziewczyna, malarzka kropa, ale jakież to było dziecinne. Ona mówi: zakładam figi - sama sobie uszyłam - zapinane na guziki, żeby trzymały mocne brzuch, wkładam potem kalesony męskie, na to nakładam podkoszulki męskie, potem zakładam skarpety - i skupała się za buzi, bo skarpet nie można mieć tyle lat, czyli ona odprawa państwowy koc /nazwonne się to nazywa/ i ma druty do zrobienia za które się siedziało w karczerze i skąd skarpety - potem nakładam bluzkę, potem kufajkę i onuce. A on mówi: a pokaż jak zakładasz te onuce? Zobaczył i mówi - o nie, 5 lat chodźcie, onuce trzeba zwinąć i pokazać jak - więc dla mnie to już jest wielka sprawa. On np. przyszedł dzielang, tam, gdzie się pracowało i dziewczyny pchały kłose na składowisko, na birtę, a przecież to coraz wyżej i wyżej, a taki kłose mierzy sześć i pół metra a waży dwie tony - dziewczyna jest dzielna i mała kija /nazywały je karandasy, czyli ołówki/ i to się popycha i trzeba bardzo równomiernie i rozkładać się równocześnie, a więc to wszystko dalało się na konchdy: raz, dwa wzięli, jeszcze raz, jeszcze

co raz - i na to raz wszystkie siły były skupione, żeby ro-  
pchnąć. On tak popatrzył i mówi- dziewczyny, to nie tak się  
robi, zaraz wam pokażę. Ta, która tu stoi po tej stronie jest  
zupełnie niepotrzebna. Wziął siekiery, wgrąbał taki klin, ja-  
ki się podkłada np. pod koło na wozie, to jest taki trójkąt,  
a zrobił to pięknie, raz dwa, koniec jaszczere obemalił na og-  
nisku, żeby nie było śliskie - tam, gdzie jest grubsza część  
oś paia, to ona przydaje zachodzi i ten koniec wystarczy tyl-  
ko podsuwać. I on mówi: teraz wszystkie stańcie tam, a tutaj  
tylko jedna podtrzymuje, podkłada pod ten koniec, a on sam  
idzie - i rzeczywiście! On nas tego nauczył, żadna o tym nie  
pomyślała - ja tam nie pracowałam - był człowiekiem sprawied-  
liwym, nie nie mógł nam pomóc, bo jak? Dostał obóz też za ka-  
rę, bo był kapitanem, przeszedł cały front, był w Berlinie  
i coś to za szczęście jego spotkało, że dali mu kierownictwo  
oboza babackiego na Syberii, był tam milicem, jak każdy z nas.  
Kiedy mogły sobie po pracy do baraku polecieć, miałyśmy swo-  
je dziewczyny, i chciały troszkę pogadać, a on co? Ja na 012  
byłam cztery lata. Jak od czasu do czasu spotykany się z dzie-  
wczynami, to one mnie się pytają, jak ja wytrzymałam, na co  
ja mówię, że wcale nie musiałam wytrzymywać, bo samo szło,  
pracowałam i tyle, pracowałam na różnych pracach, ja nie by-  
łam ciągle na lesopowale. Ja dokładnie nie pamiętam kolejnoś-  
ci, gdzie pracowałam. Początkowo byłam na lesopowale, przez  
jakis okres czasu chodziłam z torbą jako sanitariuszka na wyje-  
ście - już miałam cztery lata poza sobą siedzenia w obozach -  
przez jakiś czas byłam nawet brygadzistką, miałam brygadę ja-  
zeczurki - to było przez zupełny przypadek, miałam też być  
bańszczykiem - ja się czułam szczęśliwa, bo bardzo znaczo-  
na chodziłam na leżownię i ktoś mi pomógł załatwić, miałam  
być pomocnicą kierownika kazi, w piecach palić, nosić wodę,



wydawać, ale to było "chleb z masłem" w porównaniu z tą nie-  
ludzką pracą w tym lasoposale. Ale w pierwszym dniu, rąbiąc  
drzewo wsadziłam koniec siekiery w talonik i w nogę - jeszcze  
mam ślad do dzisiaj - i skończyła się moja praca, bo leżałam  
trochę w szpitalu i już ktoś inny zajął moje miejsce, a to  
było "ciepłe miejsce". Miałam tam przyjaciółkę z Lidy, Ziętę  
Cieszkę, która mieszkała niedaleko Roszar - ja potem znalaz-  
łam jej dom, kiedy byłam w Lidzie, znalazłam jej mamę, sio-  
strę, byłam, rozmawiałam, Zięta została w Bracku, wyszła za  
mąż za Rosjanina, ma już syna dorosłego - i była krawcową, ale  
krawcową z prawdziwego zdarzenia, szyła przeslicanie. W obo-  
zie mieszkał kaliniaszki /tak się to nazywało/, tj. ludzie  
rolni pracujący w obozie. To jest brzydkie skojarzenie, bo  
pay pilnujące domu nazywają się kawarniaszki. W obozie naszym  
i innych używano psów. Nigdy nie było takiego wypadku w naszym  
obozie, ale w innych były, a nas psów nie spuszczano. Z psami  
chodzili konwojenci, z wilczurami, wtedy, kiedy była ta mod-  
litwa: szag w lewo, szag w prawo, schłajet szepelieg, konwo-  
jent przyjmajet arutije szag przedupriekodienija, czyli strze-  
żać bez uprzedzenia. Jeśli więc ktoś się za bardzo wychylał,  
to wypuszczali psy. A wogóle to chodzili pod karabinem i  
jeszcze bagniet był na wierzchu. Naczelnik chodził z pistole-  
tem maszynowym a tamci chodzili jeszcze z bagnietami nasadzo-  
nymi na karabin. A ciągle się tuli - tam zmieniali się żoł-  
nierze ciągle, w obozie pilnowało wojsko endawudowskie, wszys-  
cy w czerwonych otokach. I np. my czekamy na wyprowadzenie,  
stojmy po tej stronie, a ich po tamtej stronie bramy instru-  
uje ich naczelnik, oficer - tłumaczy, w jaki sposób powinni  
wiedzieć służbę i kogo oni pilnują, nam wszystkim włosy "dęba sta-  
wały" jakie to jesteśmy kanaytki i przestępczyni /tłumaczy/.

ze to są takie, przez które ginęły wasze matki i siostry, bracia i ojcowie/. Ja się nie dziwię, że ci młodzi chłopcy, ci żołnierze, jak dostawali ten karabin i musieli nas prowadzić, to się nas śmiertelnie bali, a my bardzo uważaliśmy, żeby nie zrobić żadnego szagu w prawo ani w lewo, bo on ze strachu zastrzeli. Ale potem oni wszyscy się jakoś asymilowali, przyglądali się i widzieli, że jakoś to dziwnie, nikt nie klnie, nikt nie króci się, wszyscy pracują, dziewczyny śpiewają i patrzyli, że coś tu nie pasuje. Kilka razy doznaliśmy takich życzliwych gestów ze strony żołnierzy. Kiedyś tej Romy na trylowce koni z góry zjeżdżając nie miał siły utrzymać kłosa, który na niego napierał, koń upadł i zaczął się dusić w homoncie, a za konia dostawało się dziesięć lat wyroku - i zeskoczył w wyszki /ze swojego stanowiska/ żołnierz, przyleciał i nożem ciachnął to, co trzyma ten homont, uratował konia, uratował Romę, ale nie uratował siebie. W tym czasie, kiedy on zeskoczył do Lony i zaraz wrócił - taki pech - szła ich kontrola i sprawdzali, jak onś pełnił służbę. I za to, że on wyskoczył - a zrobił to odruchowo, jak normalny człowiek - dostał dziesięć dni wachty, czy jakoś inaczej to się nazywa, ukarali go za dobry uczynek. Tego żołnierza nazywaliśmy Ptieniec, on był maleńki, zawsze zisził do środka i się pytał, co wam dziewczyny zaśpiewać, dzisiaj będzie koncert życzeń - i śpiewał - a okropnie fałszował. Żołnierze pilnujący obozu, to byli żołnierze odbywający normalnie służbę wojskową. Byli to żołnierze wojsk Kłwb, ich przygnali tutaj i oni nigdy nie widzieli, kiedy kończą służbę, w każdym razie trzy lata na pewno byli, bo z nami kiedyś była zaiana, która była trzy lata i wszystkich nas znali. Kiedyś był taki wypadek, że żołnierz zastrzelił dziewczynę. Była zmiana żołnierzy i wydarzyło się



to u Malarewicza na 012 na powale. Sosna padając upadła na przesiekę - bo wtedy, kiedy się robi dzielane do obrobienia, tzn. do scinania drzewa, to najpierw się robi przesieki, dwadzieścia pięć metrów szerokie pasy, gdzie najpierw trzeba wypiłować drzewo, jedną dzielaną się robi a drugą się przygotowuje, Zina chodziła na taką robotę i potem musiałam ją zastąpić na gazocsurce i stąd zostałam brygadzystą, chociaż bardzo nie chciałam, ale naczelnik powiedział, że jego to nie nie obchodzi, czy ja chcę, czy nie, on mnie stawia i on mnie zajmie. Cała sprawa polegała na tym, że te wszystkie drzewa są odtoczone na bok, jest pełna widoczność i stawia się takie studzienki, układa się z kłoców tak jak np. z zapalek się buduje i żołnierze muszą stać na tym i widzą cały pas, taki kilometrowy, potem następna studzienka i następna i to jest ustawione w kwadracie i oni się ze sobą porozumiewają. I jak idzie taka kontrola, naczalstwo, to można zauważyć i oni zauważyli, że on zeskoczył i wrócił /to wtedy, jak pomagał Ronie z koniem/. Nam nie wolno było podejść do tej studzienki na siedem kroków. Sosna spadająca, padła na przesiekę, ale spadła samym czubem, samymi gałęziami i przyszedł naczelnik konwoja, czyli ich i powiedział tej dziewczynie, żeby ona to spiłowała /pracowały wtedy dwie/ i te gałęzie wciągnęła na naszą stronę. Wyszły one na przesiekę, chyba metr i jeden z tych żołnierzy zlaźł, przycelował się i strzelił, zabił kuczkę, prześliczną dziewczynę. Od razu jej nie zabił, ona była ranna. Nie pozwolił ją zabrać, powiedział, że zabije każdego, kto wejdzie. Dziewczyny poleciały do kierowców, żeby jechali po naszego naczelnika - to było natychmiast, ale to był kawał drogi, 5-9 kilometrów - przywiózł naczelnika, on chciał wejść, a ten żołnierz powiedział, że go zastrzeli,

bo on nie jest jego naczelnikiem, on jest naczelnikiem obozowym, a ten żołnierz ma swojego oficera - żołnierz NAWB to nie oddawał honorów żołnierzom innych formacji ani oficerom, tak było na czasów Berlina - i on kapitała nie wpuszczał. Dopiero przyjechał jego naczelnik, obezwał go, nasz naczelnik wziął ją na ręce, zanosił ją do samochodu - była jeszcze - przewieźli ją do szpitala, jeszcze była 12 godzin przyjechał do niej wózekowy śledczy i pytał się, jak to było. Opowiadała o tym kobieta lekarz, lejtynant, one bardzo płakały - mnie to życia już nie ubatuje - mówiła ta dziewczyna - zrobił tak, jak wyście kazali, on nie nobie nie wymyślił, tak jego nauczono i tak mu kazano postępować, ja już umieram. U nas istnieje takie prawo, że prośba ludzi umierających jest zawsze spełniona i ona prosi, żeby jej prośba została spełniona, żeby nie karać tego chłopca więzieniem, bo on tylko spełnił swój obowiązek, a to jest wino wszystkich ich a nie tylko jego. I nie mu zrobiono, przeniesiono go tylko do innego obozu, potem on poszedł z matką brygadą do pracy i na placu trzeba było układać takie deseczki i tam jest napis: stoj, strzelaj. I trzeba było ustawić zaprzęzon, tzn. teren straszony, zabroniony - to zawsze stawały dziewczyny, naczelnik konwoja mówi, brygadzie, postawcie, a oni mówią - nie, żadna z dziewcząt się nie ruszy /bo był tam ten, który strzelał/, to wasza sprawa, rozstawcie, a wtedy my wyjdziemy do środka, to jest skroplenie, bo tu jest ten bandyta, który strzelał wtedy, kiedy naczelnik konwoja kazał jej to spłować, on tu siedzi i do mnie strzelił, nie! Zabrali jego i na pewno potem żałowego życia nie miał, bo i konwojenci byli oburzeni na niego, bo to są normalni chłopcy. Opowiem jeszcze jedną historię, kiedy pracowaliśmy na



rychtownce, tj. na regulowaniu linii kolejowej. Najpierw podbojka tj. podbijalam żwir pod podkłady - ja pracowałam na donkracie, tj. na podnośniku. Jest podnośnik i trzeba mocno kręcić i podnosiło się kawałek żwiru razem z podkładami i potem sobie stałam - nie lubiałam szuflowania żwiru, nawet słyszę w uszach, żeby mnie bolały od tego szumu - wolałam popracować ciężko i potem odpoczywać. I ja pracowałam z Klarą. Wyśmy chyba pięć kilometrów robiliśmy. I potem przyczailiśmy się, że był mostek, rzeka i przepiękne czarne porzeczeki, dzikie, wielkie jak wianse. Brygadziśka mówi do tego konwojenta, Azjata to był /głaz uskij, noc płaskij, sawsien nie Ruskij/, mówi do niego - podcharczemy się, tam. pusć dziewczyny na te jagody. Technik kolejowy, ten, który prowadził, to powiedział, że byśmy sobie poszli na te jagody, a jutro popracujemy i podgotujemy - to był Grisza, młody chłopak - tylko pospiewacie, bo on bardzo lubił piosenki więziennicze, których ja bardzo nie lubiałam, bo szczególnie piosenki ukraińskie są bardzo smutne i bardzo piękne, oni szewczenkę uwielbiają i wszystkie ich piosenki są tęskne, za Ojczyzną, o niewoli, o niedoli - i to bardzo źle wpływa na samopoczucie, mnie to bardzo przeszkadzało, już wolałam te ordynarne esastuszki, bo to jest zupełnie coś innego. Siedziły, jemy te porzeczeki, śpiewamy, już łasmy się nam pocharczyliś tą jagodą - i patrzymy jeden z tych konwojentów się zerwał i poleciał, wszędzie jest las dookoła i tory kolejowe. Już nam trzeba iść do domu, a konwojenta nie ma. Maszelnik konwoja, ten Azjata gwiszko, strzela, woła, prosi: Misza, Miszanin - cisza. Nie wiemy, co się stało, może wlaź gdzieś w bagno, bo tam straszne bagno, i się utopił. Ale wyłazi stamtąd - a był taki typowy ruski wania, miał złocisty czub kędzierzawy, który mu zawsze spod czapki wyłaził -

i jest bardzo spłakany. Okazuje się, - on wyłazi i mówi: nie mogę, nie będę tego słuchać, nie będę z wami chodzić, naczelnik, nie będę, ja nie winowat! Rozkleił się zupełnie. Mówi: przyjeżdżam do wsi, żadna dziewczyna nie chce ze mną chodzić, bo mam czerwony otok, a tu wy mi śpiewacie, że po waszych złośliwych kosach ja uszczę! Nigdy nikomu na kosy nie nadęptałem i nie nadępczę! Ja nie winowat, że tu jestem, ja nie chciałem tu, ale mnie posłali i muszę tu być! Myśmy zgąbiały! Naczelnik konwoja - był trochę w durnej sytuacji - mówił mu, żeby się uspokoił, niedługo kończy służbę, pojedzie do domu. Naczelnik to był porządny człowiek, w każdym razie nie miał nieszczęścia z tego powodu żadnych kłopotów. Naturalnie żadna z nas nie powiedziała, że on miał takie wystąpienie, to za takie wystąpienie miałyby lagier na pewno. I nigdy nie wiadomo, jak oni myśleli, czy również tak myśleli jak ten misz? Był taki jeden, który nas kładł do wody - to było na 012-tych. Wtedy chodziliśmy na dziełano daleko, mieliśmy pieskich konwojentów. Naczelnikiem konwoja był człowiek o polskim nazwisku. Idąc drogą przez lasy do tej swojej pracy, przechodziliśmy przez takie miejsca, gdzie był zawsze kałużek mokry, było błoto, woda, bo tam jakieś źródło było i w żaden sposób nie można było tej drogi zmienić - samochody tam jeździły i tak marzekały i myśmy tamtędy chodzili. Chodziliśmy i nigdy nie. Samberski - to nazwisko naczelnika tego konwoja. I kiedyś wracamy z roboty, ręce do tyłu, nas chyba z 500 dziewcząt, wprowadził nas na ten pas i kłóci! Kłóci, krzyczy i my w to błoto i ze swojego automatu nad naszymi głowami zaczął strzelać - dziewczyny się pokrzyły, poleżały, każe wstawać i potem znówu kłóci się. Przecież my wracamy bardzo zmęczone, a tu jeszcze takie utytłane jak świnie - żeby wypruć burezlat, czy



coś innego, to trzeba mieć wodę, to jest ciężka robota, a przecież banię mamy raz na 10 dni i wszystkie mamy ubranie w błocie. I tak się, dzięki przez pierwszy, drugi, trzeci dzień w to błoto nas wprowadza. Ja przychodzę do ~~hahaha~~ tego miejsca a dziewczyny już szu szu, ze sobą gadają, pierwsza piątka, bry gadzistki, same rozjanki, ja jestem w czwartej czy w piątej piątce razem z konką, jest powiedziane, że kładziemy się, ale nie wstajemy dopóty, dopóki nie przyjedzie nasz naczelnik obozu. A zawsze jest tak, że rozkazy oni zawsze wydają do tej pierwszej piątki: pierwsza piątka podnieść! Zawsze na tych pierwszych. I doszliśmy do tego błota i naturalnie: łożić! - pamiętam, że konka kłęba, kłęba za mnie i za siebie, ułożyła się, jak na majówce, twarz oparła na ręce i leży w tym błocie łokciami, ale teraz to już dobra zabawa. On mówi: podnieście, a my nie, cisza, mówi: pierwsza piątka wstać, a tu nie. I strzela - przecież nas nie zabije, bo dostanie wyrok. I zaczęła się zabawa! Wszystko było umówione. Ze środka ktoś krzyknął: naczelnika nam daj! Kto krzychał?, znowu z drugiego końca ktoś krzyczy: naczelnika nam daj! Kto krzychał? A tu cisza. On lata wściekły, a my leżymy w tym błotku upaprane, mokro nam do skóry, ale leżymy. Dojeżdża do nas samochód, w samochodzie dziadzia Grisza i pyta się co to takiego, dlaczego my leżymy - bo on nie może przejechać, a jedzie już na kładunek nocny - mówimy, dziadzia Grisza, przywieź nam tu naczelnika i że nie wstaniemy. Musiał zakręcić na wąskiej drodze i za jakieś 15-20 minut przyjeżdża naczelnik obozu i ich komendant. Naczelnik wyszedł i mówi: dziewczata, podnieść! i myśmy wstały. A on do tamtego naczelnika: a ty będziesz siedział za szafką, czy ty sobie wyobrażasz, że nam ktoś da nowe kurtki, nowe buty, nowe wszystko, przecież my wyrabiamy gosudars-

twierdzący plan /plan państwowy/ - nie broni nas, tylko naszą  
 odzież - to się wszystko zniszczy, a przecież gołe nie pójdą  
 do roboty i ty będziesz za to wszystko odpowiadał, to jest  
 robota sabotażowa, to jest robota na niekorzyść planu, obla-  
 piał go w straszliwy sposób. Przechylił do żony, naczelnik  
 kazał napalić w palni, wziąć nasze burzaki do pralni, do  
 suszarni - i więcej on już z nami nie poszedł. I potem jest  
 zima, mroź straszliwy, 45 stopni, a od 45 stopni my nie po-  
 winniśmy wychodzić do pracy, ale to prawo nie nas chroni, tyl-  
 ko wolnych - to konwojenci nie muszą iść do pracy, a przecież  
 bez konwojentów nas nie wypuszczą. Ale tak było, że plan nie  
 był zrobiony i naczelnik dogadał się z ich dowódcą i nas wy-  
 goniono do roboty. Patrak Samberski maszeruje jako konwojent  
 - dziewczyny mówią: pomóżmy go! Najpierw trzeba siedzieć w  
 kupce, pilnuje nas kilka żołnierzy, oni wszyscy idą i to jest  
 kawał drogi, dopóki są one wszystkie wyłaski - już teraz nie  
 wiążą na górę, tylko stoją tu i czterech dziewczyny /po dwie  
 pary/ rozpalają ogień konwojentom i te dziewczyny, które pra-  
 cują blisko, to podracają tym żołnierzom kawałki drewna, ale  
 to długo trwa. Te strażnicy zaczęli rozpalać w drugą stronę,  
 Samberskiego minęli - on był blisko nas i ciocie Marusi, ale  
 dziewczyny przekazały, żeby bronić nas nie palić już i że  
 nie będą z nami rozmawiać, jeśli mu damy się iść albo kawa-  
 łek drewna. Byłam w sytuacji głupiej, bo on po pół godziny  
 już zamarzał, on nas błagał, dziewczata, ja zamarzam - tego  
 nie można słuchać - on mówi: tyż Polka, ja toż Polak, mówię:  
 milcz i nie przyznawaj się nawet do tego, u nas takich drani  
 nie ma, dali ci wiąz, i tyś od razu zaczął szepać! Za co  
 nas i te wszystkie dziewczyny stały w to błoto? Czy nie wiesz  
 jak my żyjemy i pracujemy, skąd mamy mieć wodę, pranie, su-



szenie i gdzie? A on mówi, że już przysięga, że nigdy w życiu nie takiego nie będzie robił. To godzinie on był siny, wytrzymał dwie godziny, ja mówię trudno, niech dziewczyny sobie mówią, co chcą, ale ja nie chcę mieć człowieka na banie-  
niu, przecież on stoi i trzyma karabin a jest 45 stopni mrozu, my co 10 minut mamy obgrzew /obagrew tj. idziemy do ogniska i ogrzewamy się, chociaż to nie jest znowo/. Jak ja pracowałam na tym mrozie - to się piluje w ogromnym rozmiarze na prostych nogach, czego nauczyłam nas Malarewicz, żebyśmy nie miały kłopotów z kręgosłupem - miała taką skorupę na ciotłogrejce /to ja chodziłam w ciotłogrejce, a burzaczak był dłuższy/ od tego ciepła, które wychodziło ze mnie i ośmiarzo na ciotłogrejce, to był szron, na grabiszcie z tyłu, że nie można było siedzieć. A wogóle to rąbki miały sklejone, a włosy, okazuje się, że mamy bardzo dużo włosów na twarzy, nie wolno robić nasek na twarz, co natychmiast się odmarza, powinno w taki mróz zakrywać się czoko do brwi, pół policzka i podbródek, to był piekielny mróz, taki palący mróz, a powietrze jest nieruchome, nie ma wogóle wiatru, jest cisza. Malinka, z którą pracowałam mówi, że już nie wytrzymała i ja mówię dajay mu to arze-  
wo i rzuć jemu tą swoją siłkierę - to on nie mógł, nie utrzymał tej siłkiery, mówił: dziewczata, ja nie nie zrobię - myślmy mu normalnie rozpaliły ognisko i nie bałyśmy się, że nas zastrzelą, bo normalnie nie mógł trzymać karabinu, trzymał go w ugiętym łokciu. Potem się rozgrzewał, ale ja myślałam, że włosie nogami w to ognisko. Ale już następnym razem nie potoczy dziewczyna, chyba nie. Przez te niesiejące lato było tak różnie, było i wiele zła. Ja byłam sześć lat w specbohosie, ale ostatni lata byłam w Malarewicz, a potem mnie przesłali na przesłuchanie i tam trafiłam, jak myśmy mówili, do wagonu dla nie-

palących tj. do obozu inwalidów. Były dwie robocze brygady, które pracowały tylko na zaopatrzenie Łony, obozu - więc myśmy piliowały wszystkie drzewa, żeby ogrzać wszystkie pomieszczenia, nosiły wodę itd. Druga brygada była remontowa i ciągle remontowała - jak do sanatorium człowiek trafił. Było strasznie dużo babć, takich osiemdziesięcioletnich, straszne to. Co roku było takie sprawdzanie - wyrzucali nas za Łonę i po kolei nas wywoływali i każdy musiał powiedzieć nazwisko, imię, otecziestwo, datę urodzenia, paragraf wg. którego był sądzony, kiedy początek i kiedy koniec wyroku - myśmy to za pamięć znały i każda cenciara jak najszybciej to powiedziała i lecieć do Łony, bo potem miałyśmy cały dzień wolny. Ale była taka babcia, która była głucha i jak ona miała to wszystko powiedzieć, to nam zatrzymywała wszystko. Pytał jej się: babuska za azto siedzisz? Babcia, okazuje się, że zamiast gdzieś tam z wnukami siedzieć, to dostawała 15 czy 20 lat, była w kolchozie i narzekała, że ludzie nie chodzą do cerkwi tylko w niedzielę pracują i takiemu naczelnikowi kolchozu pewnie przekazywała, więc on sam jej coś do tego kosa z kapustą włożył, potem z milicjantem wyjął i posyłził się babci. Najstarszą babcią jaką pamiętam, to miała 66 lat. Dlaczego było nam tam dobrze? Babcie dostawali 750 gramów chleba, ale na dwa razy zjadali tylko raz. I ja jak tutaj przyjechałam z O12, to nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Na takich podnosach /deskach/ leżał chleb, pytam się, co to za chleb - no można jeść, bo one wszystkie już nie chciały. Smiało nie chciało się wierzyć, że ja mogłam dostać pajdę, a 15 kilometrów dalej dzielący "gryzły" te cholerne sosny za większy kawałek chleba, bo jeśli zrobili więcej normy, to dostawały więcej. Ukraińki były okropne, one robiły półtorej normy - zawsze mówiłam im, że



innym robią krzywdę, po to żeby dostać 900 gram chleba, albo 1050 gramów, były pieriadawiki w robocie, ale co to dawało? Ten chleb był niczym w porównaniu do tego, co one traciły, a były takie baby-chłopy, słabe, chude, bez piersi, po pięć lat nie miały menstruacji, czyli już nigdy nie będą matkami, a były takie zacięte, zjadłe. Mężczyźni byli mądrzejsi, nawet normy nie wyrabiali. Ja im tłumaczam, że po co to, że gdyby ktoś na was się wzorował to mogą jeszcze podnieść tą normę. Dziennie trzeba było spiliować 17,5 metra szesciennego drewna na parę, to było mniej więcej dziewięć sosen o przekroju 40 cm. Każda z nas mierzyła, że można było pilować na kawałki: 6,5 -6; 5,5-5; 4,5-4; na mniejsze kawałki już nie można było. Sosny były przepiękne, po czterdziestu parę metrów, stały takie prociuteczkie i na samej górze były tylko igły. Miałymy takie sosny do pilowania, że nam brakowało piły, bo na środku miałyśmy 2 cm. luzu, to tak jakby sobie w tym miejscu żebem próbowały. Takie były sosny, nad tym się trzeba było napracować, bo najpierw się podpiliwuje, potem trzeba podciąć, żeby padały w tą stronę, w którą ja chcę. W tej normie trzeba było popiliować na kawałki, każdy kawałek odkandaczyć, tzn. przewrócić, żeby zobaczyć, czy nie ma sąków i wszystkie sąki odrębać, jeśli są i w lecie sąki okuczyć, tzn. złożyć na kupkę, a w zimie spalić - to należało do naszej dziennej pracy. To nie była łatwa sprawa, to była ciężka praca. Myśmy doszły do takiej wprawy z Halusią, żeśmy do siebie nie mówiły - pamiętam, jak mnie uczył taki dziesiętnik, który dziesięć lat odsiedział, Iwan Iwanowicz, powiedział że poświęci mi jeden dzień i mnie nauczy, ciągle krzyczał, że siedź pile, mówił, że aby spiliować, to trzeba duszę włożyć w pilę i potem doszedłam do takiej wprawy, że jak z Halinką por-

cowaliśmy, to się do siebie nie odzywaliśmy, my całymi to  
wszystko i nam to wszystko szło bardzo dobrze, przede wszyst-  
kim bardzo dobrze nam szła, li piły. Dzielowczy pracowały w  
nocy i myśmy im zostawiały karteczki, one znały nasze piły,  
jeśli była listwiannica czyli modrzew, to trzeba było wązsz  
zrobić kłby, bo modrzew jest bardzo twardy, trzeba było zro-  
bić wązszy szrank. Myśmy czasami też robiły więcej, np. do-  
bra była dzielana, dobrze dziawa nam się układaly i były nie  
takie grube /dzielana to jest kawałek nam dany, bo na parę  
było około 100 metrów, dlatego, żeby jedna drugiej nie zabi-  
jała/. Naszym obowiązkiem było podpiłkować już drzewo wy-  
prostować się i krzyżować: bojała jak trafiło nam się dobrze,  
to robiłyśmy normę i spuszczaliśmy drwa, trzy drzewa i one so-  
bie leżały na jutro. I dochodziły do takiej wprawy, że np. w  
sobotę, to miałyśmy tylko palenie - nikt do nas nie miał pre-  
tensji, przychodził normirowaczka, przyjmowała naszą pracę,  
a myśmy sobie siedziały przy ognisku, albo brałyśmy jakieś  
cerowanie, czy coś. Ale nigdy nie dodawałyśmy to do normy,  
żeby dostać więcej chleba. Starałyśmy się wyrobić 100%, tj.  
17,5 metra i ani grosza więcej. Kiedyś była taka piękna  
zima i dzielowczy nie znależły brygady, tylko z innej robiły  
tak, że z tego co już było zrobione i zapisane, odcinały ta-  
ki talerzyk od tego, co już było zrobione i zapisane /względ  
się pisano/, talerzyk gdzieś chowali i to przyjmowali im  
jeszcze raz i wszystko by było dobrze, gdyby nie to, że gdzieś  
tam w lesie przyjechała komisja z Nowosybirsku. To jest szmat  
drogi. Przyjechali na kontrolę. Spisywali wszystkie liście  
wogóle, wszystkie kłby. To przecież nie trudnego, oni w  
kantorkach mają wszystkie te nasze dokumenty, ile śręty spisto-  
wali, ile przyjęli, ile zostało na składzie. Wszystko było



dobrze, wszystko było policzone i po pewnym czasie przychodzi Zinka, brygadzystka nasza i mówi, że jest chryja okropna. Naczelnik odpowiadający, taki prarab powiedział: no, dziewczyny, nie wiem, czy się jeszcze zobaczymy, prawdopodobnie podzielę wasz los, komisja robiąc remanent stwierdziła, że brakuje 150 czy 200 metrów sześciennych drewna, brakuje - jak brakuje, przecież tu nikt nie ukradnie, a my robimy normę uczciwie, przecież nam przyjmuje nasza dziewczyna. Niemka była, nie darowała nam nic, ni cholery, jak był nieodrabany sęk, nie przyjmowała. Pomalutku, pomalutku, jak przyszedliśmy do baraku, to dziewczyny mówią, że to te tarciełki, że jak był mróz, to one tak robiły, a ten facet, który odpowiadał za to, to był bardzo porządny człowiek i zrobiło się durnie. Usiadłyśmy i zaczęłyśmy myśleć, co by tu zrobić, bo człowieka do więzienia wsadzili za to, że one nie pracowały. Wymyśleć tu można było tylko jedną rzecz - przez jakiś czas musiałybyśmy robić półtorej normy, usiądźcie, obliczcie, tylko po cichu, żeby nikt nie wiedział o tym, a poza tym trzeba powiedzieć naczelnikowi, żeby napisał odwołanie do Nowosybirsk, że zapomnieli o jednym składzie, o jednej birży, dopóki się do nas dostaną, to my już to napiłujemy, tylko nic nie mówić temu naczelnikowi. Ten pomysł, żeby napisać odwołanie, to nie był mój, Zinka jemu poradziła i on napisał odwołanie. A my wszystkie mając buzie zamknięte na kłódkę, pracowałyśmy - nic już nie było na zapas, wszystko szło - przyjmowała Zinka, pomyliła się, przyjęła więcej. Przyjechała komisja, przyjęła więcej niż te 150. I ten naczelnik zupełnie nie mógł tego zrozumieć, birży nowej nie było i co to było i dopiero po jakimś tam czasie on poprosił Zinkę, żeby jemu to wytłumaczyła i ona wtedy powiedziała jemu, że to by-

ła nasza wina, myśmy robiły takie tarciełki centymetrowe i potem, jak żeśmy się dowiedziały o tej historii, to robiłyśmy półtorej normy - on się rozplakał i mówił, to wyście mnie załowały? tego, który stoi tutaj nad wami? Potem było tak, że np. przywozili nam walonki, takie bardzo duże numery, to on jak już dziewczyny sobie powyбираły, resztę zbierał i jechał do męskiego obozu, od nich zabierał te małe i tu przywoził - tu nikt sobie takiego trudu nie zadawał. Malarewicz nam zawsze mówił, że mamy brać takie walonki, żeby mieć luz w bucie, bo będziemy marznąć. Ja tego Malarewicza wspominam bardzo dobrze, zawsze z sercem. A obóz ten miał okropną opinię. Dlaczego myśmy tam przyjechały? Była bardzo przykra sprawa. W tym obozie były różne narodowości. Była w tym obozie Niemka, sympatyczna kobieta, trochę starsza od nas, nie z Niemiec, tylko z Rosji, pracowała Niemka z Ziutką, starszą panią, krawcową, ja przychodziłam do Ziutki a ona przychodziła do frau Maryi i myśmy spotykali się u Ziutki w tej mastierskiej /a Ziutce to ja bardzo wiele zawdzięczam, bo jak dawali robocze ubranie, to największe sukienki brałam i Ziutka z tego mnie szyła piękne kreacje, ja w tym strasznym, szarym materiale obozowym byłam dziewczyną nieobozową, zawsze coś tam wynodziła, ona jak moja siostra, zawsze płakała, że ja chodzę na taką ciężką pracę i kiedy wracałam, to patrzyła, czy nie odmroziłam sobie czegoś, a ja kawałeczka ciała sobie nie odmroziłam/. Sześć lat byłam w łagrze, na lesopowale byłam cztery lata, a przy tej robocie w sumie dwa lata, przez jakiś czas chodziłam z torbą sanitarną, w tym czasie, bo to raz było tak, raz tak. Wyrzucił mnie komendant poprzez konwojenta mnie z tego zraucił, byłam na birży /ładowanie drzewa na samochody i na wagony - nie zginęła przy mnie żadna,



choć praca ta była bardzo niebezpieczna/. Wszystkie nauczyły się tej pracy i pracowały bardzo ciężko. Loszki, to jest takie coś, co się podpiera, po czym toczy się te kłose - taką loszką przycisnęła sobie jedna dziewczyna palec duży, spłaszczyla się na placek - i ja naturalnie odsunęłam ją od roboty, miałam prawo, bo byłam sanitariuszką z sumką /torbą/, nosiłam zawsze torbę na wypadek, gdyby coś się stało. I ja ją zdjęłam. Był kawałek placu przy torach kolejowych /ta birża/ obstawione wszędzie składy drzewa, wszędzie wysoko, na jednym z tych składów stał konwojent, kędzierzawy blondyn, okazało się, że był Tatarem, ale zupełnie nie miał tatarskiej urody, jakiś nowy i się do mnie przyczepiał - dlaczego tą dziewczynę posadziłam i bez przerwy na mnie wrzeszczał - ja obandażowałam jej palec, nie było wody, nic, ja jej obandażowałam, a to straszliwy ból, bo bardzo to unerwione miejsce - a on bez przerwy na mnie, że ona powinna iść do roboty /on się nudził/ czepiał się, jak ja od niej odeszłam, to wyganiał ją do roboty, ona nie wiedziała, co ma robić, ale ja kazałam jej siedzieć, a jemu nie wtrącać się i powiedziałam, że do tego, co się dzieje w środku na się on nie wtrącać, jego obowiązkiem jest pilnować nas. Nigdy nie kłęłam. Ja byłam w niebieskiej bluzce - babcia przysłała mi niebieską flanelę i uszyli mi niebieską bluzkę i ja byłam znaczna. Po pracy wróciliśmy do Zony, przychodzi dniewalna, taka kulawa dziewczyna od naczelnika i mówi, że mnie wzywa prarab. Poszłam. On mówi: wy dzisiaj byliście na birży? Ja. Wy w gałuboj koftoczce? Ja. Jutro wychodzicie na poważ, w takiej i takiej brygadzie. Nie pytam się za co, dlaczego, charaszo, spasibo, odwróciłam się i poszłam. Myślę sobie, że ten konwojent naskarżył na mnie i to dlatego. Trudno, idę na poważ. Pracowałam chyba trzy miesiące, a

tam, jak przywozili obiad, to bili w szynę i my idziemy i powalone są drzewa i fatalnie się idzie, bo musimy tak przełazić i konwojent krzyczy: dziewczata, idicie siuda!, żeby iść jego ścieżką, ja się oglądam a to jest "mój chrześniak", dzięki któremu ja tu jestem i on mówi do mnie, padażditie, to wy byliście tą z sumką? Ja. Wy na pewno myślicie, że to ja się poskarżyłem, ale czesne słowo, że to nie ja. Nas przesłuchiwał sierżant, który przyszedł na inspekcję i on dostał wuchwachy, szorował całe koszary, siedział na ścisłym a mnie zrzucili z tego /sierżant ten słyszał całą naszą rozmowę/. Mnie jest głupio, nie miejcie do mnie żalu, ja naprawdę się nie poskarżyłem - mówię, wierzę ci, że i tobie lżej. Więc są i takie historie. Pracowałam na lesopowale, miałam pierwszą kategorię zdrowia, najwyższą i kontrolowano nas raz w roku. Jak to wyglądało? Przyjeżdżali pagoniasci, z białymi pagonami, niby-lekarze, przychodziliśmy z pracy, kazali nam się rozbierać do naga i przechodziliśmy rzędem, odwracali nas i przejeżdżali ręką po plecach, czy kości bardzo nam sterczą, brali za pośladek, jak krowę, jak było i w zależności od tego, jak byliśmy umięśnione ustalali nam kategorię. To było bardzo upokarzające. Przyszliśmy raz z lasu, późno, ja byłam wtedy na powale i każą nam natychmiast iść, bo są lekarze i iść na kontrolę. Przychádziny i o dziwo, siedzą lekarze, którzy badają - jest to rok 1950, może 1951 - ja stoję któraś tam w kolejce i lekarz spojrzał raz na mnie, potem znowu spojrzał, a ja nie miałam lusterka i nie wiedziałam, co on tak patrzy. Podeszedł do mnie i palcem wcisnął mi czoło - okazało się, że od tego stania twarzą do dołu ja byłam spuchnięta, ale to nie było związane z tym, że ja byłam twarzą do dołu, tylko z pracą serca i on mnie odsunął, kazał mi wyjść stamtąd, zbadał



mnie, siedział prarab, taki nasz naczelnik od roboty i powiedział, że jutro ona nie może wyjść na poważ - ja chodziłam na te komisje lekarskie w czarnych majtkach, jeszcze domowych i ani razu nikt mi nie zwrócił uwagi, żebym je zdjęła. Tutaj byłam toples, ale tutaj nic nie było. Nasz naczelnik mówi, że po tej komisowce będą przesiewania w brygadach. I pamiętam, że nazajutrz wyszedł i mnie dziesiętnik, bardzo dobry człowiek kazał mi zaznaczać drzewa - robiłam bardzo piękną robotę - wybierałam nasienniki, tj. drzewa, które nie wypikowywano i one służyły jako rozsada, nasiona od szyszek rozlatywały się i tajga się sama rozsiewała, bo tam nic się nie sadziło. Były to takie grupy drzew, które się zostawiało, były to trzy, cztery drzewa młode, razem rosnące i to była bardzo przyjemna robota, bo ratowało się drzewo, a oni pikowali barbarzyńsko. Wybierałam średnie drzewa - przecież drzew się nie pikuje w lecie, tylko na zimę, to była straszna męka wypilować takie drzewo, jeśli ktoś miał jakieś znajomości, czy ukradł w narzędziowni trochę nafty, żeby smarować, bo to szła żywa smoła i piły nie można było wyciągnąć. Ratunek był taki, że dziewczyny siusiały na pilę. Pracowałyśmy na lesopowale okrągły rok. Zbierano także żywicę, ale nie u nas, ja widziałam jak to wygląda, tutaj do doku było dostarczane drzewo na budowę, myśmy nawet nie wiedziały na co. Na doku, na maszynach pracowały brygady męskie, oni powinni zająć się pikowaniem a myśmy powinny na maszynach pracować, na pewno byśmy się nauczyły. Oni nigdy nie wyrabiali normy, a nas nazywali "osły dardanelskie". Po tym, jak lekarz mnie zbadał, dostałam drugą kategorię i nie mogłam już chodzić na lesopowal i pracowałam jakiś czas jako drwakoż, tzn. byłam drwalem z Łotyszką, bardzo fajną panią, pra-

cowaliśmy w roboczej Zonie, nam przywozili cały samochód drzewa, myśmy je rąbali na kawałki i wózkiem, taką dwukółką rozwoziliśmy do szpitalika, do ambulatorium, do kuchni, do chłipitiłki, do chlebośeski i wszystkich baraków. To była bardzo ciężka praca, ale nie miałam 9 kilometrów do przejścia z rękami do tyłu tam i z powrotem, tylko przechodziłam przez wartownię z Zony, w której mieszkaliśmy do roboczej Zony. W tej roboczej Zonie była koniusznia, tzn. miejsce, gdzie konie stały, była piekarnia, jakiś kąt techniczny, gdzie dziewczyny ostrzyły piły, siekiery, bo one pracowały w nocy i były gazoczurka, tj. takie miejsce, gdzie składało się paliwo dla samochodów, tzw. gazgenerator - piłowały brzozę na takie kawałki trójkątne i były dwa pojemniki i samochody jeździły na holecgaz. Dziewczyny miały bardzo dużą tą normę i wszystko to piłowała druga kategoria, wszystko to było robione w Zonie. Najpierw byłam drawakołem, potem piłowałam gazoczurkę i była ze mną taka starsza kobieta, ciocia Marusia, dobrze się nam piłowało, bo miałyśmy wprawę po lesopowale, ale okropnie trudno nam było w zimie zdjąć korę brzozową, bo pod tą pierwszą błonką brzozową /po ściągnięciu pierwszej warstwy kory/, ta błonka brzozowa jest bardzo szkodliwa, ona daje smołę i zamyka generatory w samochodach i trzeba było to oczyścić do "żywego mięsa" i to była bardzo ciężka sprawa. Myśmy miały małe siekierki i do szkurowania takie nośniki, ale w zimie ta kora była przymarznięta. Wychodziłyśmy do pracy to było ciemno i wracałyśmy to było ciemno. Rozpalałyśmy sobie ognisko, żeby nam było cieplej i widniej - miałyśmy te swoje stanki, tzn. takie kozły do piłowania tych kłoców, bo to się piłowało takie talerze, a potem rąbało się na paseczki, potem na trójkąty i wrzucało się do takiej skrzyni a nor-



ma dzienna to było 2,5 czy 3 skrzynie. Dziewczyny, które pracowały w nocy suszyły ją w suszarni w szalonej temperaturze w suszarni. I kiedyś siedząc z ciocią Marusią wzięłam takie trzy kłose i postawiłam w ognisku, żeby mi było jaśniej i cieplej i kora ogniem obeszła i ja patrzę, wzięłam to polano, jak się ta kora opaliła, a ta skóra pięknie odchodzi jak wzięłam siekierką. To było coś takiego, jak by mnie dzisiaj ktoś podarował 5 mln. Jak myśmy nie pomyślały wcześniej, widocznie człowiek był taki skołowany - jeżeli ta kora w lecie tak tylko stukniesz i ona sama się odłupuje od drzewa, to narzana w ogniu tak samo, działanie jest identyczne. Narobiłam wrzasku, wołałam wszystkie dziewczyny, bo myśmy dłużyły po kawałeczku a to jest straszliwa praca, nigdy normy nie wyrabialiśmy. Popiłowaliśmy na kłose, zrobiliśmy trzy ogniska takie fest, to się wszystko rozgrzało, opaliło i szybko nam poszło ściąganie kory a pilowanie na te kółka, to już była żadna sprawa. Na obiad chodziliśmy z powrotem do Zony i pewnego dnia przychodzimy i koniuszy mówi, że była tu komisja, każdy miał stanok i te kupki tego drewna. Wzywają nas wieczorem, mnie i ciocię Marusię. Brygadzistka poszła na roznaradkę i nagle nas wzywają do kantory. Przychodzę i się mnie pyta: jak wasza familja? Mówię. Wy pracujecie tutaj przy instrumentalach? Tak. To wy od jutra weźmiecie kartotekę od Ziny, mojej brygadzistki, i wyprowadzicie dziewczyny do roboty. Ja mówię: naczelnik, przecież my mamy brygadzistkę? Wasza brygadzistka jest za dobra, będzie robiła na przysiece, tam dostanie brygadę, bo ona się zna na powale, a wy będziecie to robić. Ja mówię, że nie będę, a ona to, że on tu jest mezelnikiem on mnie tutaj stawia i on mnie zdejmie. Wyszliśmy do roboty, właściwie to nic się nie zmieniło, dopiero dziewczyny

pokazały swoje inicjatywy. Przede wszystkim ja sobie usiadłam i obliczyłam, że za rozładowanie samochodów muszą nam płacić /ja przecież nigdy nie chodziłam do kantoru, bo ja byłam robocziej/, muszą to nam gdzieś wliczyć do jakiejś normy - poszłam do ekonomistki wszystko to jej wytłumaczyłam. Myśmy się tak pięknie ustawiły, że to była praca najlepsza jaka mogła być. Przede wszystkim porozmawialiśmy z kierowcami, oni dostawali gazoczurkę do skrzynki jakąś normę im dawano i jeśli mieli tzw. pieriepał, to im się odejmowało z pensji /co za głupota/ a za oszczędności nic im nie płacono. Myśmy ich musieli załadować i porozmawialiśmy z każdym oddzielnie i ja im mówiłam, np. dziadzia Grisza, ja wam będę dawać tyle, ile wam potrzeba, ale to, co wam zostaje nie wyrzucaj, tylko przywoźcie nam - ile myśmy mieli oszczędności, to się w głowie nie mieści, ja musiałam tylko wszystko przeliczać, żeby potem nie nawalić. Zrobiłam sobie listę, dziewczyny wykonywały 104%, reszta szła na zapas. Mielismy oszczędności - były olbrzymie pnie i samochód nie mógł wtedy podjechać i w przeciągu chyba dwóch tygodni oczyściliśmy pięknie teren, wszystkie karczki pousuwaliśmy, okropna to praca, dziewczyny te karczki popikowały, wszystkie te karczki poszły do piekarni, tutaj wszystko zostało wyrównane, kierowcy tylko podjeżdżali i wyjeżdżali. Była ziemianka na suszenie tego drzewa, ale te dziewczyny, które pracowały w nocy to tam nie wytrzymywały, tam było strasznie gorąco, tam było 80-90 stopni. One ciągle były chore, stale się przeziębiały. Myśmy zrobiły całe ambulatorium, jak naczelnik powiedział, wykopałyśmy kawałek, zrobiłyśmy paleniska, zrobiłyśmy ławę, jedna mogła spać a druga podrzucać do ognia, postawiłam stół, wszystko wymalowałyśmy pięknie na biało, podłogę, beczki z wodą,



stolarka, dziewczyny wszystko umiały zrobić. To co myśmy zrobiły, to zrobiłyśmy sobie, bo tam nikt nie przychodził i nikogo to nie obchodziło, bo normalny robił lesopowal. I naczelnik tu nigdy nie zaglądał, chyba żeby coś się stało, że zabrakłoby gazoczurki, to by wszyscy zbiegli i byłaby awantura.

VII/R Teresa

I strona

A tak nikt do nas nie zaglądał, myśmy były w roboczej Zonie i wszystko, co robiłyśmy, robiłyśmy dla siebie. Myśmy np. tej czurki piłowały więcej, ale nigdy nie pokazywałyśmy i miałyśmy wolny dzień, normalnie nic nie robiłyśmy, w sobotę kompletnie nic, wszystko było tylko wysypane na kupkę. A wogóle brygada była bardzo fajna, bo była bardzo zgrana, nikt o tym nie wiedział. Np. ktoś się źle czuł, nie dali mu zwolnienia, to było na to, że ona przychodziła, siadała lub kładła się na ławie a jej para /bo tam się pracowało parami/ robiła coś innego, albo nic nie robiła. Na to mieliśmy normę drzewną i bardzo dużo dawały nam te zwroty czurki. Dzięki temu zaoszczędzałyśmy jakieś dobre 20% i dzięki temu miałyśmy wolny czas. Tam każda z dziewcząt miała jakieś pomysły. Tam codziennie, dobrowolnie jedna z dziewcząt odpikowywała jedną czurkę dla tych, które zostawały na noc. One tylko przychodziły, rąbały, układały, także w zimie, w mrozie one miały całe drewno przygotowane. Było nas 28 i ja byłam dwudziestą dziewiątą. To wszystko opierało się na koleżeńskości. Myśmy tylko pracowały w dzień i dochodziły jeszcze dwie, które suszyły, ale one w dzień spały, a w nocy pracowały, codziennie. To nie były moje pomysły, ale wszystkich i praca wszystkich dziewczyn, tam mogłyśmy dostać że hej, gdyby ktoś wiedział, jak zorganizowałyśmy sobie pracę. To był taki skład, gdzie się składało mokrą czur-

kę, było przepierzenie, gdzie się sypało suchą czurkę. I w zimie był okropny śnieg i Malarewicz kazał poodrywać deski na łopaty i powstały szczeliny i jak padał deszcz, to moczył suchą czurkę nam, więc dla tych dziewcząt, które suszyły to była drugar robota. Kiedyś porozmawiałam z kierowcą, że jeżdżą do doków i czy nie mógłby poprosić chłopców, żeby nam naładowali garbyłów czyli odpadów /to takie boczki/, to my sobie połatamy te szpary. A on mówi: a ty myślisz, że oni zechcą, przecież mężczyźni, to nie wy, oni jak mają wolny czas, to siadają i się kiwają, a kto im każe naładować wóz garbyli, ja przywiozę, ale ja wam tego nie naładuję /to był wolny człowiek/, chyba, że wiedz? A weźmiecie? Wezmę. I co dziewczyny zrobiły? Ukrainki wyszyły kisiep, taki woreczek na tytoń, przepiękny, z czerwonej i czarnej nitki - pamiętam - krzyżyczkiem, to jak koraliczkami, do tego dostałyśmy tytoń /to też była cała historia i tu nam pomogli/ i napisałyśmy liścik /za to można było dostać wyrok/, że prosimy bardzo, żeby nam pomogli /do nikogo, bo nie wiemy kto nam pomoże/, że mamy takie szpary w składzie, które nam ciągle deszcz zalewa i nasza praca jest podwójna, żeby nam naładowali jeden wóz garbyli i my sobie te dziury pozabijamy. I on to odwiózł. To też było ryzyko, że on chciał to wziąć, bo jemu tego nie wolno było robić. Nie wiem, ile to czasu minęło, dwa, trzy tygodnie, jeszcze nie ma świtu i przychodzi nadieratiel i mnie mówi: brigadir, podnimajsia, przyjechali samochody na zaprawku. Idi, idi, przyjechali na zaprawku i to już. Wiele nie gadając i chcąc nie chcąc - jeszcze dobre dwie i pół godziny do rozpoczęcia pracy - przychodzę i widzę cztery samochody naładowane deskami pierwszej jakości. Pełne samochody! O Matko, mówię, organizuj dziewczyny, tylko szybko!



Ja z powrotem, obudziłam wszystkie dziewczyny, bo to trzeba było szybko i raz dwa wzięłyśmy się do pracy. Myśmy były mokre jak szczury - gdzie te deski schować, tam stoi żołnierz na warcie - za ten ogromny skład /to był taki barak, gdzie były czurki/, deski żeśmy nosiły, mokre jak szczury, bo to przecież ciężkie. Jest podjom, my już jesteśmy na śniadaniu, deski są schowane, jak to naczelnikowi wytłumaczyć, ale jest tylko ta nadzieja, że nigdy nikt do nas nie przychodzi, że nikogo to nie obchodzi. Już w tym dniu nic nie robiłyśmy, żadnej gazuczurki, nie piłowałyśmy, bo przecież miałyśmy zapas. Na drugi dzień wszystkie szpary deskami zabiłyśmy i cały ten barak został obity i zostało nam kupę desek. A przedtem wymyśliłyśmy - z piłowania zostawały nam trociny i był to problem, bo tych trocin było dużo i trzeba było kopać doły i to dół przy dole, bo tego było dużo. A dowiedziałyśmy się zupełnie przez przypadek, że z doku sprowadzają dla naszych koni te wióry do koniuszni, posypywali tymi wiórami podłogę w koniuszni. Zrobiłyśmy dla nich skrzynię z wiórami, przyjeżdżali taczkami i brali je od nas i cicho szła i u nas jest czysto i nie potrzeba już jeździć do doku - ten dziadek, który opiekował się końmi, taki wolny, zadowolony, ale on nikomu nic nie mówi, bo to wszystko dzieje się u nas, na naszym podwórku. Ciocia Marusia, która ze mną pracowała, mówi, że jest tyle kory a ona umie pędzić smołę, tylko jest jej potrzebna beczka żelazna. To my znów do tego dziadka /był jednooki/ mówimy, żeby dał smołę - oni używali smoły do smarowania koła /to był taki dziegieć/ - ciocia Marusia jak fajnie robiła tą smołę. Już mamy całą fabrykę! Nikt się nami nie interesuje, rządźmy się fajnie, pracujemy w miarę, ale nie na siłę, bo przecież mamy te zwroty, więc mamy też czas na

odpoczynek i na to, żeby wszystko porobić ładnie. Pomalowały dziewczyny rogi baraku na brązowo /glinę rozprowadziły i nią malowały/, wszystkie beczki wapnem na biało, wszystko jest elegancko. Jest środek lata, jest gorąco. Przyjeżdża komisja nie nasza, nie naszego obozu tylko jakaś transportowa /samochodowa/ i przyszło dwóch panów i brali nasze czurki na badanie. A jeszcze jak pracowałam jako pracownik, to przyszedł jakiś pan i powiedział, że można dodawać do czurki trochę olchy i można także trochę sosny, tylko ten kawałek bliżej czubka sosny, aby nie od korzeni. A ponieważ sosna jest łatwiejsza i olcha do piłowania, to myśmy z tego korzystały - wiedziałyśmy w jakim procencie, kiedy przyjechała ta komisja, to nas nie było, byłyśmy na obiedzie /oni zawsze tak robili, wtedy, kiedy ludzi niem ma/, obejrzeli sobie to wszystko co tam było i pojechali. Minął chyba znowu z miesiąc i przychodzi dniwalna i mówi, że cała brygada, gazoczurki do kantoru. Naczelnik kazał. Idziemy. Co się stało? Myśmy nigdy nie rozmawiały z żadnymi koleżankami na temat, że ja dzisiaj nie pracowałam, bo nigdzie nie ma tego luzu i myśmy nic nie mówiły. Naczelnik mówi: pasmatritie brygadzysta, to jest takiż dzieciski sąd /bo rzeczywiście dziewczyny są małe, słabe, wątłe/, a teraz coś wam wszystkim przeczytam i wyjmuję pismo i czyta: Do naczelnika obozu z autobazy. Podziękowanie, za bardzo dobrą współpracę, że wreszcie został uporządkowany teren, że zostały wyrwane te pnie, że teraz jest droga, że jest wysokiej jakości gazoczurka, jest dobrze wysuszona. Naczelnikowi błagardność i podziękowanie. Przeczytał to i mówi: a teraz wam powiem, ja tam nigdy nie byłem! Nie mam zielonego pojęcia, jak to wygląda, to podziękowanie należy się wam, brygadzie. Ja tam przyjdę sprawdzić, co to jest - to był taki jego gest /nie



musiał tego robić, wszędzie, w każdym obozie zależało od mę-  
czelnika bardzo wiele, to był Malarowicz/. Podziękował nam  
za pracę i już byliśmy wolni. Na drugi, czy na trzeci dzień,  
byłoby bardzo gorąco, dziewczyny mówią, patrzcie, idzie cała  
grupa ludzi / i naddieraliel, starszy naddieratiel, dyżurny  
i kum - kum to jest śledczy, ten drugi śledczy był okropny,  
był jak lew, miał rudą czuprynę przyprószoną siwizną i wiel-  
ki porowaty nos, był okropny, on mnie chciał posadzić do kar-  
ceru za to, że za blisko go minęłam w Zonie/. Całe to towa-  
rzystwo wali do nas, mówię, żeby nie zwracać na nich uwagi  
i robić swoje, co mamy do zrobienia. Ja wyszłam na przeciwko  
/raport się zdaje podając stan, ile pracuje/, podziękował,  
był zawsze poważny, mówi, żeby pokazać swoje gospodarstwo.  
Obejrzał teren i mówi- a teraz pokażcie mi swoje ambulatorium  
tzn. suszarkę, nie pozwalał nikomu wejść, sam tylko wszedł  
/a tam była wycieraczka z drzewa, żeby nogi wytrzeć/, tam  
jest pokój, popatrzył, nie nie mówi. Dostałam szary papier  
i zrobiłam na nim wykres parami i ile one wyrabiały - to mó-  
wię, jest norma dziewczyn / a tam też jest stolik i taboret/  
Obejrzał wszystko, na zewnątrz chciał zobaczyć, jak praca  
i interesuje go sucha gazoczurka. Podchodzimy do tego bara-  
ku - tam były szpary, a są zabite pięknymi deskami, on wszyst-  
ko widział, on był gospodarz, ale milczy. Pyta się, ile ja  
mam tej gazoczurki - ja mówię według tego co napisałam, ale  
on ma pojęcie, bo się na tym zna, widzi, że powyżej jego gło-  
wy, to może sobie policzyć ile tych kubików. Ale nie. A co to  
za skrzynia? Tu zbieramy trociny. A co wy tam diełajecie -  
mówi do cioci Marusi - a ona dziogiec. Poszedł. Jeszcze po-  
szedł do instrumentałki, kazał wszystkim wyjść. Wszyscy sobie  
poszli, wraca z powrotem i woła mnie do siebie. Idę. A teraz

proszę mi wytłumaczyć, skąd się wzięły te deski za barakiem. Mówię mu, czy tak zawsze wszystkiego musi dociekać, przecież ja mu nie powiem, deski są, są nasze, wszystko jest dobrze. Skąd wy macie drugie tyle gazoczurki? Powiem panu, proszę przyjść do ambulatorium, ja panu pokażę i pokazuję jemu, co mi zwracają, ile im dają. Pokazałam to wszystko naczelnikowi, wszystko mu wytłumaczyłam, skąd ten zapas, że mam możliwości na to, żeby dziewczyny, jak się źle czują, mogły nie pracować i on to wszystko bardzo uważnie słuchał, bez śmiechu i nie było widać na twarzy, co o tym myśli, prowadzę taki uczeb, długo można nic nie robić i samochody będą jeździć, wychodząc powiedział: balszoje wam spasiba i poszedł. I zaraz, za jakieś trzy tygodnie wołają mnie do kantory, mam być gotowa, z wieszczami wyjeżdżam na drugi dzień. Jechałam na przesyłkę, strasznie płakałam, żegnałam się z dziewczynami, najbardziej żał to mi było z Ziótką się rozstać. To był 1952 rok, jeszcze dwa lata miałam do odsiedzenia. Nie tylko mnie wtedy zabierali, ja jeszcze miałam szczęście. Jurek przez 10 lat był w dwunastu miejscach. Naczelnik nie mógł zadziałać, żeby mnie jeszcze przytrzymać. Przyszedł do Ziótki, tam do krawcowej i prosił, żeby poradzić, kto może być brygadzystą na moje miejsce - ja mówię, że jeśli mam być szczerą, to radzę tę Litwinę, która w nocy pracuje, to jest taka dziewczyna z głową. On mówi: nie nie mogę poradzić, to jest sprawa nie nasza, to jest prikaz z Koczmesu, ze śledztwa. Okazuje się - opowiadałam wcześniej o takiej Niemce, ale nie skończyłam, która miała panią Marię, też Krawcową i myśmy się u niej spotykały - ktoś oskarżył ją /to straszliwa historia/, skończyła osiem lat i przed wyjazdem zabrali ją do karceru i z karceru ją wywieźli /w nocy ją zabrali do karceru, to też jest



niezwykle, bo jak ktoś kończy wyrok, to po co do karceru/, potem wyjechało pięć czy sześć brygadzystek i między innymi ta Wala. I przepadły na pół roku. Nic nie wiemy, przecież nie miałyśmy żadnych kontaktów. I teraz wiozą nas trzy: taką Rozę, Niemkę, mnie i panią Katarzynę, Ukrainkę. Przyjeżdżamy na przesылkę w Tajszerce, to jest olbrzymi obóz męski i w tym jest Zona żeńska. Patrzymy, te wszystkie dziewczyny, brygadziatki, które pół roku temu wyjechały z naszego obozu, są tu i ja zrobiłam taki ruch do przodu i Roza mnie zatrzymała, ostrożnie mówi, już ja wiem, co to jest, coś tu jest nie tak. One do nas nie przyszły - przecież normalnie, to by przyszły zapytać się o to, jak tam kto żyje, to przecież były tam koleżanki - żadna do nas nie podeszła, a my nie wiemy, o co chodzi, zupełnie nie wiemy. Ułożyłyśmy się na górnych narach, cały dzień nikt nas nie wołał. Na drugi dzień wołają nas, wsadzają nas do czarnego wrona, wszystkie, i te brygadziatki i my - przyjeżdżamy, w jakimś budynku pakują nas do małego pokoju, jest sierżant w pokoju przy drzwiach i on wyprowadza - wzywają po kolei i żadna nic nie mówi. Najpierw wszystkie tamte sześć, teraz wzywają Rozę, Roza przychodzi i ryczy, nic kompletnie nie mówi, potem zabrali tą panią, na końcu idę ja. Wchodzę do takiego pokoju i patrzę Niemka, która więcej niż pół roku temu poszła na wolność, a ona siedzi. Jak ja wszłam, ona zaczęła płakać, ja do niej, a ona mówi, że dostaje nowy wyrok - wy jesteście moimi świadkami, wy trzy. W sądzie siedzą baby /ich sądy wyglądają tak, że jest to kupa śmiechu/, chyba trzy i dwóch mężczyzn, pytają się, czy ja ją znam? Znam. Skąd? Razem byłyśmy w jednej Zonie, w jednym obozie. Czy wiem o tym, że ona czytała w baraku jakieś antyradzieckie propagandy? Ja już

jestem w obozie tyle lat, ja nie widziałam pisanego słowa. z czego czytała? co za bzdura? A wy byliście w jednym baraku? Nie. W jednej brygadzie? Nie, ale w jednej Zonie tyle lat, my się znamy, to jest jakieś okropne nieporozumienie, jakiś okropny paszkwil. Nic nie odpowiedzieli i kazali wyjść. Podeszłam do niej, mówię, żeby nie płakała, to jest przecież bzdura - ona mówi, że to nie jest bzdura, to jest drugi wyrok, powiedz dziewczynom, jak pojedziesz. Jeszcze powiedziałam na tym sądzie, że u nas nie ma tematów politycznych, u nas się rozmawia najczęściej o tym, co się w domach gotowało i potem człowiek chodzi głodny, opowiada się o sympatiach swoich, kto się kochał, jak się kochał, jeśli były dziewczyny, ale jak miały rodziny, to lepiej tych spraw nie ruszać, bo zaraz był płacz. Powiedzieli, że ona odmawiała pracy, ma co ja powiedziałam, że to też nieprawda, ona miała bardzo bolesną menstruację i miała jęczadko, ale wtedy, gdy dostawała, to tak ją strasznie bolało, że ona ściany drapała, ale nikt jej z tego nie zwalniał i ona szła do pracy i brygadziarka wyrażała zgodę, żeby ona leżała, bo byłby to grzech, żeby ona pracowała, jak tak okropnie cierpiała. Nikt tego nie słuchał. Pożegnałam się z nią, przyszłam i już myśmy wszystkie wiedziały o co chodzi. Tamte sześć musiały wszystkie ją oskarżać, bo ona wyraźnie powiedziała, że my trzy byłyśmy przez nią proszone na świadków. I jest teraz taka historia. Stoimy, jesteśmy wściekłe. Sierżant powiedział, wy sobie jedźcie, a ja poprowadzę te więźniarki - spełniło się moje marzenie - zatrzymaliśmy się przed taką barierą, szlabanem i pani Katarzyna mówi, że by zapaliła, ale nie mam ognia, a Wanka chodziła do naczelnika i prosiła o ogień i on jej nie dał. Tak stoimy, podchodzi ten naczelnik-



nik, pyta: kurić chotitie, pażalujsta, daje nam ognia. On tamtym dziewczynom nie dał ognia, z rozmów wynioskował, że one ją wsadziły, a myśmy były za, też z rozmów to wynioskował i dał nam ognia. Myśmy nic jej nie pomagali. Potem od naczelnika dowiedziałam się, że ona dostała wyrok, dostała znowu osiem lat. Po iluś latach znaleziono w tajdze zakon, który w czasie rewolucji uciekł do tajgi, które same się żywiły, tkwały, siały len, kobiety niezwykle, trudno określić wiek, nie znające ani pieniądza ani nic na świecie - prosto do obozu je przywieziono i jedna z nich ze mną rozmawiała i pytała się skąd ja jestem, mówię, że z Polski i ona się zastanawiała, zastanawiała, mówi, że się kiedyś tego uczyła, mówię: Warszawa, Wisła - a o-na, a wiem, w środku Europy. Tam było miejsc mało, więc skoro je przywieźli, to nas wywożą, inwalidki wywożą. I nas ładują, i te i nas trzy. I my prosimy pompotrudu, żeby nas skierował do naczelnika, że my chcemy wrócić do swojego obozu, do O12 /patrzył na nas jak na wariatki, powiedział, że jesteśmy wariatki, wszyscy uciekają stamtąd, a my chcemy wrócić, powiedział, że jest już późno, że nas odwożą i na tamtym obozie sobie proście/. Wsadzili nas do Zony, potem do pociągu, trafiliśmy do wagonu dla niepalących. Trafiliśmy do obozu inwalidów, kobiety niepracujące i nas pracujące dwie brygady obsługujące Zonę, bez żadnej normy, żadnego planu, tylko obsługujące Zonę. Zawarta była umowa z O12 i myśmy kosiły trawę dla O12, dla naszych koni /ja zawsze mówiłam "naszych", bo zostawiłam tam Ziutę i wszystkich przyjaciół/. Myślę, że odległość między tymi obozami była 15 kilometrów, nie więcej. Jak myśmy przyjechali, to naczelnik się zainteresował, dlaczego my, takie pracowite i w sile wieku dziewczyny jesteśmy tutaj i wzywał nas

po kolei. I ja przychodzę do niego i on mówi: wy tożę brigadir? Tak, gazoczurki. To Malerowiczowi zabrano wszystkich brygadzystów? Nie, nie wszystkich, trochę mu zostało. A dlaczego tu jesteście? Miałymy szczęście - mówię - dlatego, że byłyśmy na sprawę wezwane jako świadkowie. Panie naczelniku, my trzy mamy ogromną prośbę do pana, czy nie mógłby pan nas z powrotem odesłać do Malarewicza? A co wy myślicie, że tu wam będzie źle? Nie, ale tam nam było dobrze, my tam zostawiłyśmy przyjaciół, ja zostawiłam tam prawie siostrę. Wszystko mu mówię tak, jak jest. I nie boicie się Malarewicza? Nie, to bardzo sprawiedliwy człowiek. Poszłam do brygady kosiarzy, chyba po miesiącu jestem wezwana do naczelnika i on mnie mówi: przywiet wam od Ziuty, Malarewicz wam dał i powiedział, że was trzy weźmie do siebie, ale ja jemu was nie oddam. Źle wam tutaj? Nie, wcale nie jest nam źle, jest nawet lepiej, tu jest tyle chleba, a tam dziewczyny zabijają się o kawałek chleba. No to dobrze i pracujcie tutaj. Pracowałam i przyjechał koniuch z 012 zawierać umowę o to siano. A ja miałam od Niemki, pani Marysi, od tej, która szła na wolność, nie od tej, która dostała wyrok, dostałam haleczkę czarną z tiulu - zrobiłam kapelusz z brzozy, z rindem i naciągnęłam tą halkę i pamiętam, że jak wychodziłam kiedyś na robotę /nam dawali nakomarnik, ale to było coś okropnego, z daczki taki worek z białym tiulem na nos i oczy, nie można było oddychać i przez białe bardzo źle widać/ a miałam tą halkę do pasa, bo to luźne, ściągnięte na tym kapeluszu z rindem i jak wychodziłam, to któryś z nich śmiał się, kpił. Trzeba było tam też piłować las, to ja i akurat taka Sonia z powału, myśmy poszli i pokazali, jak trzeba piłować, wszystkim kazałyśmy odejść, my tutaj spijujemy z pnia,



a potem wy będziecie sobie piłować na kawałeczki, bo to chodziło o drzewo. Myśmy napiłowały z pnia, one piłowały na kawałki, ale przyczepił się do nas okropnie naczelnik, że my siedzimy, taki naczelnik konwoja był. taki pies, okropny - ja już się nie odzywałam a ta moja Sonia odzywała się, powiedziała, że nie jego interes, myśmy sobie tak podzieliły pracę, ale on poskarżył naczelnikowi, Sonia dostała reprimendę a poza tym nic. Ja kiedyś tam pracowałam i przynieśli nam jedzenie, siedzę z tą miską - wzięłam ją pod ten nakomarnik, żebyśmy mogła zjeść bez tej muszki w zupie - a przyjechał naczelnik z 012, poznał mnie i mówi: oj brigadir, a wy co tu robicie? I mówi do naczelnika, że to brygadziстка z ambulatorium, bo śmieli się, że na 012 wybudowałyśmy sobie ambulans taki czysty - to był koniuszy z obozu Malarewicza z naszym naczelnikiem pompotrudu. Oni umawiali się o to siano i za to siano 012 zapłaciło naczelnikowi tego obozu, w którym teraz byliśmy. A myśmy kosiły tą trawę. I on mi zrobił okropną robotę, tak mnie napaskudził, Boże! Wróciłyśmy do pracy i wieczorem wzywa mnie naczelnik. Ja jestem nowa i była brygadziстка Katiusza, bardzo fajna dziewczyna, Ukrainka, była tam jeszcze pani Stefa, taka bardzo inteligentna pani, matematyk, ona nam potem obliczenia robiła tej kopy siana, fantastycznie! Widzę, że tak wszyscy na mnie patrzą. Idę do naczelnika a tam siedzi ten koniuszy. Naczelnik mówi: no zawtra, wy woditie brygadoj na sianokos! Ja! Wy! Ja nie znam się na sianokosie.

Wcale ich to nie obchodziło, że się nie znam na sianokosie, naczelnik powiedział, że on jest od tego, żeby decydować, on mnie postawi na brygadzystę i on mnie zdejmie, jak się nie będę nadawać, a ja nie mam nic dogadania. Było mi okropnie głupio - wracałam do baraku z okropnym uczuciem, było mi przykro, bo w tym środowisku byłyśmy nowe, niedawno przyjechałyśmy, a brygadzystka Kasia była bardzo fajną dziewczyną, a ja naprawdę nie znałam się na sianokosie. Poza tym, to jest podejrzana sprawa, to nie jest dobrze widziane przez dziewczyny, jak tegoś tak naczelnik tak raptem naznaczy. Nie przyjechałam do baraku, mówiła Kasi, że mam od niej odebrać kartotekę, że jutro wyprowadzam brygadę na sianokosy - dziewczyny patrzyły mi nie trzymając z półśmieszkami, przykro mi było, ale usprawiedliwiać się nie było już po co, zresztą tam nie było takiego zwyczaju. To moje stanowisko nie było jednoznaczne, dziewczyny mogły to sobie różnie tłumaczyć, różnie się domyślać, np. mogła być taka insynuacja, że ten koniuch z 012, starszy facet, to on mi załatwił to stanowisko, bo powiedział, że ja byłam dobrym brygadzystą i ten naczelnik to wykorzystał, ponieważ Kasię zabierano do remontów. Kasia brygadzystka nie przestawała być brygadzystką, tylko dostawała grupę dziewcząt, które były przygotowywać baraki, żonę i domy poza żoną do zimy. A mnie postawiono na to nieszacujące koszenie trawy, między polami, bo to nie łąkach, w lesie, na polankach. Nic się nie tłumaczyłam na ten temat. Na drugi dzień wyszłyśmy do pracy, dziewczyny usiadły i ja usiadłam również - tam była pani Stefa, Ukrainka bardzo mądra pani - powiedziałam, że wtedy, kiedy będzie uważały za stosowne przystąpić do pracy, to przystąpić, ja nie znam się na tym, was do pracy ustawić nie będę, bo nie mam pojęcia. Pani Stefa powiedziała, że nie wie, czy to dobrze, ale dobrze. I pani Stefa dała hasło. Tepe były kosy, każda miała ośkę do ostrzenia, - kosić to jeszcze było jako tako, ale najgorsze ostrzyć, to nam



zupełnie nie wychodziło. Ja sobie pomyślałam, że trzeba to usprawnić - postawić dwie dziewczyny, które umieją kłapać /to były dwie Słonki/, miały takie babki i one cały dzień miały pracować na klepanie koby - było tych kob trzydzięści parę, to było moje ulepszenie.

## II strona

Nie odzywałam się wogóle, nic im nigdy nie kazałam, dziewczyny się przyglądały i kiedyś pyta się mnie taka Słonka, czy ten stary dziad, co tutaj przyjechał, to czy mój kochanek. Ja się serdecznie zaśmiałam, nie wychrastałam sobie, że coś podobnego można było wymyślić. Połedziałam, że jak już bym wybierała sobie kochanka to trochę lepszego, nie takiego dziadka, wogóle wątpię, czy on może być kochankiem, taki dziadziunio. Chyba po tygodniu, później jakos to się wszystko ułożyło. Były jeszcze trudności z naczelnikiem naszej ochrony, nie przywieźli nam wody i poszłam do naczelnika i mówię, że bardzo gorąco, dziewczyny ciężko pracują i jak to będzie, a on mówi, że dobrze będzie, ja was wszystkie zdejmę z pracy /tak się to nazywa/ i zaprowadzę was do żony. Tak zrobił, myśmy bardzo się z tego cieszyły, bo o dwunastej miały być przywieziona woda, nie przywieźli, wróciłyśmy tam i miałyśmy pół dnia wolnego. Potem administracja pilnowała, żebyśmy miały wodę na czas, bo naczelnik, Azjata był służbistą, uważał, że pracują, nie ma wody, to do domu. Ponalutku się wszystko ułożyło - w obozie, tam gdzie się wszystkie znajdują, to nie da się ukryć, jaki kto jest, tam wszystko widać. Słyszę z opowiadań, że były takie obozy, gdzie było 20 tysięcy ludzi - tam nikt nikogo nie zna. Ale tutaj to przecież był obóz inwalidów i tylko dwie brygady pracujące, nie na normę tylko na obsłużenie żony - jedna brygada była luźna i naczelnik ich zatrudniał przy pracach dyspozycyjnych, bo chodziliłyśmy pracować przy kolei, potem pracowałyśmy przy sianie,

potem znowu przy kolei i naczelnik za to otrzymywał pieniądze z O12. Ja bardzo mało zmieniałam miejsca pobytu. Mogę policzyć, bo wszystko trafia przez przesyłkę - Koczmas, niecały miesiąc tam, Pierga na północy za kołem polarnym, tam byłam pół roku, stąd pojechałam do szpitala i najpierw byłam tam chora, a potem zaczęłam pracować, chyba pracowałam trzy lata, do 1949 roku, już nie pamiętam czy w lutym czy w marcu wywieziono nas do Specobozów, do Ozierłaga, specjalnego zamkniętego obozu karnego na O12 i tam byłam cztery lata, potem na przesyłkę w związku z sądem przywieziono i stamtąd trafiłam do obozu ostatniego, z którego zwolniono już mnie. Do domu, do tzw. domu, bo pojechałam na przesyłkę a nie do domu. Mój mąż w ciągu dziesięciu lat zjeździł 10-15 miejsc., także ja miałam szczęście. To jedną z metod udręki to przenoszenie, żeby się ludzie nie znali, nie zaprzyjaźniali, dezintegracja tych mini społeczeństw. Dzisiaj, być tego nie oddała, ani jednego z tych dni przeżytych tam. Może powinienam od tego zacząć, że każdy, kto będzie to kiedyś czytał, czy słuchał, to żeby się najpierw zastanowił, co to jest 10 lat w jego życiu, w życiu każdego z nas, jaki to jest szmat czasu, niechby pomyślał, co było, jak miał 10 i 20 lat, jak miał 20 i 30 lat - ja miałam 22 i 32 jak się to skończyło. Trafia się do takiego obozu, warunki koszmarne, warunki takie, o jakich się nawet człowiekowi nie śniło, na dalekiej północy, gdzie mróz sięga 50-52 stopnie, baraki podarte wiatrem, zamiast pieca beczka z rurą idącą prosto do nieba, czyli ogrzewane jest tylko tyle, ile przy beczce, a poza tym nie ma czym palić, nie ma na czym spać, bo są gołe deski i ma się spodnie wacłaki i taki burszłat waciak, na spodniach się spało, a burszłatem trzeba było się przykryć, głodno było okropnie jedzenie było straszne, dawano nam lurę brudna woda i parę kamyków kukurydzy, a poza tym ta zupa była gotowana na solonej rybie. Ryba ta nazywała się ambala ale jest to flądra, ale ~~kwasna~~ flądra,



która solona była w butelkach ze skórą i która na dodatek się zepsuła, bo taką nam gotowano plus parę ziaren kukurydzy nigdy nie ugotowanej - tej lury było mało, trzeba było ją pić. W baraku nie było żadnego zwiastia, paliło się takimi kapciłkami, jeżeli ktoś sobie skombinował, tzn. ktoś, kto znał życie obozowe, a żeby poznać życie obozowe, to trzeba było przeżyć chociaż rok i i tak nie poznało się tych wszystkich tajemników. Oprócz tego straszliwe pluskwy, zimno, baliśmy się okropnie tych mężczyzn, którzy w naszym obozie byli i pracowali na ekskewatorze. tj. na czerpaku. I wogóle tam się działy takie różne rzeczy, o których się nikomu nie sniło. Mnie potem został taki lęk, że nie mogłam dopuścić, żeby ktoś ze mną stał. Ciągła wysiadła się o tym, że jest mroź, jest szaro /mroź wygląda jak mgła/, dopóki dojdzie się do bramy, to już człowiek jest zmierznięty, ręce zalepione, wyglądamy jak laluchy mrozy, idzie się do roboty bez nadziei, żadnej nadziei na nic lepszego, wracamy do tej ciemnej, zimnej zony i znowu jutro i pojutrze i perspektywa tych dziesięciu lat. Przecież tak nie można żyć, po prostu nie można. My byliśmy za młode i nasz instykt samozachowawczy podpowiadał, że trzeba się od tego ratować. A jedynym ratunkiem to było zająć się czymś, znaleźć grupę ludzi o wspólnych zainteresowaniach i nie myśleć o tym, co się dzieje wokół. Do końca była ciężka praca, ale im dalej byliśmy, im więcej miało się lat pobytu w obozie, to łatwiej było to wszystko znosić, tzn. łatwiej nam było znosić niedostatek chleba, po prostu przyzwyczajaliśmy się do tej pałdy - poza tym każda z nas nauczyła się pracować, to też jest wielka sprawa, to jest wielka sztuka, ja początkowo jak pracowałam, to miałam odciski na czubkach palców od łopaty, a to że miałam rany od łopaty, to nikogo nie obchodziło, trzeba się było do tego przyzwyczaić. Jak człowiek musi, to zrobi w wszystko. Rosjanie mają bardzo dużo przyszłów na takie okazje i bar-

dzo mądrych, np. goł, na wydunku umm, czyli bieda jest dobrem na różne wyjścia, żeby było mu łatwiej. I każdy starał się tak, żeby było mu łatwiej. Ale były dziewczyny, które nie umiały się przystosować, nawet nie wiem dlaczego, były takie, które z racji swojego charakteru były zamknięte, ciągle były obce, wszystko co się dookoła działo było dla nich obce, to jest straszne. Ślatryje, tzw. bytawiki - one były z nami tylko cztery lata, potem je od nas oddzielili, uważali, że ci bandyci i złodzieje, to jest element, który może wrócić do społeczeństwa, bo w obozie się poprawi natomiast polityczni nie powinni wrócić do społeczeństwa, nieisprawni, niepoprawni, tzw. jego nie da się pierewaspiłać /wychować/. Będąc w tym bardzo narodowym towarzystwie, przyglądałam się, że te narodowe spółnie są bardzo fajne, Litwinki trzymały się bardzo dzielnie i były ze sobą zżyte, Estonki też i były z nami zżyte, z Polkami. Polki tworzyły bardzo pozytywną grupę, nas się nie bało, bo nie było między nami tzw. stukaczek, t.j. donosiolelek, wogóle nie było, nie znamy ani jednej Polki, która byłaby donosicielem lub która skirżyłaby się. Spotykamy się teraz, byliśmy czasem razem, czasem w różnych obozach, słyszeliśmy o sobie, rozmawialiśmy na ten temat i nie było takich przypadków wśród Polek. Dzieczęta nie bały się nas, czasem trzeba było coś przemycić, noż czy nożyczki - noż to każda miała zrobiony z jakiejś blaszki, a za nożyczki to się siedziało w karczerze, nożyczki były tylko u krawcowych, to one ryzykowały, ale czasem były potrzebne. Polek się nie bały, ufały nam, a poza tym wiedziały, że Polki nie są złodziejkami, to też była wielka sprawa. Kiedy bardzo chcieliśmy coś ukraść - były takie możliwości - to nie mogłyśmy, dlatego że ktoś nam wyrobił taką opinię, że Polki nie złodziejki i gdyby któraś z nas ukradła, to by było, że narazicie Polka ukradła, nie byłoby że konkretna dziewczyna, ale Polka. Nas Polek w czasie no-



jego dziesięcioletniego stażu było niewiele. Największe grono Polek, to było moje spotkanie z Rodaczkami na przesylce, jak nas zwano z itesku do Specobozu, wtedy nas było 32, a tak, to nigdy nas nie było więcej jak pięć, siedem, dwie, trzy, wcale nie dużo. Byłaby sama radocha, gdyby nas była batalia Polek, ale niestety! Ja znam bardzo dzielne dziewczyny, a były między nimi najróżniejsze, tzn. jeśli chodzi o wykształcenie, pochodzenie, były dziewczyny ze wsi, z wyższym wykształceniem. Też z wyższym robiły bardzo piękną robotę, np. Aniela Dziewulaka była fantastyką, ona była u nas na 012, pracowała jako stolarz, bardzo była słaba fizycznie, była bardzo ładna, szczupła, wysoka, falujące się włosy, alicane oczy i ona była mocna duchem, bardzo mądra kobieta, zawsze była zrównoważona, cicha, ale wszystko, co mówiła, to była sama dobroć i mądrość - szanuję ją ogromnie, że jest taka, jaka jest. Tym swoim autorytetem ona dużo mogła zdziałać, były różne chwile, dziewczyny się załamwały, czasami było bardzo źle i wtedy potrzebny był ktoś, kto potrafił tak powiedzieć, że człowiek wracał do równowagi - ja przez dłuższy czas też byłam obciążona takimi sprawami, uważali, że ja byłam silniejsza, bo ja byłam zdrowa fizycznie, to zasługa moich przodków, takie mam geny, łatwiej niż wszyscy snosiłam głód. Mówiłam o brudzie, ale brud był z początku, na 012 twierdziłam, że nie było brudu - tam była bardzo ciężka praca, ale nie było brudu, myśmy o to bardzo dbały i nikt nam w tym nie przeszkadzał, myśmy wszystko robiły same, same szorowałyśmy sobie deschy szkieł, robiłyśmy porządek, dbałyśmy, żeby były głowy w porządku, nie wolno nam było się czesać na narach, robiłyśmy sobie przybudówkę i tam zostawiałyśmy swoje brudne buty, a nakładaliśmy kapcie, miałyśmy bardzo kulturalną panią dniewalną - opiekującą się naszym barakiem, Litwinkę, starszą panią, ona bardzo nam pomagała i dbała o nas, o to, żeby

była ciepła woda. My z pracy, bardzo ciężkiej, przychodziliśmy - myliśmy się od stóp do głów, połowa ciężaru wtedy spadała i to jest prawda, że mycie, bez względu na to, czy w zimnej wodzie, nawet lepiej w zimnej, bo to hartuje i dobrze, jakoś potem łatwiej się robi. I teraz, po ciężkiej pracy zaczynało się nasze życie kulturalne. Mialiśmy czas na to, żeby porozmawiać, żeby się po prostu nie dawać. W tym obozie ostatnim pani Ludmiła Michajłowna Lumianska stworzyła nam teatrzyk, gdzie zaangażowała do tego teatrzyku wiele starszych pań jako krawcowe, np. pani Stella Ryter była scenografem, to pani, która pochodziła z rodziny Przybyłko-Potockich, wyszła za mąż za pana Józefa Rytera, który był przyjacielem Mościckiego, był inżynierem i który budował z Mościckim Chorzów. Pan prezydent Mościcki bywał u państwa Ryterów, nie jako pan prezydent, tylko jako pan Mościcki - kolega. Nie poznałam pana Józefa Rytera, korespondowałam z nim, ale to już inne opowiadanie. Pani Stella to była słiczna kobieta i elegancka, nawet w tej sukience obozowej. Była jeszcze pani mecenas, Rosjanka, starsza pani, która powiedziała, że napisała do wnuków, że gra męskie role, miała około siedemdziesięciu lat. Mam taki pamiętnik, w którym wpisała mi się pani Lumianska i wiele innych moich dziewcząt. Ten teatr, to była piękna sprawa, dawał nam zajęcie po pracy - ale inna sprawa, że tu już nie pracowałyśmy na normę, to już było tak, jak wagon dla niepalących. Zawsze mówiłam, mój Boże, jeszcze 15 kilometrów i jest tamten obóz, dla którego kosiłyśmy siano - ja cały czas tęskniłam do O12, bo tam zostawiłam Ziutkę, tę moją przyjaciółkę i te swoje dziewczyny, cztery lata, to jest wielka sprawa, były już przyjaźnie, utworzona своя rodzina, było to łatwiej, zawsze chciałam tam wrócić, niestety, nic z tego nie wyszło, ale i tutaj nie było mi źle, utworzyła się też bardzo sympatyczna rodzina. Ja mam trochę szczęścia do ludzi, mnie tolerują i nigdy nie miałam większych



kłopotów z dziewczynami. Dlaczego nie oddałabym tych dni, żadnego z nich, mimo, że mi ukradziono najpiękniejszy biologicznie okres życia? Może dlatego, że tam było życie bardzo skoncentrowane, to była parodia życia - na to, żebyśmy nie zostały inwalidkami psychicznymi, żebyśmy nie zatraciły swojego "ja", żebyśmy - jak Ziu-  
ta mówiła - umierały stojąc, żebyśmy były jak stał, że kiedyś ta stał się złamie, ale nie zęgie, na tym polegała cała ta sztuka. Kiedyś Aniela się pytała, co było dla nas najtrudniejsze w obozie, pytanie zaskakujące, bo np. dla mnie na pewno nie ciężka praca, bo ja się do tego przyzwyczaiłam, ale upodlenie, poniżenie, to jest trudna rzecz do zniesienia. I same początki w obozie były okropne, warunki były straszne, poniżano nas okropnie i obzywano nas straszliwie, ciągle łączono nas z Niemcami, obzywano nas, że jesteśmy podścilkami niemieckimi, owczarkami - ubliżano nam w okrutny sposób, tylko, na szczęście, rozumialiśmy z tego jedną dziesiątą, a reszta była niezrozumiała, bo nie znaliśmy perfect rodyjskiego. Ale potem, nie przypominam sobie, żeby ktoś mnie obezwał, nie zdarzyło się to. Warunki były straszne, były nieludzkie - mówić ciągle o tym, co było nieludzkie, to można powiedzieć w paru słowach i będzie koniec - i tak dziesięciu lat swojego życia się nie opowie, bo każdy dzień był inny, coś innego przynosił. Pracowałam w różnych brygadach - ja bardzo krótko byłam brigadirką - gdzie wspólnie wymyślałyśmy tak, żeby nam było łatwiej i wcale to nie były rzadkie wypadki. Np. Aniela była przerażona, jak się dowiedziała, że ja na O12 byłam cztery lata, ona była pół roku, potem naczelnik ją odesłał, bo potrzebne mu były dziewczyny mocne, fizycznie silnie - pamiętam, że jak Aniela pracowała jako stolarz, to ja byłam jej pomocnikiem, robiłyśmy domy za Zoną tym wolniaszkom, robiłyśmy im werandy. I jak ja np. mówię o Malarewiczu pozytywnie, to ona jest mocno zdziwiona - ja dzisiaj i wtedy się nad tym zastanawiałam, bo przecież po pra-

cy przychodziliśmy do Zony i byliśmy razem - ja sobie mogłam dobrać swoje towarzystwo i mnie nikt nic nie narzuca, mam swoją grupę, do której lecę, z którymi się rozmawia, np. czasami cały barak gadał - jak dziewczyny zaczynały gotować i opowiadać, a moja mama piekła to, opowiada i następna opowiada, co jej mama piekła i ja np. miałam pełen nos zapachów najróżniejszych w pamięci i byliśmy potem okropnie głodne. Katia zawsze mówiła: baby, przestaniecie gotować, nie gotujcie nic, bo potem wytrzymać nie można. A przecież ci naczelnicy za Zoną, ja nie wiem, jak oni spędzali czas. Ja np. dziś, już z perspektywy czasu przyglądam się temu, patrzę na poziom Malarewicza i jego żony, bardzo sympatyczna, kulturalna pani, i kogo ona tam ma? - rodziny czterech kierowców, reszta koszar żołnierzy, którzy odbywają służbę wojskową, jest jeszcze oficer pompożyt i tyle, oni są skazani tak, jak my, tylko mają prawo pojechać gdzieś tam do Nowosybirsk czy Krasnojarsk, też setki kilometrów, i co? Przewojował całą wojnę, był w Berlinie, wrócił stamtąd, pan kapitan i taką dostał posadę - to jest okropne, dla niego to było zesłanie, ja tak uważam. Potem dowiedzieliśmy się, że on należał do sztabu Żukowa, później przecież Żukowa usunięto, ale z perspektywy czasu, to się robiło wszystko pomalutku. Żukow to był prawdziwy zwycięzca w tej wojnie, to był człowiek, który miał ogromny autorytet, czyli był niebezpieczny dla każdego przywódcy. Najpierw usuwali takich ludzi, wtykali gdzieś w takie obozy, to było okropne dla tych ludzi. Dlaczego uważam, że Malarewicz był w porządku? On nigdy nas nie chwalił, był bardzo sprawiedliwym człowiekiem, nigdy nas nie obzywał, dbał o to, żebyśmy miały wszystko to, co jest nam potrzebne, był wykonawcą rozkazów tej straszliwej maszyny, oczywiście, ale on te rozkazy wypełniał, jak trzeba, uważam, że dołączał do tego dozę człowieczeństwa i twierdząc, że życie obozu zależało od tego, kim był i jakim był naczelnik. Uwa-



żam, że na pewno Malarewicz nie przyczynił się do śmierci jakichś moich koleżanek. Ta straszliwa fama o obozie była taka, że praca tam była bardzo ciężka, ale była dobrze zorganizowana, mówię o le-sopowale, tam innej pracy nie było, tam wszystko było związane z drzewem, jedni piłowali, drudzy trelowali /zwozili/, czyścili, zwozili, ładowali na samochody itd. I to dostarczano do doku, a Anie-li mąż, pan Łoś, pracował w tym czasie w doku. Czy to było sprawiedliwe, że mężczyźni pracowali na maszynach, było im ciepło, pracowali w kabinach, a my? Na powietrzu, w śniegu po pas, wyżej. Mężczyźni byli mniej odporni i poza tym, nie umieli sobie nic zorganizować poza pracą, kobieta jest przyzwyczajona do tego, że ma jakieś domowe obowiązki i myśmy ciągle tam się krzątały, coś robiły /igła była problem, nitka była problemem/, robiłyśmy potem już różne paniąteczki, obdarowywałyśmy się nawzajem drobnymi paniątkami, tworzyłyśmy sobie pseudo życie - to było życie nasze, ale to nie było podobne do normalnego, wszystko zależało od tego, jak te grupy, które żworzyły się automatycznie, jak sobie dawały radę z codziennością, bo to było przecież dziesięć lat. Jest taki wiersz rosyjski, napisała go poetka leningradzka: "Dziesięć liet, w zas-cienkach ciasnych nie prażić, a prastradać, eta znaczyt samych in-tieriesnych dziesięć stranic iz żizni patierać, dziesięć stranic umyszliennoj sjatych, cztoś nie smagłaja ich pra cześć, Skomkanych, nie briežno smiatych, broszonych kak miesć". To bardzo prawdziwy wiersz. Tam były wspaniałe kobiety, takie, które bardzo wiele da-ły innym. To jest Ludwina Michajłowna Lumianska, ona była aktorką, jej mąż był reżyserem, dostali chyba po 25 lat, pochodzili z Sewas-topola. Była też pani Jelena Antonowna Tuczyńska, bardzo mądra, jedna z niewielu osób w świecie pracująca nad starohinduskim językiem - to typowy naukowiec, ona prawdopodobnie nie zauważała, co się zmieniało w rządzie, to był człowiek niepolityczny, absolut-

nie - w 1937 roku mąż inżynier nie wrócił do domu, były wtedy jakieś sprawy Jeżowa, to była "czystka" 1937/38 i potem w czasie wojny, w 1941 czy 1942 aresztowano ją jako członka rodziny wroga narodu /czlen siemii wroga naroda/, siedziała chyba siedem lat, przy mnie się odwobodziła, w każdym razie wezwano ją do Moskwy, z przywróceniem jej wszystkich tytułów itd. Mnie wypadło jej o tym powiedzieć, bo przyszedł telegram, a ja się z panią Heleną przyjaźniłam i nikt nie miał dowagi jej powiedzieć, a ona wtedy leżała w szpitaliku i ja musiałam to powiedzieć. Ja przynosiłam jej tabakę, poszłam do niej do szpitalika i mówię: pokurim? Pokurim.

VIII/R Teresa

I strona

Usiadłyśmy, a ja nie wiem, jak mam zacząć mówić, żeby jej to powiedzieć. Zakreśliłyśmy tą gazetką i zapaliłyśmy, siedzimy, ja się wiercę - ona mówi: słuchaj, ty mi od razu powiedz, z czym ty tu przyszłaś, wal mi od razu, od razu mów, o co chodzi. Zaciągnęłyśmy się dymem i ja mówię: Leno Antonowna, pani jedzie do domu. Ona mówi: Teresa, tak nie wolno żartować - ja nie żartuję - mówię - pani musi już iść do baraku poskładać swoje rzeczy, wieczorem jest pociąg i jedzie pani do domu, do Moskwy. I wtedy zaczęły jej się trząść ręce zdenerwowała się, potem dopiero rozplakała się, rozkładowało się to i dobrze. Ona wogóle ciężko chorowała na wszystkie choroby nerwowe - miała półpaśce, źle widziała itd. wszystko na tle nerwowym. Już potem nic o niej nie wiedziałam, bo nie miałam jej adresu, bardzo żałuję - ona była chodzącą encyklopedią, zawsze wszystko wiedziała, znała mnóstwo języków, ale bardzo była pogodna, była Rosjanką, tzw. czystokrwona, a wyglądała jak Francuzka, taka była drobna z kędzierzawą głową, drobne rysy, drobne rączki, niezwykła pani o wielkiej kulturze bycia i ogromnej wiedzy i bardzo bezpośrednia, ogromnie życzliwa do wszystkich. A Bełka Jewsiejemna,



Zydówka? Wiele takich kobiet było, a ile dziewcząt. Po dziesięciu latach pobytu w obozie kobiety były wyniszczone i zewnętrznie i wewnętrznie, nie wierzę, żeby było inaczej. Czytałam takie opowiadanie, gdzie m.in. i ja się wypowiadałam - że np. przez ileś tam lat nie miałam menstruacji. To nie jest prawda - jeśli ktoś nie ma 5-6 lat, to już nigdy nie będzie miał, to nie wraca. A tak było, że z racji tej ciężkiej pracy dziewczyny przestwały być kobietami. niekiedy w sposób trwały, bezpowrotnie. Przed wojną były takie dziewczyny, które nie wychodziły za mąż i były pannami, nie zaczynały współżycia i kończyły swoje wyroki nie znając mężczyzny i potem trzeba było kogoś niezwykle taktownego, delikatnego, żeby obudzić to, co nigdy nie było rozbudzone - pewnie to też kwestia temperamentu, organizmu, ja nie wiem jak to jest z lekarskiego punktu widzenia, ale to wszystko nie jest tak, to wszystko jest wypaczone. Zrobiono tym dziewczynom w obozie straszliwą krzywdę - takie nie-normalne życie, bo przecież normalnie kobiety 22-23 lata wychodzą za mąż, rodzą dzieci, tak powinno być, a to wszystko było nie-normalnie i na pewno miało wpływ na stan psychiczny i fizyczny kobiet. Bardzo dużo było młodych matek, które pozostawiały swoje dzieci w domu, tęskniły ogromnie - były młode mężatki, które pozostawiały swoich panów w domu - wszystko to były ogromne tragedie. Nigdy w obozie nie było rozmów na ten temat, tzn. nie było rozmów o "łożku". Wszystko, co się mówi o takich sprawach, jak teatrzyk w obozie, bo i taki był, o naszych najróżniejszych rozważaniach, o modlitwach - my Polki, jeśli na-s było parę zawsze spotykałyśmy się na wspólnej modlitwie, dołączały do nas Litwinki, katoliczki innych narodowości - to też była wielka sprawa. Pani Grażyna Lipińska na pamięć znała mszę napisaną przez jej matkę, panią Sokołowską - to była więzienna msza, pamiętam początek, ja to mam: "wychodzimy wszystkie z celi, otrzepujemy ~~szary~~ swoje odzienie, przyglądamy włosy, wy-

chodziny i idziemy polną drogą razem z ludźmi do kościółka wiejskiego. Po drodze jest wszystko, co nam się śni: słońce świeci, jest śpiew ptaków, zieleń ~~drzew~~ trawy, szum drzew"- potem sama msza i tam jest kawałek "Ojcze nasz" - to jest pisane wierszem - "jako i my odpuszczamy naszym winowajcom i czy odpuszczamy? Czy można odpuszczać krwiożercom, mordercom naszych braci, naszych ojców i matek i dzieci" - przecież metody były takie same, tak samo bito dzieci, żeby mówiły, żeby matka widziała, żeby matka mówiła, były różne metody śledztwa. Ta modlitwa kończy się dobrze, tzn. żeby nas Bóg chronił od chęci zemsty, że jeśli wrócimy, żeby nas Bóg ratował od tego, żebyśmy pamiętały, że jesteśmy Polkami, że zemsta nie leży w naszym charakterze, żeby Bóg nas od tego ratował i od podłości strachu. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy spotkałyśmy się, była nas większa grupa i w czasie majowego, w maju poszłyśmy sobie na taką wspólną modlitwę, usiadłyśmy w gromadzie za barakiem i pani Grażyna to mówiła, to na mnie zrobiło to tak ogromne wrażenie, że nie mogłam się potem ruszyć. Pani Grażyna Lipińska też była takim dobrym duchem, była bardzo krótko ze mną na O12, nie wiem, jak ona trafiła razem z panią Borowską, o której już opowiadałam. Wieczorem zbierałyśmy się u Zosi, która opiekowała się Basią Dumnicką - pani Grażyna opowiadała o swoich podróżach zagranicznych - ale o tym też już opowiadałam wcześniej. Pani Grażyna robiła nam jeszcze takie przyjemności, że pisała nam wierszyki, rysowała takie karteczki na życzenie, np. Anieli i gwiazdy /ona jest astronomem z wykształcenia/, ja też tam miałam swój wierszyk, bo miałam taki koszyczek pełen serc, był tam rysunek i sympatyczny wierszyk dla mnie i gdzieś mnie w którejś z tych przeprowadzek zabrano, niestety. Chyba nie opowiadałam o tym, jak u nas w szpitalu pracowała pani doktor, wolna, która zaprosiła nas na operę i to było coś tak cudownego, że ja to mam do dziś w pamięci, byliśmy na



"Damie Pikowej", była wtedy w obozie madame Majsurowa, to była dama, która była wykształcona i wychowana w Instytucie Błagododnych Dziewic, to jakaś wyjątkowa była szkoła dla wysoko urodzonych. Pani Majsurowa, bardzo elegancka i bardzo piękna kobieta miała śliczny głos, trochę alt, trochę mezzosopran, ale szkolony głos i leżała jako chora w szpitalu, a ta nasza lekarz miała sopran i zaprosiła nas na operę - one najpierw się spotykały, chodziły po ścieżkach obozowych i sobie podśpiewywały, okazało się, że to wszystko to było przygotowanie się do tej opery. Wieczorem pani doktor przyszła i powiedziała, dziewczyny, jutro wszystkie jesteście zaproszone do opery na "Dagę Pikową" do Teatru Wielkiego i macie wszystkie przyjść do mnie, do mojego gabinetu. Myśmy się ubrały, pozakręcałyśmy sobie loczki i przyszłyśmy tak, jak do teatru. Ona po prostu nas się zapytała, która z nas była na tej operze, jeśli nie, to ona opowie całe libretto i wszystko, co się tam działo i bardzo sugestywnie ona to wszystko robiła. Każda z nas - przede wszystkim - była w swoim teatrze, jeśli była, jeśli wogóle nie były w Teatrze, /były i. takie/ to były w teatrze "Balszoj" - pani doktor mówiła, jak on wygląda, jak wchodzi, że są tam łóża, siedzą w łóżach, żeby było wygodniej i słyszy się nastawianie instrumentów, słysząc szum, gasną światła i zaczyna się akt pierwszy - ona najpierw mówiła, wszystko, co się dzieje, było coś tak pięknego - ja naprawdę byłam w teatrze, ważniejsze arie to one śpiewały po rosyjsku. Bardzo żałuję, że nie pamiętam jej nazwiska, podobno miała syna w obozie i dlatego przyjechała na Północ pracować. Ona przynosiła ludziom chleb na plecach i ci wolni, którzy ją przepuszczali przez wartownię mówili: pani doktor, co to pani tam przemycza? Ona na to: w nocy wyrósł mi garb, ale mnie nie dotykajcie! Ona nie miała prawa być sprawdzana, a nie wolno jej było przemyczać nic. Pamiętam jeszcze Janinę - już kończyłam wyrok, kiedy przyjechała do naszego obozu, Litwinka, prze

sliczna kobieta, zostawiła męża i dwuletnie dziecko, aresztowana w 1954 roku. Pokazano jej nary, naturalnie na dole, tylko na górze i czesała włosy szczotką, nikogo nie było, a ja nie chciałam jej zwracać uwagi, że u nas się nie czesze będąc na górze, bo nie chciałam na sam początek robić jej przykrości - patrzyłam, że ona ma prawdziwą, włosianą szczotkę, dla mnie to już był muzealny przedmiot, gdzieś tylko w pamięci - ja byłam chora i dlatego byłam sama, barak był pusty. Ona przyszła do mnie i mówiła, że sobie nie wyobraża, jak można żyć w takich warunkach. Ja jej powiedziałam, że to są warunki super, że trafiła do obozu, w którym nie ma normy, trafiłaś tak, jak do sanatorium /ja ciągle mam odskocznie do O12/, tutaj babcie są, które oddają chleb pracującym. Janka nie wyobrażała sobie życia w warunkach obozowych - ja ją doskonale rozumiałam, bo ja też przez to przeszłam, tylko byłam w gorszych warunkach - teraz, po dziewięciu latach pobytu w obozie i warunki w obozie się zmieniły, już były materace, były koce a nie gołe deski. Po trzech dniach kwarantanny poszła z nami do pracy i okazało się że ma przepiękny głos - w tym lesie były takie małe stworzonka, które się nazywają borunduki, takie ziemne wiewióreczki, popielate z ogonkiem różnokolorowym pręgowanym/ciemnobrazowo-popilato-kremowy/, wielkości chomika, zbiera ziarenka i upycha je za szczęki. Te borunduki nawoływują się wysokim, cieniutkim gwizdem - natychmiast ten gwizd podłapała Jasia i jak odpoczywałyśmy, robiłyśmy sobie przerwę na jedzenie, to ona gwizdała i te borunduki z różnych stron biegły do nas, było ich ze trzydzieści, czterdzieści leciały na jej sugestywny gwizd. Ja jej kiedyś mówię: Jasiu, ty musisz się włączyć w życie w baraku, bo to nie takie proste, nie możesz być sama i przyglądać się z boku, trzeba być z ludźmi, to wtedy jest lżej, lepiej, nie będziesz siedziała tyle, ile dostałaś wyroku, już czasy się zmieniają, będzie lepiej. Okazało się, że



po dwóch, czy trzech latach ją wypuszczono, że miałam rację. Ale ja ją bardzo namawiałam na to, żeby ona włączyła się do teatrzyku bo miała przesliczny głos. Ja byłam z nią krótko, bo po prostu pojechałam, bo kończyłam wyrok, ale z zsyłki z Krasnojarska pisałam do obozu do dziewcząt i mówiłam, że opowiadałam Litwinom, których tam spotkałam na zsyłce o Janee, dostałam od niej list, mam ten list - tak się złożyło, że do końca nie odbyła swojego wyroku, nawet nie wiem, skąd to wiem, widocznie ktoś mi napisał, że szczęśliwie pojechała do domu. Nie znała języka polskiego, porozumiewaliśmy się wszystkie po rosyjsku, były dziewczyny, które do końca nie nauczyły się dobrze mówić po rosyjsku, np. Estonki - zawsze mówiły w stylu "Kali chceć jeść". Już wspominałam o tym, że ja nauczyłam się bardzo dobrze języka rosyjskiego, miałam bardzo dobrą nauczycielkę i mówiłam językiem literackim, ale nie tylko mówiłam, ale doskonale znałam gramatykę i pisałam w tym języku. Ja sobie dzielę dwie sprawy zasadnicze: jedna - to są ludzie, a druga - to jest władza. Wszystko złe, co mnie spotkało, było od władzy, wszystko dobro co mnie spotkało, spotkało mnie od ludzi, przecież ja byłam na marginesie życia i poznałam ludzi z marginesu, ludzi niezwykłych, wielkich duchem, prawych, mądrych, kobiety, które powinny być na swoim miejscu, bardzo dużo ich było z wyższym wykształceniem, powinny być wykorzystane wszystkie tych pań zasoby umysłowe. A tymczasem one siedziały w więzieniu. I np. bardzo lubię piosenki rosyjskie, lubię ich tańce - czasami moje dziewczyny mówią: słuchaj, przecież ty od nich dostałaś bardzo w łeb, dlaczego ty mówisz, że tobie się to podoba. Odpowiadam, że ja nie mam w sobie nienawiści. Jak dalej potoczyły się moje losy? Wyszłam z obozu i przywieźli mnie do Krasnojarska do więzienia i byłam w celi trzy doby - poznałam jeszcze jedną ciekawą dziewczynę, która siedziała już chyba dwa tygodnie jako wolna, bo nie chciała jechać tam

gdzie ją kierowali, tylko chciała jechać tam, gdzie był jej mąż. I jak wyjeżdżałam, to ona jeszcze została, ale myślałam, że jej się to udało. Przyjechałam na budowę w Krasnojarsku.

## II strona

W czerwcu 1954 roku, w rok po śmierci Stalina, w okresie panowania Malenkowa przyjechałam do Krasnojarska. Przyprowadzili nas na plac więzienny i powiedzieli: siewodnia budzicie w swaim kałchozie. Kołchoz był przerażający, wszyscy, którzy szli na zsyłkę mówili: niech was Bóg strzeże od kołchozu. Ponieważ nie dawali nam chleba, to wiedzieliśmy, że dzisiaj będziemy na miejscu - my byliśmy przyuczeni, że po ilości chleba mogliśmy określić, ile dni będziemy w drodze. Przyjechała otwarta ciężarówka, mnie się zrobiło było jak, jakiś Azjata ponógł mi wejść na ciężarówkę, byłam przybita ogromnie. Okazało się, że w tej ciężarówce znalazły się dwie panie, z którymi przedtem byłam w obozie, miałyśmy się z 012, ucieszyłyśmy się bardzo, już stworzyłyśmy trójkę - nas wtedy było piętnaście dziewcząt i ilu mężczyzn, to nie wiem. W więzieniu w Krasnojarsku pytano, jaki miałam zawód. Dano nam taki papier do podpisania, że bez zezwolenia milicji dzielnicowej, nie mam prawa się nigdzie ruszać poza miasto i jeżeli mnie złapią bez pozwolenia poza miastem, to będzie się to liczyło jako próba ucieczki i dostaję 25 lat. Jadąc ciężarówką wszyscy się pytali jakiegoś pana, który przyjechał po nas, a czy są Litwini, czy są tam Ukraińcy, czy Łotysze /myśmy takiego pana nazywali: kupił kupiec roboczą siłę/ i ja się pytam: a czy są Polacy? On na to: ja sam jestem Polakiem, przedstawił mi się, pan Stanisław Świdorski, pracował tam w administracji, pochodził ze Lwowa, odsiedział osiem lat. Przywieźli nas na peryferie Krasnojarska, ta stacja autobusowa nazywała się Junaty, tj. Junnyje Naturalisty - tam był ogród, gdzie młodzież sobie sadziła różne pożywnośćne owoce i okazuje się, że mamy budować koszary dla wojsk



NKWD, mury już stały jak ja przyjechałam. Nas kobiety umieszczono w kułtuchalkie, tzn. w pomieszczeniu, gdzie pracował kulturalno-oświatowy /niczemu to nie służyło, bo w każdym obozie był taki/. To nie był kącik, cała duża sala - byłam bardzo przybita i ktoś do mnie mówi, przedstawia się: patrzę, to obecny mój mążzonek i Stasio Świderski, uroczy chłopak, który mieszkał u babci Polki, córki zesłańca, która właściwie już po polsku nie umiała mówić, tylko modliła się, miała książeczkę do nabożeństwa po polsku. Przecudna babcia, która opiekowała się Stasiem, jak swoim wnukiem. I ci dwaj /Jurek i Staszek/ przyjechali dwa dni wcześniej i już wiedzieli, co trzeba i zaraz zarządzili - przynieśli mi łóżko, materac, ręcznik, przescieradło i wszystko, co mi się tam należało, także zaopatrzenie, ustawili moje łóżko w kącie, także dopóki się gdzieś ktoś ruszył i pomyślał o zorganizowaniu,, to ja już miałam najlepsze miejsce, w rogu pokoju i blisko okno. Zaprosił nas trzy Jurek na herbatę - pamiętam, że były takie miniaturowe kanapeczki, to co do dzisiaj umie robić, mnie się jeść nie chciało. Wyszłam na podwórko, stanęłam przy murze i stałam. Jurek mówi: proszę pani, może teraz pani iść wszędzie - ja poszłam najpierw naprzód, potem wróciłam, potem poszłam w prawo, szłam, szłam, wróciłam, poszłam w lewo i Jurek powiedział, żebyśmy wszyscy poszli zobaczyć, jak wygląda Jenisej - powiedział mi, że to mi minie, że to Będzie jeszcze parę dni, bo człowiek był uwiązany jak pies, nigdzie ruszyć się nie mógł, a teraz raptem ja mogę pójść i tu i tu. Pamiętam, że na drugi dzień pan Stanisław zaprosił mnie i Halinkę do samochodu, takiej strasznej landary i pojechaliśmy do miasta, on załatwiał jakieś sprawy w mieście i kupił nam kwiatki, małe bukieciki kwiatków - Boże, pierwszy raz ktoś mnie potraktował jak kobietę! Po tylu latach, byłam bardzo wzruszona. Ten pan Stanisław ożenił się z Halinką i przywiózł ją tutaj ze sobą, to była Ukrainka, bar-

dze żadna dziewczyna i nic o nich nie wiem i ciągle się wybieram do tego aktora, jego brata Jana Świderskiego. Ja przy budowie koszar najpierw pracowałam w brygadzie śmieciarzy, potem mnie stamtąd zabrano, z góry przyglądała się nam z Nadią brygada, uważali, że naszej pracy szkoda, bo tak uczciwie pracowałyśmy - nasza praca szła do wspólnego koszyka i tamta brygada śmieciowa /tak ją nazywali/ dostawali po 300-360 rubli. Brygada śmieciowa była do wszystkiego, do malowania, czyszczenia. Po trzech dniach zabrali nas z Nadią do brygady betoniarzy, ja pracowałam jako pomoc murarza, to była bardzo ciężka praca, dlatego że była to praca na wysokości, a ja mam lęk przestrzenny - tam przeba było np. z czwartego piętra po deskach bez zabezpieczenia schodzić na dół, naładować na podnośnik cegły, lecieć znówu na górę, potem zebrać te cegły na taczki i taczka wieźć na miejsce pracy. Było mi bardziej ciężko niż przy lesopowale, przy piłowaniu, byłam straszliwie zmęczona co wieczór, że nie miałam już siły, poza tym taczki z cementem były krzywe, jakoś tak na jeden bok i ja zawsze miałam na lewą rękę ciężiej niż na prawą, a ponieważ to były bardzo ciężkie taczki to pamiętam raz na podnośniku o mało nie wypadłam razem z taczka - złapał mnie Jozas, betoniarz, który pracował w tej brygadzie, powiedział, że nie mam prawa wyciągać na górę sama tych taczek. Każdy z nas przeszedł przez kurs bhp, czyli jak by się coś stało, to ja byłam winna, bo nie przestrzegałam przepisów bhp. Przywiozłam, nie wiem jakim cudem, ze sobą tą książeczkę bhp. Po wymurowaniu środków budowali hale, które potem dzielili na pokoje i po wymurowaniu postawił naczelnik mnie i Saszę, tego mojego brygadzystę na robienie lastrykowych parapetów okiennych, schodów lastrykowych - tam była podwójna klatka schodowa w środku, ten budynek był w kształcie litery P, /cztery klatki schodowe i cztery piętra, bardzo ciężko było/, trzeba było po 150 kilo nosić na parę, on sobie odpuszczał dłuższy koniec /miał ciężiej/ i ja kiedyś się



zbuntowałam. Naczelnikiem tej budowy był major Pietrow, okropny człowiek, bardzo brzydko się wyrażał, kłął przez pół godziny bez powtórzeń, wiedział, że na na budowie byłych więźniów, także pozwałał sobie i kiedyś Estończyk rzucił w niego siekierą z góry, nie trafił na szczęście i przez jakiś czas on zamilkł - najważniejsze, że się nie poskarżył, także zyskał przez to odrobinę naszego serca, a wógóle to mu powiedzieli, że jeśli nie zmieni się, to go ukatrupią, może się trochę przez to zmienił. W stosunku do mnie nie był niegrzeczny. Zbuntowałam się wtedy, gdy nie było windy i wymyslili - nasz brygadziesta wymyślił, że będziemy nosić cement w takich skrzynkach na górę, robiliśmy podesty do klatek schodowych. Ja powiedziałam brygadziście, że nie będę nosić, że strajkuję i powiem o tym naczelnikowi. Siedzę na klatce schodowej, nie robię nic i słyszę, jak pan major maszeruje przez tante sale /tam malują/ i klnie i klnie, malarze malowali takim natryskiem pod ciśnieniem i on ich kłął, że nie tak, idzie w naszym kierunku. Wchodzi naczelnik, mówi: Zdrowsztwujcie, co odpoczywasz? Nie, ja nie pracuję. Jak to nie pracujesz? Po prostu, nie pracuję, nie noszę tego cementu, od rana nie noszę i nie będę nosić. Ma pan córkę? Mam. /już wnuczkę też miał/. Ja też chcę mieć córkę, a jeśli będę tak dźwigać, to jej na pewno mieć nie będę. Ja już przeszłam swoje dźwiganie w obozie przez 10 lat i tutaj, tylko dlatego, że się zepsuła winda, to ja mam jak katożnik nosić to na górę, nie będę nosić, a poza tym chcę panu powiedzieć, że nie będę nosić do szlifowania podestów i parapetów - we dwoje ze Staszkiem dźwigamy taki ciężar, ja kobieta, a on mi trochę odpuszcza, bierze na siebie dłuższy koniec, ale ja nie chcę być eksploatatorem jego siły, to nie jest praca dla kobiety i proszę pomyśleć o tym /bo myśmy zalewali w jednym koncu, a na szlifowanie trzeba było nieść dobre 200 metrów/. Nie powiedział ani słowa, nie wymagał ode mnie pracy, dał

nam dwóch Antończków do dźwigania i przenoszenia ciężkich rzeczy. Także nie było tak źle, że się postawiłam. Potem, jak kończyła się tam praca, ubywało nas, bo coraz mniej ludzi było potrzeba, ja dostałam pismo na rękę, że jestem obrazowana tj. że znam w piśmie, w mowie i czytaniu język rodyjski, to mogę znaleźć sobie taką pracę, niefizyczną. Dostałam sprawkę tzn. zaświadczenie o tym, gdzie pracowałam i ja wogóle przestałam pracować - poszłam na lewiznę, Przedsiębiorstwo zieleni robiło płot w krasnojarsku, tam też miała odbyć się główna parada z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej. Potrzebowali rąk do pracy - pracę tą brali ludzie, którzy pracowali w dzień a tutaj pracowali po południu. Mnie zaangażował do pracy inżynier Rumun, powiedział, że skoro jestem wolna, to mogę przychodzić i robić głowice. Zarabiałam tam wielkie pieniądze. Praca moja polegała na tym, że z formy wyjmowałam głowice. Oni wymyślili płot ala grecki, ze słupczkami, wazami greckimi i między słupami zawieszane były ramy w piękne lotosowe liście z białego marmuru /marmurowa drobina to była z białym cementem, ale to w rance powinno leżeć ze dwa tygodnie, a ponieważ nie było czasu, robili to z dnia na dzień/. Potem, jak wiedźali to wszystko, to ja już na placu w krasnojarsku robiłam różne dolepki, poprawki itd. Tam dowiedziałam się o tym, że chyba pojedziemy do Kraju, że jest sporządzona lista - to było przed rocznicą Rewolucji Październikowej w 1954 roku. Przyjechała do mnie do Krasnojarska moja przyjaciółka Ania, mieszka teraz we Wrocławiu - przedtem przyjechała do nas ze Lwowa jej mama, żeby zobaczyć, jak my żyjemy - płakała przez cały czas, jak tam była, a nam już się zdawało, że jest nam bardzo dobrze. Chciałam jeszcze powiedzieć, że w międzyczasie wyszłam za mąż. W tych koszarach, gdzie pracowałam wybudowali jedno skrzydło i pierwszy pokój naczelnik dał Rosjance, Zoi, która u niego pracowała jako pomoc domowa. Do tego pokoju ona sobie wybrała mnie, Ukrainkę, cio-



cię Katię i Anię Polką, Anię Szymczyk. Miałymy w tym pokoju pierwsze radio - kukuruźnik. Do Zoi przyszedł kiedyś pijany Rosjanin Wałodia, który jej asystował, ale ona nie chciała jego, on był dużo młodszy od niej, ale nie zrezygnował i kiedyś innym razem przyszedł do nas bardzo pijany. Myśmy byli strzeżeni, bo to była budowa wojskowa, więc chodził strażnik z bronią, myśmy się tam wogóle nie zamykali - siedzę, słucham z Uniwersytetu, Zomonosowa z Lenińskich Gor koncertu, gdzie pierwszy raz słyszałam polską piosenkę "Na lewo most, na prawo most", siedziałam i sobie popłakiwałam, a reszta dziewczyn już spała - raptem drzwi się otwierają i wchodzi dwóch młodych ludzi. I ja patrzę a Wałodia wyjmuję nóż z kieszeni i idzie do Zojki, zamachnął się, ja wrzasnęłam na cały głos "Zoja" - my budziłyśmy się natychmiast - Zoja zobaczyła nóż nad sobą, ja widzę jak on tnie jej ręce, jej jest niewygodnie go unieszkodliwić, bo leży, wyleciałam stamtąd i darłam się na korytarzu "ratunku" po polsku, bo zapomniałam, jak to jest po rosyjsku. Pierwszy wyleciał Estończyk - nie wiedziałam, gdzie kto mieszka - potem Wania /bardzo sympatyczny Rosjanin, który zajmował nam miejsce na wspólnej kuchni - była ona na podwórku, z 10 metrów miała/. Krzyczę, że Zoję chcą zarżnąć i wyskoczył Jurek. Okazuje się, że oni wszyscy przylecieli do tego pokoju i nikt nie działał, dopiero Jurek, który był co najmniej o głowę od Wałodi niższy, wykręcił mu łapę do tyłu i tak go boleśnie prowadził, że on szedł na palcach. Aby wejść do naszego pokoju, to trzeba było przejść przez prowizoryczny mostek, bo jeszcze nie było podłogi, a pod spodem były piwnice - na tym mostku on chciał się wyszarpać, ale nie udało mu się. Jurek kazał mu iść do domu i powiedział Wałodi, że jak wytrzeźwieje, to będzie mu wstyd za to, co zrobił. Ja wtedy dostałam normalnej histerii, płakałam, nie chciałam już dłużej tak żyć, już nie mogłam tego wytrzymać i wtedy Jurek mi się oświadczył. Trudno to nazwać oświadczeniem, ale

powiedział mi w ten sposób: ty mi się przyjrzyj, będę się tobą opiekował, ty za Iwana nie wyjdiesz, a ja się z Maszką nie ożenię, i to i tanto i dasz mi jutro odpowiedź. A ja powiedziałam, że odpowiadam ci dziś, dobrze, zgadzam się - nóż był przyczyną tego wszystkiego. Na drugi dzień Jurek poszedł szukać dla nas miejsca, poszedł do chatynki zaraz za naszą budową do Marii Pawłownej, która tam mieszkała z synem, synową i córką. Maria Pawłowna zapytała się, skąd my jesteśmy, powiedzieliśmy, że z budowy, czyli ona wiedziała, że to są byli przestępcy - pokazała pokój, chyba mniejszy niż teraz nasza łazienka, gdzie nie było podłogi i czegoś jeszcze brakowało - Jurek poszedł razem z Jozasem, Litwinem i się okazało, że to wszystko jest do zrobienia, więc zrobili podłogi, odnowili i ja już mogłam sobie wejść do domu. Pojechalismy do Zaksu i rozpisalismy - była jeszcze druga para Hanka i Kazik Apanowiczowie, mieszkają teraz w Kielcach - ona pisała do sióstr, w jaki sposób może być małżeństwo ważne, uznawane przez Kościół, wtedy kiedy nie ma księdza i nie ma kościoła - napisano, że ktoś, kto pamięta taką przysięgę powinien przyjąć takie przyrzeczenie małżeństwa, mniej więcej, w obecności świadków. I myśmy to zrobili, potem ksiądz nam powiedział, że byłoby to ważne, gdyby ciągle nie było takich możliwości wzięcia ślubu w kościele - i ja jak po powrocie przyszedłam zamówić ślub i byłam już rok mężatką

## IX Teresa

## I strona

a ksiądz mówi, że będą nas wyczytywać z ambony, ale że tak musi być, także tu wyszłam po raz drugi za mąż, właściwie to nie wiem, które daty mam świętować, ale żadnych nie świętuję. Zamieszkaliśmy u Marii Pawłownej, fantastycznej kobiety - to na ten temat możnaby książkę napisać. O tej naszej gospodynie, która straciła męża w wojnie fińsko-rosyjskiej, chłopak był mały, córka się dopiero urodziła



i ona pojechała w górę Jeniseju /myśmy mieszkali nad samym Jenisejem/ i spławiła dom na tratwie, którą sama zrobiła, takie są kobiety Kosjanki. Kupiła zrąb, dom gotowy, tylko niewykończony, ona sama go spławiła do brzegu, sąsiedzi tu jej pomogli i wybudowali wspólnie chatę /ja tą chatę potem wybieliłam z zewnątrz i wewnątrz/. Ona niedużą tratwę spławiła 12- 15 kilometrów Jenisiejem. Byłam tam wtedy, kiedy rzeka rusza, wiosną - to jest rzecz niezwykła, normalnie zimą jeżdżą samochody przez tą rzekę, szeroką na półtora kilometra. Maria Pawłowna miała również bardzo życzliwych sąsiadów: dziadzia Pietia i ciocia Marusia, nazwiska nie pamiętam. Oni mieli banię, tzn. saunę - przybudówka z piecem, beczka zimnej wody, kamienie i półki i miotełki brzożowe. Myśmy byli już przyjaciółmi z nimi, ja nosiłam co sobotę w koromysłach wodę, a potem byliśmy zapraszani na parnuju baniu. One mówiły, że wszystkie mycia w wannie, to jest brudzenie się - pod parą to wszystkie pory się otwierają, miotełką umoczoną w zimnej wodzie bije się ciało, a potem się myje i dopiero to jest czyste. Oni to nawet wybiegają po bani na śnieg, ale wcale tak nie potrzeba, wystarczy połać się zimną wodą, ale tam się tylko klepie tą brzożową miotełką, to bardzo piecze, człowiek wychodzi jak rak stamtąd, ale się świetnie czuje - ja tam nigdy żadnych katarów nie miałam. I wychodząc stamtąd zawsze dziadzia Pietia nas zapraszał na braszkę, tj. bimber, chyba na żytniej mące i kapusta kiszona smażona na oleju, ziemniaki z wody. Kapusta kiszona, to były całe głowy kiszone i jadło się liście, zupełnie nie tak jak u nas. Jabłka tam u nich były też w sprzedaży, małe, kupowało się je naszkłanki. Zawsze byliśmy sadzani na głównym miejscu, zawsze uroczyście, bo byliśmy traktowani jako sieroty, z daleka od swoich - oni, choć biedni, ale razem a my tak daleko, ogromnie serdeczni byli to ludzie. Jurek chciał czy nie chciał wypijał szklanekę tej bragy, bo to były różne toasty,

za powrót - Maria Pawłowna też wypijała i potem wracali do domu objęci, bo to zwałało z nóg, siadali z Jurkiem na schodczkach i śpiewali: razkinułoś morie sziroko... Kiedyś w nocy obudziła nas Maria Pawłowna /miała ona radyjko kukuruźnik/, biegniemy w bieliźnie, a to był w Warszawie wtedy festiwal młodzieży i śpiewali po polsku /Ładysz to śpiewał o Warszawie/ i byliśmy bardzo wzruszeni, że ta prosta kobieta, jak tylko usłyszała, że o Warszawie, to pomyślała o nas, żebyśmy posłuchali. Ona sama się nauczyła pisać i pracowała jako sanitariuszka w szpitalu wojskowym i kiedyś dostała 10 deko kiełbasy i przyniosła nas wszystkich poczęstować, bo kiełbasy, to na oczy nie widzieliśmy, dała nam połówkę tej kiełbasy. Pamiętam też, że było takie wydarzenie, że poszłam do sklepu, kupiłam chyba bakłażany /tam nie było co kupować, tylko makaron, bakłażany/, miałam ze sobą 100 rubli, ta w sklepie dała mi reszty i ja przyszedłam do domu - reszty wpakowałam do kieszeni nie patrząc, tak jak i dziś - patrzę a ja mam tyle pieniędzy. Ona mi wydała reszty z 500 rubli, a wtedy pensja wynosiła trzysta z czymś, więc tej dziewczynie tyle będzie w kasie brakować. Odłożyłam swoje reszty a pozostałe pieniądze zabrałam i poszłam do sklepu. Przychodzę, siedzi w sklepie kierowniczka i dwie ekspedientki, w sklepie nikogo nie ma i ja idę tam, gdzie chleb można kupić, a którego dzisiaj już nie ma - ja nie mogę z nią szeptać, bo to by było podejrzane i nie mogę jej oddać przy kierowniczce tych pieniędzy - ja oglądam makarony, które mi dała, wzięłam za paczkę położyłam te pieniądze i po cichutku jej powiedziałam, że tyle reszty wydała mi za dużo. Zrobiła się ona purpurowa, jak zobaczyła tyle pieniędzy, ja wzięłam te makarony i poszłam. Po kilku dniach podchodzę do niej /w sobotę rano o czwartej babcia Tatarka wyganiała kozy sąsiadów i zajmowała kolejkę po chleb/ i ona mówi, że ciocia ta zostawiła dla mnie kawałek chleba /ta ciocia nic mi nie zostawiła,



ona mi to zostawiła/ - ona tak stoi, że ja widzę, że chce mi coś powiedzieć, więc podchodzę i ona mówi, że dzisiaj o godzinie dwunastej będzie sprzedawana mąka nie tu, tylko w sklepiku obok. A jak ja tam byłam na tzw. wolności to tam nigdy nie było ani maki ani cukru. Ona mi powiedziała to, to pewnie jak by dzisiaj zdradziła mi tajemnicę wojskową. Przyszedłam do domu, wzięłam nawiązkę na poduszkę i idę do cioci Marusi i mówię jej, że idziemy po mąkę, powiedziała, że podsłuchiłam taką rozmowę i wiem. Ciocia Marusia /ta od tani/ nie miała pieniędzy, więc powiedziała, że to nic, bo ja mam. Poszliśmy i byliśmy przed sklepem piętnaście minut wcześniej spacerkiem sobie chodzimy i patrzymy zza zakrętu wyjeżdża ciężarówka z workami a za ciężarówką biegą ludzie - to jest obrazek nie do przeżycia, biegiem pędzą, bo nie wiedzą do jakiego sklepu i gdzie samochód się zatrzyma. Nie wiedzieli, co ten samochód wiezie, ale widzieli, że worki, to było wszystko jedno co, wiadomo było, że coś czego nie ma. Ustawiliśmy się prędko, ja pierwsza, ciocia Marusia za mną, a w ciągu minuty kolejka zrobiła się 500 osób, a potem jeszcze więcej, stanęły zająć kolejkę, bo tam numerowana kolejka, poleciały do domu<sup>po</sup> pieniądze. Sprzedaje ta moja ekspedientka, ja podałam woreczek i powiedziałam, żeby mnie tyle dała, ile można - ona mi dała 25 kilo maki, ja aż achnęłam, tam jest tak, że jak wychodzę, to nie mijam kolejki, wychodzę i takim zauleczkiem idę, ciocia Marusia też dostała 25 kilo i szczęśliwie wróciliśmy do domu. Mamy mąkę. Przychodzi Maria Pawłowna z pracy i mówi, że przegapiłyśmy taką sprawę, że dzisiaj w sklepie dawali po dwa kilogramy maki, a potem po kilogramie tylko. Mówię jej, że nie nie przegapiłyśmy, że mamy mąkę, całe 25 kilo. To była niezwykła kobieta, czasami tak było, że ja miałam 50 kopiejek a ona 40 i mówiła, żeby pożyczyć jej rubla na chleb, ale skoro dogadaliśmy się, że nie mamy to ona mówiła, że będziemy piec pierożki - takie z jej kapusty, Jurek jej

pomagał i były całkiem rodzinne stosunki. W tym czasie dowiedzieliśmy się, że można będzie wracać - kazali nam się zebrać w komendzie milicji, gdzie meldowaliśmy się co miesiąc /ponieważ to meldowanie było związane z daleką dość pojazdką, to sekretarz Sieriożka przyjeżdżał na miejsce i tutaj myśmy się podpisywali/. Powiedziano nam, że możemy całe swoje mienie zabrać, pamiętam, że pakowaliśmy się, a potem Jurek poszedł pomóc panu Świderskiemu i Halince spakować się - ja nie mogłam się ruszać z miejsca, coś się ze mną działo, byłam ciągle pod ogromnym wrażeniem. Marie Pawłownie oddaliśmy wszystko to, co mieliśmy i naturalnie tą nęką. Ona w noc przed naszym wyjazdem piekła dla nas bułki z olejem, takie jak nasze maślane - upiekła całą nawleczkę na poduszkę napiekła, mówiła, że jedziemy dziewięć tysięcy kilometrów, a ona nie wie, czy nam dadzą jeść po drodze. Nadszedł dzień pożegnania, kazali nam siedzieć, że przyjedzie samochód. I przyszła ciocia Marusia, chusteczkę świętą na głowę założyła, dziadzia Pietia, kierowca nie poszedł do pracy - przyszli się z nami pożegnać. Tam jest taki zwyczaj, że na szczęśliwą drogę trzeba usiąść - wszyscy siadamy, samochód trąbi, Maria Pawłowna dała nam chleba i soli na drogę i ~~pajsmakaliśmy~~ ~~popłakaliśmy~~ popłakaliśmy się, Maria Pawłowna mówiła, że żegna nas jak własne dzieci, że się cieszy, że jedziemy do domu. I tak straciliśmy drugą rodzinę - byliśmy z nimi niedługo w porównaniu z naszym wyrokiem, ale to byli tacy niezwykli ludzie. Tam wszędzie są tacy. Hm. tam strasznie dużo piją i na wiośnię, albo w lecie wychodziliśmy z Jurkiem na spacer, tam były sliczne brzozone lasy - idziemy i idzie takie podchmielone towarzystwo, to nas okrąteją i namawiają, żeby z nimi iść, my nie mamy pojęcia, kto to jest, a oni i jeść nam dadzą i pić nam dadzą - my nie chodziliśmy, ale można było. I stąd nie ma we mnie nienawisci - ludzie miejscowi przyzwyczajeni są do takich ludzi



jak my, mam na myśli, że po wyroku, nazywają ich byłymi przestępcami. Myśmy nawet nie mieli żadnych dokumentów, tylko karty z odciskiem palca zamiast fotografii, tzw. wilczy bilet. Pamiętam jeszcze taką historię, którą warto opowiedzieć, żeby bardziej jeszcze pokazać, jacy tam byli ludzie. Dostałam powiadomienie, że przysłała do mnie paczka z zagranicy /przychodzi taka paczka na pocztę główną i nie ma siły jej wykupić, bo jak ja np. zarabiałam tysiąc rubli - bardzo dużo!, a za paczkę cło trzeba było płacić 1300-1500 rubli. Dla mnie przyszła paczka na zwykłą pocztę, czyli bez cła. Idę na pocztę w czasie przerwy obiadowej, jestem w maciaku wymarowana wapnem, w chustce na głowie - dziewczyna w okienku pyta się od kogo oczekuję paczki, ja na to, że nie mam pojęcia. To ona mówi, że ja jestem podejrzana osoba, u nich tak nie ma, ona nie może wydać mi paczki na to pokwitowanie, bo to może być nie moja paczka /okazuje się, że oni tam kombinują, kradną/ i że ona zawoła naczelnice poczty. Naczelnikiem była kobieta, powiedziałam jej to samo, że nie wiem, od kogo może być ta paczka i ona powiedziała, że wobec tego paczkę odesła się do NKWD. I ja jej mówię, że nie przyszedłam po cudzą paczkę tylko po swoją i wobec tego proszę odesłać paczkę na adres nadawcy, żeby wiedzieli, że ja tej paczki nie mogę otrzymać - i poszłam. Zał mnie ogarnął, bo mama mi pisała, że stara się wysłać mi paczkę, ale nie wiedziałam jak to zrobić. Wyszłam, skręciłam w ulicę, słyszę: graǰdaneczka, graǰdaneczka, padazditie, dlaczego tak jest, że pani nic nie wie. Pokazuję jej swój wilczy bilet - ona mówi, że u nich siedemdziesiąt procent ludności Krasnojarska chodzi z takim dokumentem. Na poczekaniu wymyśliłam historię i jej mówię, że mój brat jest na wysokim stanowisku w wojsku, a ja byłam przestępcą politycznym i on nie ma prawa się ze mną kontaktować, ale ja jestem jego siostra i on sam nie może mi przysłać paczki i zawsze szuka kogoś, kto za niego to zro-

bi, kogoś, komu on ufa i proszę odesłać to na ten adres, niech on ureszcze zrozumie, że mnie pomagać nie wolno, a ja nie chcę zaszkodzić mu w życiu. I wtedy ona mi powiedziała, żeby wydać mi tę paczkę, ale jeśli kiedykolwiek do mnie przyjdzie paczka, to żeby ją wzywać. Paczka była od wojskowej na pocztę polową - mama znalazła taką wojaczkę w Legnicy, płaciła jej, a ona na swój adres wysyłała, dostałaby ona jak nic, gdyby się dowiedzieli, więc dziewczyna ryzykowała bardzo dużo. Jakież to było święto niezwykle! W paczce tej była polewica - to dziś widzę taką złotą puszkę, masło było w puszcze zalutowanej, jeszcze tam była woda, szynka, krakowska kiełbasa, kabanosy, blok czekoladowy - dzisiaj mógłby to być niezwykły eksponat! Maria Pawłowna wróciła z pracy - zawsze kartoflane gotowała - powiedziała, że dzisiaj zapraszam wszystkich na kolację i zaprosiliśmy. Paczka duża była, chyba dwanaście kilogramów, ledwie ją przydźwigałam i pamiętam, że dostałam bieliznę, która była poutykana między puszkami, milanezowa to była bielizna i jak nałożyłam to na siebie, to już bym więcej nic nie chciała, żadnej sukienki - po tylu latach, nie wierzyło mi się! Była uroczysta kolacja i pamiętam, że Maria Pawłowna strasznie płakała, a jej syn mówił, że przecież też bylibyśmy bogaci, ale musimy pomagać, w Polsce dzieci głodują i cukru nie ma, dlatego że Polskim dzieciom wysyła ją - taka była propaganda, zawsze było nاپuszczenie, żeby ten naród nie lubił tego narodu. Wracam do pożegnania, były to bardzo trudne minuty, odprowadzili nas do samochodu, przyjechaliśmy na dworzec - stały piękne pociągi - taki Ruski mówi: no smutnie, jakim was pięknym pociągami wiozliśmy, a ja patrzę pisze Cegielski, to polskie pociągi. Zakładowaliśmy się, nasz wagon był chyba ósmy każdy miał miejsce sypialne - za nami jechał ten sekretarz Sierotka do granicy, mieliśmy dwie kobiety, które paliły w piecu - potem w nocy do mnie przyszli, żeby zrobić listę /ja kopiuję tę listę



mam u siebie do dzisiaj, listy wyjeżdżających 750 osób, które wyjeżdżały stamtąd, przedtem, w czerwcu wypełnialiśmy druki po polsku i rosyjsku, jechaliśmy w dziesięciu wagonach a przed wyjazdem dali nam po trzysta rubli i po to te listy były sporządzone, jakie osoby i w jakim wagonie/. A jadąc do granicy to były jeszcze różne przygody, bo Ania wyjechała wcześniej do Lwowa i chciała się z nami spotkać we Lwowie, a tam na dworcu jest cały sznur oficerów NKWD i nas nie wypuszczają, a tam na nas czeka Zosia Lechowicz, Ania Szymczyk /ona jechała razem z nami, ale opuściła pociąg i pojechała szybciej do Lwowa, bo myśmy jechali okrężną drogą, a ona szybciej, bo chciała się zobaczyć z matką/ - zrobiliśmy całą historię, przepuścili ich do nas, przyszli do wagonów. Przekroczyliśmy granicę w Medyce. Najpierw staliśmy po tej stronie przez cały dzień.

## II strona

Przetrzymali nas owszem, owszem, ale nic nie zabierali, bo wogółem wolno było wieść, bardzo możliwe, że chodziło im o jakieś dokumenty o charakterze politycznym - ja mam książkę otlicznika, gdzie jest napisane "tagier pieczerskij". Granicę przekraczaliśmy w nocy - nam mówiono, że dojeżdżają do granicy, potem cofają i mówią, że my nie chcemy wracać, że były już takie pociągi - więc było cicho, pogasiliśmy światła w wagonach, żeby widzieć, co się dzieje na zewnątrz, wojsko stało przy wejściach wagonów /okropne przeżycie!/, jedziemy pomalutką, widzimy na czapkach żołnierzy gwiazdy, znowu gwiazda, potem nic, potem żołnierz z orzełkiem, niemożliwe!, znowu orzełek - powyskakiwali nasi Ruscy, już jesteśmy sami - przyjechaliśmy do Medyki i ludzie poszaleli. Wyskakiwali, całowali ziemię - ja się nie ruszałam z miejsca - potem weszli oficerowie, a nasi panowie wracali z żonami Rosjankami i pamiętam, że weszli nasi oficerowie, myśmy nie widzieli tych mundurów, bo to inne, przedstawili się nam, potem wyczytywali każdego z nas z listy i za każdym razem jak ktoś

był wyczytywany z listy, to mówił "jestem", a oni za każdym razem salutowali i mówili "dziękuję". A te Rosjanki mówiły: Boże, co za kultura! Tych oficerów to mało ich nie udusili, ściskali, całowali, płakali, oni też płakali. Przyjechalismy do Nowego Sącza, wyszliśmy na peron, stoimy jak owce zbite - wyjeżdżaliśmy to było 40 stopni mrozu, to był 1 czy 3 grudnia, w Nowym Sączu kwitną bratki - stoimy i jedzie przez peron różek i ten który prowadzi, bagażowy, ciągle mówił przepaszam i te Rosjanki nie mogły się nadziwić, co tu za kultura, bo u nich to by raz "maciuknuł" i od razu zrobionoby przejście. W Nowym Sączu osiedlono nas w jakiś koszarach, też było tak, że wchodziliśmy przez wartownię - spotykano nas ogromnie serdecznie. Pamiętam, że trzymaliśmy się tak, jak w wagonie byliśmy, razem ze sobą ci sami ludzie.